

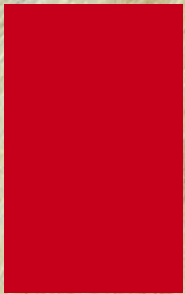
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Szynkowski vel Sęk zasłoną dymną Kaczyńskiego
- Hartman mówi chrześcijanom: sprawdzam
- Kirgiz zsiada z czołgu
- Czy wilk kocha tak jak pies
- Trojan, aktor pierwszego dubla



WYSOKIE OBCASY
Sylvia Spurek
Autyzm tarczą na hejt
Striptizerka:
W dzień czaruję dzieci,
w nocy facetów



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

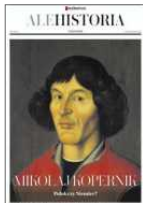
Alła Pugaczowa
daje Putinowi w twarz

FOT. ANTON BELITSKY/EPSON/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Kopernik a sprawa polska
W jakim języku myślał i śnił słynny astronom?



Europa wieku światła
Bez tej książki nie sposób badać dziejów XVIII-wiecznej Polski

Inteligentnie internowani
30 lat temu Wojciech Jaruzelski wysłał wielu działaczy podziemia do woja

Paweł
Wroński

Prezes nadzieją opozycji

Panie prezesie Kaczyński. Stoi przed panem naprawdę wielkie zadanie. Wygląda na to, że Pan i tylko Pan jest w stanie zjednoczyć polską opozycję.

Wiemy, jak jest. Mimo deklaracji, że „opozycja jest zjednoczona”, i zapewnień, że wszystkie opozycyjne serca biją pragnieniem odsunięcia PiS od władzy, nie wiadomo nadal, czy partie chcą to zrobić, tworząc jedną listę (co byłoby matematycznie najkorzystniejsze, bo system premiuje największych), czy na dwóch listach. A może się okazać, że wszyscy pójdą do wyborów osobno. Do stworzenia jednej listy namawia lider PO Donald Tusk, ale nie jest temu chętny lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, który proponuje nieustannie PO wejście do Koalicji Polskiej. Tej, z której w poprzednich wyborach wszedł do Sejmu na przykład Paweł Kukiz, którego nawet PiS nie chciał. Kosiniak-Kamysz deklaruje też, że z powodu centrowo-

ści nie chce tworzyć listy z lewicą, choć z nią kiedyś rządził. Widzi zaś w szeregach koalicji Jarosława Gowina, którego nie widzi Szymon Hołownia z PL2050, który też ma tworzyć koalicję z PSL, ale PL2050 na razie mówi, że nic nie tworzy z PSL. Hołownia nie widzi też na razie koalicji z PO,

bo boi się „roztopienia” jego projektu w konfrontacji z największą partią opozycyjną. Z Lewicą PL2050 też nie chce, choć niektórzy z działaczy PL2050 z Lewicy się wywodzą. W PO z kolei mówią, że mają już dość proszenia się, i mówią „albo wszyscy, albo nikt” z wyjątkiem Gowina, którego też nie cierpią. Na końcu wszyscy powtarzają: „najważniejszy jest program”, „chodzi o dobro Polski”, „najważniejsze jest pokonanie PiS”. Jasne?

Zapewne ten apel pana, prezesie, zdumiewa, bo spełnienie tej prośby oznaczałoby, że pan oszalał albo zatracił instynkt samozachowawczy. Dlaczego miałby pan ułatwiać wygraną opozycji? Tyle że w przeszłości zdarzyło się już panu wezwać wprost do głosowania na PO, a we wrześniu 2006 sam pan tak zachęcał w ordynacji wyborczej, że dał opozycji zwycięstwo. Przypomnę, chodziło o prawo do „blokowania list” przed wyborami samorządowymi 2006. PiS wówczas uważał, że wygraną ma w kieszeni, bo nie jest możliwy blok PO-PSL ze względu na ambicje Pawlaka i Tuska. Ale taki bok powstał w odpowiedzi na pewny zwycięstwa blok PiS-Samoobrona-Liga Polskich Rodzin i spuścił mu łomot w wyborach samorządowych. Potem PiS przegrał wybory parlamentarne.

Teraz chyba nic bardziej nie zjednoczy opozycji niż kolejne mataczenia przez pana partię w wyborczych kodeksach. Mówi się o tym w kulisach – powiększenie do 100 okręgów wyborczych lub dwa mandaty w okręgu: jeden z wyborów proporcjonalnych, a drugi z jednomandatowych (wtedy dwa mandaty dostaje najsilniejsza partia). Panie prezesie, umówmy się, jedynie pan i pana rządy jednoczą opozycję stanowiącą ideowy kalejdoskop. Pan jest ostatnią nadzieją. ●

Andrzej rysuje



Zmiany klimatu Wszystko płynie



FOT. MAXAR TECHNOLOGIES / AP

Powódź w Nigerii trwa już dwa miesiące. Objęła 31 z 36 stanów tego najludniejszego kraju Afryki. Zginęło ponad 600 osób, a ponad milion musiało opuścić swoje domy, m.in. mieszkańcy Echengi (na zdjęciu).

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)

Kod dostępu do [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl)



Wieści z antropocenu



Płetwal błękitny połyka nawet 10 mln kawałków plastiku dziennie

Czytaj ► [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl)

FOT. SHUTTERSTOCK

Oleg Tińkow Pierwszy chwyt biznesu rzuca Rosję

Nie mogę i nie chcę mieć żadnego związku z faszystowskim krajem, który rozpętał wojnę z jego pokojowo nastawionym sąsiadem – napisał 54-letni Oleg Tińkow na Instagramie i zrzekł się rosyjskiego paszportu.

Ale uwaga! W czasie aneksji Krymu w 2014 r. mówił, że byłby gotów walczyć jako „zielony ludzik”, bo Krym to „rosyjskie terytorium”. Prowokował w internecie, że szuka tam willi z basenem, oczywiście za ruble. W szczycie potęgi „Forbes” wyliczył jego majątek na 100 mld dol. Jako były kolarz był także właścicielem zespołu, w barwach którego Rafał Majka odnosił największe sukcesy. Lubił przyjeżdżać na wielkie wyścigi, robić z kolarzami przejażdżki. – Ktoś wyda na kasyno, inny na prostytutkę czy jacht. Ja kocham kolarstwo – mawiał.

Być może, rzucając paszport, ratuje resztki majątku przed sankcjami, jak kilku innych rosyjskich bogaczy nieoligarchów. Bo oligarchą nie był. W latach 90. handlował elektroniką na warszawskim Różycu. Sprzedał. Potem stworzył jeden z największych browarów w Rosji – z piwem dla młodych. Sprzedał. Stworzył bank. Rewolucyjny – dla młodych. Internetowy, bez



FOT. TINKOFF BANK

okienek, z kartami kredytowymi. Sprzedał. Podobno Kremlowi pod groźbą nacjonalizacji za 3 proc. wartości. Formalnie Władimirowi Potaninowi, przyjacielowi Putina.

Tińkow już raz rzucił obywatelstwo – amerykańskie – gdy toczył się proces w sprawie jego kombinacji podatkowych. Wciąż ma cypryjskie.

Walczy z białaczką – skutecznie, choroba jest w remisji. I to białaczka uratowała go przed ekstradycją z Wlk. Brytanii do USA i więzieniem. ●

Radosław Leniarski

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Nastolatki mówią, jak jest

Układają nam mnóstwo planów na przyszłość, a sami jakoś kariery nie zrobili ani pieniędzy nie zarobili. Mamy presję z każdej strony. Żeby być pięknym, bogatym, pójść na dobre studia albo zarabiać na Instagramie.



Top 4 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Wtorek

Republikanie sparaliżują
rząd Bidena?

1 Amerykanie wybiorą nowy Kongres. Ostatnie sondaże sugerują, że Demokraci raczej stracą minimalną przewagę w izbie niższej, może zachowają ją w wyższej, ale do obu dostanie się sporo kolejnych trumpistów, a prezydent Biden będzie mógł zapomnieć o jakichkolwiek poważniejszych reformach. Niepokój w Europie wywołuje gasnący zapach Republikanów do wspierania Ukrainy.



FOT. ALBERTO MARIANI/AP, GAETAN BALLY/AP, FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL, GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Środa

Godard w iluzjonie

2 Niecałe dwa miesiące temu zmarł Jean-Luc Godard, autor filmowych klasyków, które zachwycały krytyków, oczarowywały widzów, inspirowały kolegów po fachu, od Rainera Wernera Fassbindera po Quentiną Tarantino i Wong Kar-waia. Warszawskie kino Iluzjon przygotowało w listopadzie przegląd twórczości francuskiego reżysera. W programie m.in. „Do utraty tchu”, „Życ własnym życiem”, „Szalony Piotruś”, „Alphaville” i „Imię: Carmen”.



Czwartek

Kto pojedzie na mundial?

3 Dziesięć dni przed mistrzostwami świata w Katarze selekcjoner Czesław Michniewicz ogłosił 26-osobową reprezentację Polski. Trzon kadry, z Lewandowskim, Zielińskim i Szczęsnym na czele, jest znany od miesięcy, niepewność dotyczy piłkarzy rezerwowych. Szesnaście lat temu trener Paweł Janas kadrę ogłosił w telewizji, a potem pół Polski się dziwiło: „Ale że Dudka na mundial nie wzięli...”. Kogo tym razem nie weźmie Michniewicz?



Sobota

Brodka w trasie

4 Nowy, choć mini, album „Sadza”, pierwszy od 12 lat w całości po polsku, szykuje Brodka. Zrealizowała go z producentem 1988 (z którym nagrała jeden z najlepszych kawałków pandemicznego #hot16Challenge2). Na razie można posłuchać singla promującego płytę – popowo chwytliwej, triphopowo hipnotycznej tytułowej „Sadzy”. 12 listopada – Lublin, 13 – Kraków, 14 – Wrocław, 18 – Warszawa, 26 – Gdańsk, 27 – Poznań.



Liczba dnia

600

AUT
przypadła w Polsce na 1000 mieszkańców – średnia unijna wynosi 560. Równocześnie aż do 20 proc. miejscowości w Polsce nie dociera żaden transport publiczny

Więcej ► Wyborcza.pl

Dlaczego Kaczyński atakuje Kantar

Sondaż, komu, komu, bo idę do domu...

PiS próbuje obalać niekorzystne wyniki badań pracowni z certyfikatem wynikami pracowni niecertyfikowanej. A my to cytujemy i roztrząsamy

Kublik



Rzetelne sondaże. Ten problem spędza sen z powiek wielu socjologom. Profesor Radosław Markowski z Uniwersytetu SWPS od lat apeluje do środowisk badaczy, by zapanowali nad tym rynkiem. Wiele pracowni badawczych nie oznacza więcej wiedzy o tym, jacy jesteśmy. Przeciwnie. Im więcej sondaży, tym gorzej dla ich wiarygodności. Bo wiele nie jest wiarygodnych. I wcale im na tym nie zależy. Póki są na takie usługi klienci, póty jest kasa.

W 2015 r., jeszcze przed wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi, prof. Markowski ostrzegał: – Jeśli ośrodki sondażowe nie wezmą się do porządknej metodologicznej analizy, szarlatani będą wodzić opinię publiczną za nos.

Miał, niestety, rację. Bo żadna z pracowni badawczych nie chciała skorzystać z rad naukowca. A miał ich wcale nie dużo, raptem pięć. Chodziło m.in. o takie analizy surowych danych, by uwzględnić np. to, że 40-50 proc. ludzi odmawia ankietom, więc dla większej wiarygodności należałoby prognozować decyzje wyborcze tych, do których ankietery nie dotarli.

I – co najlepsze – on sam już wcześniej udowodnił, że to działa. W 2010 r. podczas wyborów prezydenckich surowy wynik wskazywał zwycięstwo Bronisława Komorowskiego nad Jarosławem Kaczyńskim w proporcji 58 proc. do 42 proc. Ale po analizie

metodologicznej prof. Markowski prognozował: 53 proc. dla Komorowskiego do 47 proc. dla Kaczyńskiego. Wynik głosowania? Komorowski dostał 53,01 proc., Kaczyński – 46,99 proc.

W lipcu w badaniu pracowni Kantar Public Koalicja Obywatelska (27 proc.) wyprzedziła PiS (26 proc.), po raz pierwszy od kwietnia 2015 r. No i się zaczęło.

Podczas jednego z prekampanijnych spotkań padło pytanie do Jarosława Kaczyńskiego: „Czy faktycznie mamy jako sympatycy PiS powody do niepokoju?”.

Kaczyński: „Ten sondaż przygotowała jakaś grupka, która funkcjonuje przy młodzieżówce PO, i to była reakcja na sondaż, gdzie my mamy 39 proc., Kukiz, który jest z nami, ma 2 proc., czyli razem to 41 proc., a Konfederacja, która nie jest z nami, ale nie jest też z nimi, ma 9 proc. 27 proc. ma PO, 10 proc. ma Hołownia. Łatwo podliczyć, że ta prawa strona ma więcej niż ta lewa. I zaraz później ukazał się sondaż, z którego wynikało, że my mamy o 10 proc. mniej, niż naprawdę mamy. Na tej zasadzie my też możemy założyć studio badawcze i np. ogłosić wynik, w którym mamy 60 proc., i napisać do Orbána: »Słuchaj, miałeś tylko 53 proc., słaby jesteś«”.

Jak informuje OFBOR, Organizacja Firm Badania Opinii i Rynku, na polskim rynku istnieje kilkaset podmiotów świadczących usługi badawcze i tylko 31 agencji może się poszczycić certyfikatem PKJPA (program kontroli jakości pracy ankietów). Audytorzy PKJPA co roku kontrolują przestrzeganie przez instytucje badawcze zasad jakościowych. Każdy może sprawdzić na stronie OFBOR, czy konkretna firma badawcza na certyfikat jakości.

Sprawdzam.

Które firmy mają certyfikat? Między innymi: AC Nielsen Polska, ARC Rynek i Opinia, Ariadna Ogólnopolski Panel Badawczy, Centrum Badań Marketingowych „Indicator”, CBOS, IPSOS Polska, Kantar Polska, Opinia24, PBS, SW Research.

Ośrodki, które przeprowadzają przywołane przez Kaczyńskiego badania dla propisowskich mediów, takiego certyfikatu nie posiadają. Na przykład Social Changes. Estymator też nie.

Właśnie na wyniki Social Changes powoływał się portal wPolityce, jaw-

Ośrodki, które przeprowadzają badania dla propisowskich mediów, nie posiadają certyfikatu PKJPA – kontroli jakości pracy ankietów

nie wspierający PiS i jawnie atakujący opozycję, gdy twierdził, że „Zjednoczona Prawica cieszy się stabilnym poparciem największej grupy wyborców, nie ma więc mowy o przejściu prowadzenia przez Koalicję Obywatelską”.

Jednocześnie wPolityce pisze o wynikach rzetelnych firm jako o „dziwacznych sondażach-potworkach, nagle, ni z gruchy, ni z pietruchy, w odezwaniu od wszelkich trendów, głoszących wyjście formacji Tuska na prowadzenie”, które służą „złamaniu morale” po stronie władzy.

Czyli pisowcy wyniki firmy z certyfikatem jakości chcą obalać wynikami firmy niecertyfikowanej. Niesłycha-

ne. A jednak te wyniki cytują potem inne media.

26 października Kaczyński, po kolejnym niekorzystnym dla niego sondażu Kantar Public, znów usłyszał niewygodne pytanie z sali: „Skoro tak jest dobrze, to dlaczego w sondażach PO was wyprzedza?”. Prezes objaśnił. „To ja pani powiem tak: gdyby w Polsce była równowaga w mediach, to nawet w obecnej bardzo trudnej sytuacji, nie z naszej winy, myśmy wojny nie zaczynali, kryzysu nie wywoływali, pewnie byśmy bardzo wyraźnie prowadzili. Tam jest jedno wielkie nieszczęście, władza jest oszalała szajką, która rabuje kraj. Wielu ludzi nie jest w stanie tego zweryfikować z tym, co jest w rzeczywistości. Nie mają takiej tendencji albo brak im odpowiednich kwalifikacji umysłowych. To jest powód tej sytuacji”.

Czyli Kantar kłamie, znowu.

Skąd ten paniczny atak na Kantar Public? Bo się takich sondaży w PiS i w mediach PiS zwyczajnie obawiają. Sondaże bowiem mają władzę nie tylko nad politykami, ale też nad opinią publiczną.

W sierpniu tenże Kantar Public zapytał Polaków o sondaże. 46 proc. z nas czuje, że sondaże są sposobem wywierania wpływu na społeczeństwo. 29 proc. ma przeciwnie zdanie.

A czy sondaże wpływają na to, na kogo głosujemy? Oczywiście tak – mówi 42 proc. Oczywiście nie – mówi 41 proc.

Ale gdy zadać to pytanie poszczególnym grupom wyborców, proporcje się zmieniają. Aż 51 proc. wyborców PiS ma świadomość, że sondaże kształtują decyzje wyborcze. Kaczyński to wie.

I wie, że wolimy głosować na zwycięzców. ● Agnieszka Kublik

MIŁOŚĆ NARODU



• **Alla Pugaczowa i Władimir Putin, król i królowa Rosji. Kreml, 2014 rok**

FOT. ALEXEI DRUZHININ/
SPUTNIK/KREMLIN POOL
PHOTO VIA AP

Alla Pugaczowa występująca przeciwko Putinowi to ZSRR napadający na Rosję

WIKTORIA BIELIASZYN

– Wybaczenie mi, Brytyjczycy, ale Alla Pugaczowa jest kimś w rodzaju rosyjskiej Elżbiety II – twierdzi Kirill Martynow, redaktor naczelny „Nowej Gazety Europa”. – To jej zawdzięczamy wizerunek „rosyjskiej kobiety, która sama osiągnęła wszystko”, a to właśnie „matki rodzin” w Rosji kształtują nastroje polityczne mas.

Caryca radzieckiej, a później „rosyjskiej estrady” przez wiele lat była najbardziej rozpoznawalną artystką z Europy

Wschodniej. Martynow zauważa, że fenomen Alły Pugaczowej, „królowej kraju, w którym monarchia nie obowiązuje od 1917 r.”, dla Zachodu był i jest niezrozumiały. „Pugaczowa jest kluczowym symbolem postsowieckiej rzeczywistości, instytucją polityczną dla apolitycznego społeczeństwa, bo uosabia ciągłość między rzewnie wspominaną przeszłością a mglistą nadzieją na przyszłość” – tłumaczy.

NAJBARDZIEJ WSPÓŁCZESNA ROSJANKA

Ma rację. Starsze pokolenia Rosjan, dobrze pamiętające czasy radzieckie, a więc i lata największej popularności Pugaczowej, nazywają ją „głosem narodu”. I nie mają przy tym na myśli jej wokalnych zdolności ani twórczości, ale „swojskość”, wrażenie zrozumienia problemów „zwykłych ludzi”

i bliskość, jaką udaje się jej z nimi utrzymywać mimo osiągniętego statusu, majątku, sławy oraz koneksji. Mimo życia w nieskrywanym luksusie pierwsza diwa ZSRR często mówi o potrzebach najbardziej pokrzywdzonych grup społecznych. Apeluje o pomoc dla mieszkańców biednej prowincji, dzieci oraz kobiet, których – jej zdaniem – główne, najważniejsze prawo można opisać w dwóch słowach: „być szczęśliwą”.

Ten obraz wzmacniany był zresztą przez nie tylko państwowe, ale też wolne media, bo niezależnie od poglądów, sympatii politycznych, a nawet gustów muzycznych Allę szacunkiem i sentymentem darzą wszyscy. Także ci, którzy okresu szalu na jej punkcie nie mogą pamiętać. Mówią o tym nie tyle liczne państwowe nagrody, otrzymywane z rąk przedstawicieli najpierw radzieckich, a potem rosyjskich władz, ile przede wszystkim zatrważająca liczba wiadomości, które – choć primadonna oficjalnie zakończyła karierę ponad dziesięć lat temu i usunęła się w cień – regularnie pojawiają się na jej temat w serwisach plotkarskich i portalach informacyjnych.

Slawa najpopularniejszej radzieckiej piosenkarki nie zbladła wraz z rozpadem imperium. Wręcz przeciwnie, Alla Pugaczowa stała się symbolem narodu kształtującego się na ruinach ZSRR w 1991 r. Jest świadoma swojej roli i przydawane go jej znaczenia, nawet jeśli kokietyrnie podkreśla, że nigdy nie chciała być „diwą” czy „gwiazdą”, lecz jedynie „kobietą, która śpiewa”. Oszalałamiący sukces, który odniosła w ZSRR, tłumaczy bardzo prosto: „Śpiewałam dla wszystkich. Obok mnie byli ludzie równie utalentowani, np. Sofia Rotaru czy Walentina Tolkunowa, tyle że one miały swój własny krąg. A ja byłam wszystkich”.

73-letnia Pugaczowa niezmiennie od lat jest liderką wszelkiego rodzaju sondaży popularności; nawet tych, w których ankietowani wyłaniają kandydatki do tytułu „najbardziej współczesnej Rosjanki”. Dla znacznej części społeczeństwa Władimir Putin i Alla Pugaczowa przez lata zajmowali równe, wcale nie opozycyjne względem siebie pozycje na piedestale symboli patriotyzmu.

RECE PRECZ OD MOJEGO MĘŻA

Jesienią to się zmieniło. „Proszę o wpisanie mnie do rejestru agentów zagranicznych mojego ukochanego kraju, ponieważ solidaryzuję się z moim mężem, uczciwym, przyzwoitym i szczerym człowiekiem, prawdziwym i nieprzekupnym patriotą Rosji, który życzy Ojczyźnie dobrobytu, spokojnego życia, wolności słowa i przerwania wysyłania na śmierć naszych chłopców w imię iluzorycznych celów, które czynią nasz kraj wyrzutkiem i pogarszają życie naszych obywateli”. Taki wpis na Instagramie Alla Pugaczowa opublikowała we wrześniu, dwa dni po włączeniu przez władze jej męża, Maksima Gałkina, do rejestru agentów zagranicznych. W ten sposób primadonna po raz pierwszy otwarcie, a nie, jak wcześniej, w zawołowany sposób sprzeciwiła się rosyjskiej napaści na Ukrainę, którą od dawna ostro krytykował jej mąż, znany wszystkim Rosjanom z państwowej telewizji komik, nigdy niepodejrzewany przez widzów o „opozycyjne sympatie”.

Rozjuszona atakiem na ukochanego męża Pugaczowa, od dawna podkreślająca, że „jedyną rzeczą, której nie jest w stanie wybaczyć, jest atak na jej bliskich”, nie poprzestała na tym apelu. Zagroziła bowiem publicznie, że jeśli władze „dotkną Maksa”, czyli wytoczą przeciwko niemu sprawę karną, ona sama „zacznie mówić”, wyraziła chęć „obicia mordy pewnemu człowiekowi”, a następnie demonstracyjnie wyjechała z Rosji, nazywając osoby popierające Putina „niewolnikami”. Jej reakcja bacznych obserwatorów życia Ally nie dziwi. Pugaczowa zawsze gotowa była walczyć jak lwica w obronie ludzi, których kochała. Podobno dzieci, śmiejące się z jej ojca, który stracił oko na wojnie, biła.

Jej bunt wywołał ostrą krytykę czolowych propagandystów, nie tylko zarzucających jej „zdradę narodu”, „starczą głupotę” i „sprzedajność”, ale też podważających jej talent. A nawet apelujących o odebranie jej nagród, orderów i obywatelstwa.

Oraz głuche milczenie Kremla. „To wyraźny sygnał, że rosyjskie władze nie postradały jeszcze całkiem zmysłów i zdają sobie sprawę, że podniesienie ręki na miłość narodu będzie dla nich katastrofą” – tłumaczy Iwan Prieobrażenski.

„Powstanie Pugaczowej”, w ramach którego diwa nie tylko potępiła działania Władimira Putina, ale też demonstracyjnie z niego zakpiła, odbiło się głośnieym echem. Na rosyjskim Twitterze wrzało. „Nie należy się dziwić. Najbardziej znany, z wyjątkiem Putina, obywatel Rosji ostro i zdecydowanie nazwał po imieniu to, o czym nie mówią państwowe media” – mówił w audycji Radia Swoboda Artemij Troicki, krytyk muzyczny i wieloletni przyjaciel Pugaczowej. Doradca prezydenta Wołodymyra Zełenskiego upatruje w nim nawet „początku końca putinowskiego reżimu”. „Alla Pugaczowa występująca przeciwko Putinowi to ZSRR napadający na Rosję. Identyfikują się z nią przecież także ci, którzy popierają inwazję. Nadszarpnęła w ten sposób główną narrację, która usprawiedliwia tę wojnę” – komentował Ołeksij Arestowycz.

Komentator polityczny Iwan Jakowina uważa, że Alla Pugaczowa jak nikt wcześniej pokrzyżowała szyki Putina, sięgając w szeregach jego zwolenników wątpliwości. „W przeciętnej rosyjskiej głowie trwa teraz konflikt, trzeba się zdecydować, odpowiedzieć na pytanie, czy to rzeczywistość on oszalał, czy ona naprawdę jest agentem zagranicy” – tłumaczy. „Allę zna i kocha żelazny elektorat Putina, który nie jest jeszcze gotowy na wysłuchanie informacji o Buczy, ale jest w stanie zrozumieć bezsens wojny” – wtóruje mu Prieobrażenski.

Ocena „buntu Pugaczowej” nie dla wszystkich jest jednoznaczna. Część nie tylko ukraińskiego społeczeństwa, ale też rosyjskiej opozycji oskarża ją o zachowawczość, nienazywanie rzeczy po imieniu i „żałowanie naszych chłopców”, a nie ukraińskiego narodu. Niezależni eksperci zwracają jednak uwagę, że wystąpienie dyplomatycznej, pozornie całkowicie apolitycznej Pugaczowej znaczy więcej niż hasła i slogany radykalnej opozycji. „Jej tekst nie jest napisany dla Ukraińców. Tekst jest napisany dla władzy! To publiczny policzek dla niej. Odgłos uderzenia usłyszeli wszyscy. Alla w ten sposób mówi ich językiem, niszczy ich narrację. Zwraca się tak do wahającej się części społeczeństwa, to jedyny sposób, aby z nimi rozmawiać” – komentuje blogerka Nina Bielocerkowska.

SZLOCH NA POGRZEBIE GORBACZOWA

Pugaczowa wyjechała z mężem i dziećmi do Izraela w pierwszych dniach inwazji, co przez wielu zostało odebrane jako milczący protest przeciwko wojnie. Rodzina krążyła między Izraelem, Cyprzem i Łotwą, a propagandowe media regularnie informowały o ich poczynaniach, uzyskanych obywatelstwach i rzekomych kryzysach finansowych. Po pół roku Pugaczowa, zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią, wróciła do kraju. Jej bliscy od samego początku podkreślali, że diwa zrobiła to tylko po to, by udowodnić Kremlowi, że nie czuje przed nim strachu. I jak się z czasem okazało, by sprzedać część swoich nieruchomości. Artystka odpowiedziała w tym czasie ostro i jednoznacznie na krytykę propagandystów, ostatecznie odcinając się od osób z otoczenia władzy. A 3 września wzięła udział w pogrzebie Michaiła Gorbaczowa, którego śmierć skomentowała słowami: „Dawno tak nie szlochałam. Minęły czasy, w których znaleźliśmy wolność, przestaliśmy być »imperium zła« dla całego świata i zniknął strach o przyszłość naszych dzieci. Gorbaczow odrzucił przemoc jako sposób polityki i utrzymania własnej władzy” – napisała na Instagramie. Bielkowski, Troicki i niezależni publicyści nie mieli wątpliwości, że w ten sposób Alla Pugaczowa nie tylko pożegnała się z Gorbim, ale też

przede wszystkim powiedziała, co naprawdę myśli o Władimirze Putinie.

„Kim był Putin? Drobnym działaczem politycznym epoki Pugaczowej”. Parafraza starego żartu, którego pierwotnym bohaterem był sekretarz generalny KC PZPR Leonid Breżniew, w ostatnich tygodniach cytowana jest masowo w rosyjskim internecie. I to nie tylko przez zajadłych opozycjonistów, wycynowo krytykujących poczynania Putina i politykę Kremla. Podobne odczucia zaczynają mieć także Rosjanie od lat zasiadający każdego dnia przed ekranami telewizorów, do których ani niezależne media, ani tym bardziej opozycyjni działacze nie mają szans dotrzeć.

Ale może dotrzeć Alla, dawna duma narodowa, nie tyle nawet symbol wolności, co pamiętny promień światła w radzieckiej szarej rzeczywistości. Zresztą dla części radzieckich obywateli, przyzwyczajonych do określonych zasad i narzuconej przez władze pruderii, początkowo była ona zbyt zwolona i ekstrawagancka. Dla inteligencji zaś – zbyt wulgarna i bezwstydna, wikłająca się w coraz to nowe romanse i skandale, śpiewająca piosenki uznawane często za tandetne i banalne. Proste, melodyjne piosenki Pugaczowej śpiewającej o miłości, radości, nadziei i dążeniu do szczęścia dopiero z czasem wpisały się w narastające w społeczeństwie pragnienie do-

Rosyjskie władze nie postradały jeszcze całkiem zmysłów i zdają sobie sprawę, że podniesienie ręki na miłość narodu będzie dla nich katastrofą

brego, barwnego życia. „W ZSRR nie było wolności i tylko dzięki temu zwrócono na mnie uwagę. Bo ja miałam tę wolność w sobie i dzięki niej poszybowałam wysoko” – mówiła w rozmowie z pisarzem Dmitrijem Bykowem.

Stała się „ludzką twarzą” późnego ZSRR. Dowodem dla ludzi przez lata bojących się marzyć, że istnieje świat otwarty, dostępny, w którym, jeśli tylko się bardzo chce, można osiągnąć sukces, nie tracąc przy tym głęboko zakorzenionego w społeczeństwie za sprawą propagandy przekonania o świetności własnego kraju i narodu. A tak się składa, że to właśnie ta grupa między 40. a 80. rokiem życia stanowi żelazny elektorat Władimira Putina. Zgodnie z ich oczekiwaniami Alla Pugaczowa, dla której wolny świat w pewnym stopniu dostępny był na długo przed opadnięciem żelaznej kurtyny, nie pozwalała sobie na publiczną ostrą krytykę własnej ojczyzny.

Z ABBĄ NIE WYSZŁO

Nie wchodziła w otwarte konflikty z władzami, a przynajmniej tymi, od których zależał jej byt. Sama bowiem po latach wspominała, że podczas koncertu w Kazachstanie, widząc wkraczających do sali spóźnionych przedstawicieli władz, zwróciła się do nich ironicznie ze słowami: „Możemy kontynuować? Wygodnie usiedliście?”. Z rosyjskimi natomiast, przypominając dzisiaj i propagandyści, i niezależni eksperci, była „poukładana”. Politolog Iwan Prieobrażenski zwraca uwagę, że „Pugaczowa ma bogate doświadczenie w dogadywaniu się z różnymi władzami. To dzięki temu udało

się jej w przeszłości całkowicie podporządkować sobie rosyjską scenę pop”. O związku z władzami mówiła zresztą sama, przyznając się, że apelowała do głosowania na Borysa Jelcyna, pobierając za agitacyjne koncerty „ogromne pieniądze”.

O jej statusie wiele mówi anegdota, którą opowiadała podczas jednego z koncertów – przyznała, że swego czasu listy dochodziły do niej nawet wtedy, kiedy nadawcy adresowali je: „Moskwa. Kreml. Pugaczowa”. Nie ulega więc wątpliwości, że Pugaczowa przez lata przestrzegала ustalonych granic. Niekiedy pozwalała sobie balansować na ich krawędzi.

W połowie lat 80., będąc u szczytu popularności, musiała odrzucić rolę w musicalu „Chess” zaproponowaną jej przez byłych członków zespołu Abba. Alla, obawiając się, że występ w londyńskim show opowiadającym o czasach zimnej wojny i radzieckiej rzeczywistości sprawi, że zostanie oskarżona o „działalność antyradziecką” i „nielegalną ucieczkę z kraju”, odmówiła zachodnim muzykom. „Wszyscy tam staliśmy – Tim, Björn i Benny – szlochając, bo chciałam śpiewać, ale wiedziałam, że [władze] mnie nie puszczą. Nie pamiętacie, co to były za czasy? Wybrałam rodzinę, bo uznałam, że lepiej, jeśli zmarnuję swój los niż ich” – opowiadała dwa lata temu podczas konferencji prasowej w Moskwie.

Pugaczowa podkreśla jednocześnie, że w tym samym czasie w kraju pozwalała sobie względem władz na zuchwałość i swobodę. „Zawsze mówiłam, że jeśli usuną mnie ze sceny, będę pisać książki. Jeśli zakażą pisać, będę rysować, zakażą tego, to i tak coś wymyślę. Zawsze będę żyła tak, jak chcę, z poczuciem tej samej wewnętrznej wolności. Musieli to znieść”. Ta wolność i skłonność do buntu towarzyszyć jej mają od dziecka.

Artystka, której nie można było nazwać „opozycyjną” czy „antysystemową”, wyraźnie widziała i wady ustroju oraz przedstawicieli władz, i archaiczność, a niekiedy wręcz zacofanie społeczeństwa. „Nasz kraj jest trudny”, „W pewnych kwestiach [stosunku do osób homoseksualnych] wciąż obowiązuje u nas odrobinę niecywilizowane podejście”, „A może, zamiast nieustannie przykręcać kurki, powinno się u nas coś zmienić? Może pora w końcu zacząć żyć?” – to tylko kilka z jej licznych wypowiedzi, którymi dawała jasno do zrozumienia, że choć ma z władzami dobre stosunki, to nie mogą one liczyć na jej ślepą lojalność. A przynajmniej nie zawsze.

Kiedy w grudniu 2014 r., po krymskiej wiośnie, aneksji półwyspu i w czasie walk w Donbasie, odbierała z rąk Władimira Putina order „Za Zasługi dla Ojczyzny”, Pugaczowa powiedziała: „Gdyby można było napisać taką piosenkę, aby na świecie był pokój, aby nie było strachu i niepokoju o dzieci – zaśpiewałabym ją”. W odpowiedzi Putin sucho uściśnął jej dłoń, a diwa wycofała się z sali ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nie była to jednak oznaka jej słabości.

Wpisując się we wzór idealnej rosyjskiej kobiety, czyli silnej, niezależnej i inteligent-



nej, ale jednocześnie świadomie pozostając w cieniu „mądrych mężczyzn” sprawujących władzę, krytykowała w taki sposób, by nieprzyjemna prawda wybrzmiała, ale ich nie zraniła. A jej samej nie przysporzyła zbędnych problemów.

Krótko po powrocie Putina na Kreml na trzecią kadencję Alla Pugaczowa wyraziła przekonanie, że „sam prezydent wie najlepiej, że postąpił źle”, uzupełniając od razu swoją wypowiedź o uwagę, że życzy mu „wszystkiego, co najlepsze”. „Mam wielki szacunek dla Władimira Władimirowicza Putina, głosowałam na niego w 2000 r., agitowałam i nie cofam moich słów. Ale wydaje mi się, że nawet tak inteligentny i interesujący polityk jak on nie powi-

• **Alla Pugaczowa z mężem Maksimem Gałkinem i Michaiłem Gorbaczowem na premierze filmu o byłym prezydencie. Moskwa, 2011 rok**

FOT. LEGION-MEDIA / ALAMY STOCK PHOTO

sprzeciwiają. „Karać tych ludzi, którzy byli, że tak powiem, w opozycji, wyszli i domagali się czegoś, krzyczeli, machali rękami? Ja nie chciałabym być w tym tłumie, bo w zasadzie nie jestem człowiekiem tłumów, ale uważam, że należy ich słuchać. Obowiązkiem osoby sprawującej władzę jest słuchanie opinii innych. Jeśli zostaną usłyszani, być może nie będą mieli powodów, by krzyczeć” – mówiła przed laty w wywiadzie dla „Nowej Gazety”.

Na sądzie ostatecznym chciałabym poprosić Boga, by pozwolił mi stać się aniołem stróżem kraju

nien osiąść na stałe w jednym miejscu. Scena polityczna, jak każda inna, wymaga nowych nazwisk” – mówiła w 2012 r., popierając przy tym na każdym kroku potencjalnego konkurenta Putina, miliardera Michała Prochorowa.

Kilka lat później odważyła się też na skrytykowanie władz za forsowanie przepisów godzących w prawa i finanse artystów. A w 2015 r. zaśpiewała „Święte kłamstwo”, stary utwór mówiący o „zmęczeniu kłamstwem i wiarą w ratowanie”, co ukraińscy dziennikarze odebrali jako sprzeciw Pugaczowej wobec polityki Kremla, także względem Ukrainy.

ANIOŁ STRÓŻ

Mimo tych afrontów władzom trudno byłoby upatrywać w niej jakiegokolwiek zagrożenia politycznego czy symbolu opozycji. Alla Pugaczowa krytykowała aktywistki Pussy Riot za pamiętną akcję „Bogurodzico, przegoń Putina” w cerkwi Chrystusa Zbawiciela, zarzucając im przede wszystkim brak talentu. Krytykowała też, jak mówiła w wywiadzie dla „Kommiersanta”, „niewystarczająco mądrego i silnego” Aleksieja Nawalnego za jego „żądze władzy, a nie pragnienie, by pomóc ludziom”. A nawet uczestników protestów przeciwko Kremłowi, „jeśli wychodzą na ulice nie dla idei, ale za pieniądze”.

W tych samych wpisujących się częściowo w narrację propagandy wypowiedziach udawało się jej jednocześnie podkreślić, że władze nie mają prawa, by prześladować czy wtrącać do więzień tych, którzy się im

Sprawiała wrażenie człowieka, który dąży ojczyznę i wszystko, co z nią związane, miłością mimo świadomości wszystkich jej wad i niedoskonałości. „Na sądzie ostatecznym chciałabym poprosić Boga, by pozwolił mi stać się aniołem stróżem kraju. Chciałabym móc go chronić” – mówiła w jednym z wywiadów.

Ekspertki podkreślają, że pewna zachowawczość wobec władz i szczerość oraz wrażenie, że Alla większą więź i solidarność czuje z krajem i narodem niż z państwem i władzami, sprawiły, że Rosjanie – wbrew pozorom nieufni wobec kłaków Kremla i ze względu na rzadziej doświadczania prześladowań o tym, że „wszyscy kłamią” – postrzegają ją jako „prawdziwą”. „Zawsze była na fali ze swoją publicznością. Była w stanie powiedzieć to, co ludzie chcieli od niej usłyszeć, i zwerbalizować muzykę ich duszy. W pewnym stopniu udaje się jej to także dziś” – komentował niedawno w audycji Radia Swoboda politolog Stanisław Bielkowski.

Wielu zwraca uwagę, że „przez całe życie szukała prostego, kobiecego szczucia”, które dać miał jej dopiero piąty mąż, Maksim Gałkin. Muslim Magomajew pisze o niej tak: „Kiedy ludzie pytają mnie, jaka jest Pugaczowa w życiu, szczerze odpowiadam, że nie wiem. Dziś jest taka, jutro zupełnie inna. Szczera do gęsiej skórki i uroczo fałszywa. Delikatna, drżąca, płaczliwa, a jednocześnie szorstka i ostra. Chichotka i flegmatyczna, cierpiąca z powodu własnych refleksji. Anioł i demon”. Wszyscy jednak są jednomyślni: Alla „bardzo kocha Rosję”.

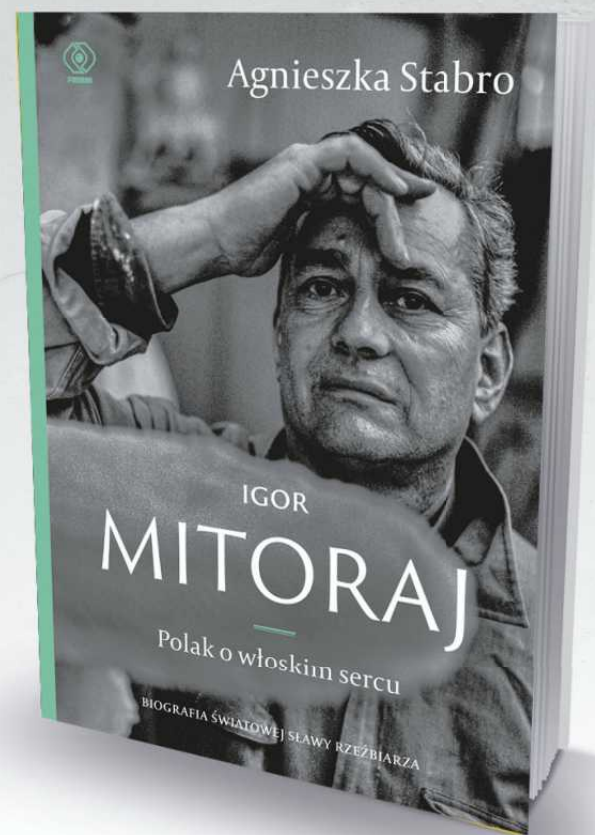
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki
Agnieszki Stabro „Igor Mitoraj.
Polak o włoskim sercu”



Losy najsłynniejszego polskiego rzeźbiarza. Narodziny w niemieckiej niewoli, dramatyczne dzieciństwo i lata młodzieńcze, studia na krakowskiej ASP pod kierunkiem Tadeusza Kantora. Pierwsze wystawy i sukcesy podczas przełomowego pobytu w Paryżu, włoski okres w życiu artysty w Toskanii i wzruszający opis śmierci rzeźbiarza w roku 2014 w Prowansji.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Agnieszki Stabro „Igor Mitoraj. Polak o włoskim sercu” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

ASIMP22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywować dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytać na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

Spełniło mi się marzenie

Stałem się dostarczycielem cotygodniowej dawki wkurwu dla zamkniętych w bańce.

Marcin Matczak*



Z listopadem nasza nostalgia i przypominałem sobie, że w sierpniu nie napisałem felietonu rocznicowego. A powinienem – znaczenie czasu rocznicami to nasza jedyna, choć nieudolna próba jego opanowania. Zatrzymujesz się na chwilę, patrzysz wstecz, analizujesz, po co ci to wszystko, i lecisz dalej. Ale już jakby inny, lżejszy – poddałeś się refleksji tak, jakbyś poddał się wiwiskcji.

A okazja jest, bo wydawnictwo Znak uznało, że warto felietony, które umieszczam tutaj od ponad dwóch lat, wydać drukiem. Że niby to ważne w świecie, w którym panuje chaos, by to, co rozrzucone, zebrać w całość. Nie wiem, czy warto. Felieton jest zawsze zakorzeniony w konkretnym momencie i zdarzeniu, z nich wyrasta czasami w coś ogólniejszego. Kiedy te momenty i zdarzenia odchodzą w niepamięć, felieton staje się jak wyrwana trawa: schnie i żółcieje bez zakorzenienia w czasie.

Rocznica i książka, która zmusiła mnie, bym przejrzał te dwa lata felietonowania, składają do refleksji. Na przykład nad pisanie: że jest jak trening, bo musisz te 6000 znaków co tydzień wyprodukować, cokolwiek się zdarzy. Dyscyplinuje to mocno i zmusza do cyklicznego uzewnętrznienia – terapii, za którą to mi płacą, mimo że to ja jestem terapeutyzowany. Albo że pisanie jest myśleniem. Ociosywaniem myśli niewykształconych i wyprowadzaniem ich z intelektualnej mgły, żeby mi, nie innym, powiedziały, co tak naprawdę sędzę.

I rocznica, i książka pokazały mi, że mocno zmagam się z mizantropią (w so-

bie). Piszę te felietony już długo, a ktoś ciągle się dziwi, że „Wyborcza” starego Matczaka tak promuje. Jakiś natchniony lewiciowiec niedawno „ujawnił”, że w ostatnich 24 miesiącach publikowali mi prawie pięć tekstów na miesiąc! Musi być w tym przecież jakaś głębsza tajemnica, że cotygodniowe felietony publikuje się co tydzień.

Może z powodu takich ludzi traktuję to pisanie jako prowokację. Podobają mi się to nawet. Jak zacząłem krytykować PiS, wszyscy klepali mnie po plecach, że taki fajny, lewicowy jestem, że Kaczorowi i Ziobrze umiem dokopać. A potem subskrypcja na przyjemność się skończyła: felietony stały się eksperymentowaniem na żywym organizmie czytelnika „Wyborczej”.

Jaki jest? Różny. Jest i wnikliwy, który chce podyskutować. Jest i hejter, który, cokolwiek byś napisał, każe ci spieprzać do „Gościa Niedzielnego”. Patrzysz na tego drugiego i widzisz, że tak jakby „suweren” z niego wychodzi, zgodnie z zasadą, że jeśli długo patrzysz w otchłań, ona patrzy równie uważnie na ciebie. Podobają mu się melodie, które już słyszał: „Jebać PiS” jak najbardziej, „każdy ksiądz to pijak, a pijak to pedofil” chętnie. Ale jak melodie zmienisz, nagle z trzewików intelektualizmu wychodzi słoma zaściankowości. Taki czytelnik otwarty na inność, pod warunkiem, że nie jest za bardzo inna.

I tak stałem się dostarczycielem cotygodniowej dawki wkurwu dla zamkniętych w bańce. Spełniło mi się marzenie, by realizować frazę z „Obrony Sokratesa”, która groteskowo łączy mądrość ze sztubackim żartem – być „bakiem, z ręki boga puszczonym”, który gryzie w tyłek wielkie, nie-ruchawe bydlę o nazwie „społeczeństwo”. By nie zastało się w bezruchu, by pomyślało, że może ich prawda nie jest jednak najlichsza. Ale i odkryłem się tymi felietonami – w komentarzach piszą jasno, że gdyby mnie ktoś na sędzię TK chciał brać, to niech pod żadnym pozorem nie bierze, bo aborcję jak nic zdelegalizuję do końca. Tak mnie czytają na wskroś i swoją szansę definitywnie straciłem – nie posędzuję z Krynstyną Pawłowicz.

Właśnie, Pawłowicz. Piszę w książce, że gdy to wszystko się zaczęło, naiwnie myśla-

łem, że problem z PiS to problem prawny. Potem zrozumiałem, że PiS to stan umysłu w sensie ścisłym, żeby wspomnieć w okolicach Wszystkich Świętych frazę Mistrza Pilcha, a niszczenie instytucji to symptom choroby głębszej. Duża część naszych współobywateli (specjalnie tak o nich piszę, by nie ulec pokusie wykluczania ich ze wspólnoty, nawet jeśli oni jej ulegają) uznała, że system instytucjonalny, który budowaliśmy przez 30 lat, jest nie tylko niewydolny, ale po prostu zły. I zapagnęła rewolucji. A rewolucja jest zjawiskiem nie prawnym, lecz psychologicznym. Za PiS-owskim atakiem na prawo stoją frustracja i gniew, które w ostatnich siedmiu latach znalazły wreszcie upust.

Dziękuję ludziom, których nie znam, ale których pracę czuję i doceniam: korektorom i korektorkom, grafikom i graficzkom. Mam nadzieję, że kolejny felieton witacie z łagodną obojętnością, nie znudzeniem

Nie usprawiedliwiam tych emocji – każdy nosi w sobie jakąś frustrację. Gdyby, jak wyborcy PiS, chciał dawać mu upust, gdy zwycięża jego partia, pozabijalibyśmy się na amen. Starałem się po prostu zrozumieć, jakie są rzeczywiste przyczyny tego, co nas spotkało. A zrozumienie wymaga zejścia pod warstwę instytucjonalno-prawną – do ludzkich uczuć i języka, który je wyraża.

Początkowo felietonowa książka miał nosić tytuł, który miałby kronikarski charakter. „Annały rozkładu” okazały się jednak zbyt historyczne i pesymistyczne. A historia ma przecież dawać nadzieję, że – jeśli była zła – nie powtórzy się, bo ją zrozumieliśmy. Ostatecznie tytuł książki – „Tajne państwo z kartonu” – jest bardziej ponadczasowy i trochę lżejszy. Może zasłużyliśmy, by po siedmiu latach chudych, w których ten karton się rozpadał, przyszły tłuste?

Tego wszystkim życzę, bo rocznica to także życzenia i podziękowania. Kieruję je przede wszystkim do Marka Markowskiego, którego lubię nazywać moim redaktorem prowadzącym, choć jest raczej redaktorem naprowadzającym. Do ludzi, których nie znam, ale których pracę czuję i doceniam: do korektorów i korektorek, do grafików i graficzek. Mam nadzieję, że kolejny felieton witacie z łagodną obojętnością, nie znudzeniem. W każdym razie myśle o Was, gdy piszę – nie wiem, czy to cokolwiek zmienia.

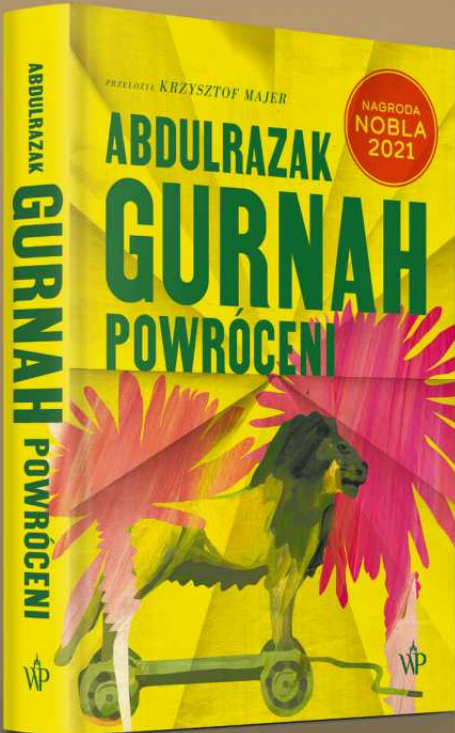
W każdym razie... Pomyślałem o korekcie i zatrzymała mnie refleksja. Fraza „w każdym BĄDŹ razie” nie jest taka głupia. Może nie jest to karygodne pomieszanie „bądź co bądź” i „w każdym razie”, ale nieświadomione pragnienie, żeby BYĆ w każdym razie, żeby zaznaczyć swoją obecność w każdym momencie, być uważnym? Taki pomysł więc mi przyszedł na listopad i na życzenia rocznicowe. Nie bądź tylko raz na jakiś czas! W każdym bądź razie! ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”, Marcin Matczak, wyd. Znak, premiera 5 grudnia



Literacka podróż
w głąb Afryki.
Porusza i otwiera
oczy.



Powieść uhonorowana
Nagrodą Nobla 2021

ZWYCZAJNI KIRGIZI PATRZĄ NA WOJNĘ



FOT. GULIZA URUSTAMBEK KIZI/ANADOLU AGENCY VIA GETTY IMAGES

Sęk w tym, że Putin Sajuz chce odbudować. Jeśli tak, to i na Kirgistan przyjdzie pora, a wtedy to już będzie nasza wojna, niestety.

Emilia Sułek

Karakol, miasto na wschodzie Kirgistanu. Baza wypadowa w góry Tienszanu. Do 1991 roku znany jako Przewalsk, nazwany tak na cześć rosyjskiego badacza Azji Nikołaja Przewalskiego. Z czasów, kiedy był tu carski posterunek wojskowy, zostało kilka zabytków, w tym cerkiew z 1895 roku. Pod cerkwią żebraków sporo. W Karakole będę widać bardziej niż w innych miastach Kirgistanu, zwłaszcza wśród rosyjskojęzycznych obywateli. Po uzyskaniu przez Kirgistan niepodległości wielu z nich wyjechało. Okoliczne kolchozy do dziś straszą stanem swojego rozpadu: czas się tam nie zatrzymał, czas zaczął biec wstecz.

Wędrówka po mieście prowadzi na bazar. Na brzegu parę bab ze smażonymi ceburaszkami i inne, sprzedające pelargonie w plastikowych kubelkach. Dalej, w wąskich alejkach, na gazetach porozkładany jest towar. Obok obecni właściciele czekają na właścicieli nowych. Ubrania, jakieś buty. Przypadkowe kolekcje przedmiotów o wartości niedającej się ocenić. Niektóre nieużywane chyba, choć wyglądają, jakby swoje lata już miały. Część przyjechała z Chin, część z jakichś minionych epok, w tym także z ZSRR. Tu sokowirówka, tu zapakowane firmowo przykurzone gacie. Połączył je jakiś nieznaną geopolityczny przypadek.

Poza pelargoniami i skarpetami większość bazaru jest wysoce wyspecjalizowana. Towarem, który tu najbardziej chodzi, są czę-

ści zamiennie. Na gazetach leżą walizki korbowe, akumulatory i kolekcja żelastwa, którego zastosowanie tylko wprawne w mechanice oko jest w stanie odgadnąć. Pilnują ich mężczyźni w skórkowych kurtkach. Ręce mają tak samo czarne jak pokryte smarem zwolnice i tarcze hamulcowe. Co rusz obracają w palcach taką lub inną śrubkę, rozmawiając z potencjalnym kupcem. Całe alejki zapczasti wskazują, że – raz – człowiek karakolski umie rzeczy naprawiać, a – dwa – że naprawiać musi. To nie wybór stylu, tylko bieda zmusza ich do utrzymywania konstruktorskiej formy. Niemniej jednak bazar wygląda jak raj dla tych, którzy marzą o gospodarce cyrkularnej.

W jednej alejce, na stoliku unoszącym się nad parterem żelastwa, rozmieściła się kolekcja literatury. Są tu rosyjskie przekłady noweli estońskiej, powieści albańskiej i poezji narodów Jugosławii. Świat zza żelaznej kurtyny reprezentuje Romain Rolland i Charles Dickens. Ja wybieram Ajtmatowa. Czyngis Ajtmatow, największy pisarz Kirgistanu i najbardziej znany Kirgiz na świecie. Były ambasador we Francji i Luksemburgu sławą cieszy się zasłużoną. Wprawdzie krótka historia o miłości, „Dżamila”, jest jego najsłynniejszym dziełem, ale te inne mówią o nim więcej. Ojciec Ajtmatowa, zamordowany w czystkach w 1938 roku, leży w grobowcu Ata-Bejit pod Biszkekiem, razem z setkami tych, których stalinowskie władze uznały za wrogów. Może dlatego Ajtmatow pierwiastka krytyczności wobec systemu nie pozbył się nigdy.

Ajtmatow kosztuje dwieście somów, czyli jakieś dwanaście złotych. Sprzedawczyni, niebieskooka pani w słomkowym kapeluszu, cieszy się z targu. Jeszcze bardziej rozpromienia się, kiedy zagajam, że dotąd czytałam Ajtmatowa tylko po polsku. Po polsku! Bukinistka powtarza rozmazana. Ona też ma polskie nazwisko, mówi i przedstawia się jako Szczerbacka. „Z Zaporozża jestem”, dodaje. Serce zaczyna mi bić szybciej, jak to mu się regularnie – od 24 lutego – zdarza. Bukinistka z Karakola studzi mój entuzjazm. „Biedne to Zaporo-

że” – mówi. „Trzeba je wyzwolić. Całe szczęście, że Władimir Władimirowicz specoperację zarządził!”

Pani Szczerbacka ma rodzinę w Zaporozżu. Sama była i widziała, jak żyją, podkreśla. „To nasi są. Do Rosji chcą, to ich matka przecież” – mówi z emfazą i dodaje: „A tych nazistów to trzeba wytępić”. Pogodna twarz handlarki literaturą wykrzywia się groźnie. „Jakich nazistów?” – pytam. „Ukraińskich”, wyjaśnia. „Przecież oglądam telewizję. Wiem, co Ukraińcy z ludźmi wyrabiają”. Mówię, że w Buczy to nie Ukraińcy ludzi zabijali. Szczerbacka patrzy na mnie z politowaniem. „Wy w Europie w propagandę wierzycie. Ja byłam i w Kijowie, i w Przemyślu, i nawet we Włoszech byłam. Tam ludzie historii nie znają. U was w książkach piszą, że to Ameryka drugą wojnę światową wygrała. Nieprawda, Związek Radziecki wygrał!” – pani Szczerbacka triumfuje.

Zakurzona okładka Ajtmatowa niewygodnie leży mi w dłoni. Najchętniej odłożyłabym go, podziękowała i poszła. „A pani co robiła za Sajuz?” – pytam, by zmienić temat. „Lekarzem byłam, w poliklinice”. Odpowiada orędowniczka wojny, która obok książek sprzedaje i leki: przywiezione z Rosji mikstury, niektóre apteczne, inne tradycyjne. „Jak nas Sajuz porzucił, trzeba było sobie radzić. No i tak sobie radzimy tu wszyscy” – omiata wzrokiem bazar. Na koniec podaje mi wizytówkę: „Na każdą chorobę coś mam”, mówi. „I niech pani telewizję ogląda, tam prawdę mówią”. Zanim odejdę, pytam jeszcze: „Naprawdę nie żal pani tych ludzi, co ich rosyjskie wojsko w Ukrainie morduje?”. Szczerbacka wzdycha, „Wiadomo, ludzi szkoda, ale tych faszystów wreszcie pobić trzeba”.

W DRODZE

W marszrutce do Biszkeku wszystkie miejscy zajęte. W przejściu siatki z arbutami i inne zakupy. Z Karakola do stolicy jedzie się wzdłuż północnego brzegu Issyk-Kul. To drugie, po Titicaca, największe górskie je-

zioro na świecie. Nie zamarza nawet zimą, wodę ma słoną, a rozmiarami przypomina morze. Przy ładnej pogodzie niebo jest kobaltowe, woda kobaltowa, brzegi porasta pomarańczowy krzak rokitnika, na horyzoncie piętrzą się ośnieżone szczyty. Nie dziw, że turyści przyjeżdżali tu w czasach radzieckich i przyjeżdżają też dziś. Kirgizi uwielbiają Issyk-Kul. To ich – podobnie jak Ajtmatow – duma.

Droga jest nowa, zbudowali ją Chińczycy. Samochód sunie po gładkim asfalcie, na ekranie leżą teledyski kirgiskich gwiazd popu. Historie o miłości, o zdradzie. Niektóre całkiem życiowe: ktoś wyjechał na zarobek do Rosji, żona czeka z utęsknieniem. Ktoś inny ma kłopoty z mafią, trafia nawet do kryminału. „Niedługo będą robić takie o wojnie i mobilizacji”, zagaduje mnie Damir, chłopak o rękach robotnika i ubraniu alpinisty. Do Biszkeku jedzie po części zamiennie. „W Karakole samo barachło”, mówi, a on samochód ma nowszy. Zepsuł się i do domu nie ma jak wrócić. Do domu to znaczy do Rosji, choć właściwie to on z Karakola, wyznaje. „A ty z Polski?” – Damir patrzy badawczo. „Maładcy”, mówi z podziwem. „Dobłą robotę robicie”. Ma na myśli pomoc Ukrainie i ogólne stawianie się Rosji. Jemu samemu jest wstyd. Za Putina i za naród rosyjski.

Etnicznym Rosjaninem Damir bynajmniej nie jest. Ojciec był Baszkirem, a matka Tatarką, spod Kazania. Urodził się w Karakole. Kirgiski jest jego drugim językiem. Dziś jednak mieszka gdzie indziej. „Jak Sajuz się rozpadł, a ojciec umarł, matka uznała, że czas wracać do Tatarstanu, czyli do Rosji”. Od tamtej pory Damir kursuje między dwoma państwami, z dwoma paszportami w ręce. Tu i tam krewni, tu i tam praca. Górskie krajobrazy dookoła Karakola siedzą mu w duszy. Zna tu prawie każdą perć i jak nie ma zleceń na budowie, prowadzi turystów w góry.

„Pięć lat temu byłem wyznawcą Putina”, przyznaje Damir, patrząc na mijające za szybą krajobrazy. Na ścianie miał kalendarz

z wodzem z Kremla, chodził na wiece. Dziś wyjaśnić tego nie umie: „Chciałem wierzyć w tego gościa po prostu”. Przebudzenie nastąpiło nagle. „Dotarło do mnie, że pracuję jak osioł, a stać mnie na coraz mniej. W Rosji, zamiast się poprawiać, idzie ku gorszemu. W Moskwie będę mniej widać, choć i tam babki żebrają na ulicach. Ale na prowincji to masakra”. Tymczasem „zamiast gospodarke naprawiać, Putin sąsiadów najeżdża i o faszystach bredzi”, zżyma się Damir. „Jacy faszyci, k***a?” – pyta. „Kraju przed rosyjską agresją bronią. A lud w Rosji, telewizją zatruty, w specoperację wierzy. A to przecież normalna wojna”.

Protestów w Rosji spodziewać się nie należy, Damir złudzeń nie ma. „Niektórzy się boją, innym wszystko jedno, a jeszcze inni wierzą w propagandę z Kremla”, stwierdza. Sam też nie wyszedł na ulicę, choć – jak mówi – zastanawiał się. „Człowiek dla wygody politykę ignorować zaczyna. Ci, co mają kasę, dają dyla do Turcji albo Kirgistanu. A biedny naród niech ginie na froncie”, stwierdza gorzko. „Rosjanie żyją w rzeczywistości równoległej. Wygodnie im wierzyć w bajkę o Rosji, która ratuje świat przed faszyzmem. Nie starcza im nawet do połowy miesiąca, a w telewizji słyszą, że Rosja to potęga. Druga armia świata podobno. To dlaczego taki wp***l dostaje?” – pyta. Tylko że Rosjanie wiedzieć o tym nie chcą, mówi: „Dotrże do nich, jak Putin mobilizację zarządzi”.

Rosyjski paszport jest niebezpieczny, zwłaszcza w rękach potencjalnych poborowych. Damir wezwanie dostanie na pewno. Pytam, czy musi wracać do Tatarstanu. A jak zaczną mobilizować? „Na putinowską agresję przeciwko Ukrainie nie pójdę. Jak będzie trzeba, zbieram bety i wracam do Karakoła”.

BISZKEK, STOLICA

Przygotowania do uroczystości rodzinnej. Tak zwana „nowostrojka”, dom na przedmieściu, w ogrodzie krzaki róż. W powietrzu lekkie podniecenie, jak to przed dużą imprezą. Prezenty zapakowane, kreacje gotowe. Wesele wprawdzie jutro, ale już dziś napić się trzeba.

„W tej wojnie to kto ma rację?” – pyta Ajbek, nalewając wódkę w kuchni przy stole. Rolnik, po pięćdziesiątce, przyjechał znad jeziora Issyk-Kul. „Ukraina” – mówię. Ajbek kiwa głową. Jego szwagierka, gospodyni domu, nalewa coca-cole. „Ile się tu nam Ruskich zjechało! Panajechali, tak się tutaj mówić”. Zaraz dodaje, jakby na usprawiedliwienie, że tych nowych „Ruskich” (bo to nie

o Rosjan, tylko o Ruskich chodzi) od tych, co w Kirgistanie mieszkają jeszcze od czasów ZSRR, łatwo odróżnić: „Nasi grzeczni są, niektórzy po kirgiskiu mówią. Miejsca w marszrutce ustąpią. A te nowe to nogi na siedzeniu położą, butami nabrudzą. I najgorsze, że wydaje im się, że u siebie są”.

Żołnierzy też rekrutują, jakby u siebie byli. Na Dordoi-bazarze, największym centrum hurtowym stolicy, ktoś widział ulotkę, że do pracy werbują, w Ukrainie. „Do p r a c y” – mówi dobitnie Asel, gospodarz domu. „Rosja na front werbuje, przez pośredników”. Ulotki szybko zniknęły: ktoś zrobił zdjęcie, wrzucił na Facebooka, zrobił się szum. „Wojna między Rosją a Ukrainą to jakby Kazachstan Kirgistan najechał.

Wojna między Rosją a Ukrainą to jakby Kazachstan Kirgistan najechał. Brat na brata

Brat na brata” – mówi Ajbek, biorąc w palce kieliszek. Na prowincji tego nie czuć, ale w Biszkeku ceny poszły w górę i mieszkańie znaleźć trudno. Nastroje bywają napięte. Czasem ktoś z Rosji parę obelg usłyszy. Pachtabasz na nich mówią, po kirgiskiu, „bawelniany leń” – wyjaśnia szwagierka. Teoretycznie to na zwolenników Putina, ale dostać się może każdemu.

„Mnie osobiście nie wstyd za tych Kirgizów, co Ruskim na ulicy wygarną” – mówi Asel, gospodarz domu, nalewając kolejne sto gramów. Sam był w Rosji jako turysta, ale tysiące kirgiskich rodzin, zwłaszcza z biedniejszych regionów, żyje z tego, że ktoś od nich w Rosji pracuje: od Peters-

burga po Sachalin, często całe lata. „Jak nas tam traktują?” – pyta, raczej retorycznie. „Petersburg, Moskwa – piękne miasta. Ja się tam jednak więcej nie wybieram. Nie mam ochoty na te ich rasistowskie kontrole, bycie sprawdzanym w metrze po dziesięć razy, bo twarz z Azji Środkowej się nie podoba. To imperialne chamstwo i dobrze, że sytuacja się potrafi odwracać”.

Najbardziej nad wojną boleje Kanybek, 60-latek z Talasu, może dlatego, że literat i historyczne powieści pisze. „W Rosji pamięć krótka” – mówi. „Zdawało się, że następnej wojny nie będzie, przynajmniej nie w byłym Sajuzie. Historia jednak się powtarza”. Kanybek obraca w palcach kieliszek. „Już za caratu chcieli brać Kirgizów na I wojnę światową” – przypomina. „Kirgizi powstałi wtedy przeciwko Rosji, choć źle się to skończyło. Dziś Kirgistan jest niepodległy i Putin niewiele może. Inne narody, co mieszkają w Rosji, mają mniej szczęścia” – mówi. „Jak Rosja chce wojny prowadzić, to niech swoich na front wysła. A nie żeby Dagestańczyków albo Buriatów mobilizować. Obcymi lepiej się wojuje, bo samemu ginąć nie trzeba?”.

TALAS, ZACHÓD

Z metalowych łóżek zdjęto materace. Gołe sprężyny nakryte są płachtą z plastiku, na nich pocięte jabłka. Suszą się w jesiennym słońcu. Za stojącą w ogrodzie jurta uginają się od owoców jabłonie. W powietrzu pachnie jabłkami. Świeżymi, suszonymi, gnijącymi w trawie.

Dom nie jest najnowszy i właściciele niemłodzi. Gospodarz, na schodach, zaciąga się papierosem, drugą ręką obejmując wpatzonego w smartfona wnuka. Jego żona, Gulnara, w kapciach i podomce, żuje jabłkowe chipsy. „Nawet skórki suszymy, na zimę będzie kompot”, pokazuje na wiszące pod powalą siatki pełne pomarszczonych skórek. Gulnara i jej mąż są na emeryturze. Obydwoje z wyższym wykształceniem. Mieszkają w Talasie, na zachodnim krańcu Kirgistanu. To ta sama prowincja, skąd pochodzi Ajtmatow. Tu każdy, przynajmniej w starszym pokoleniu, umie wymienić swój ulubiony utwór pisarza.

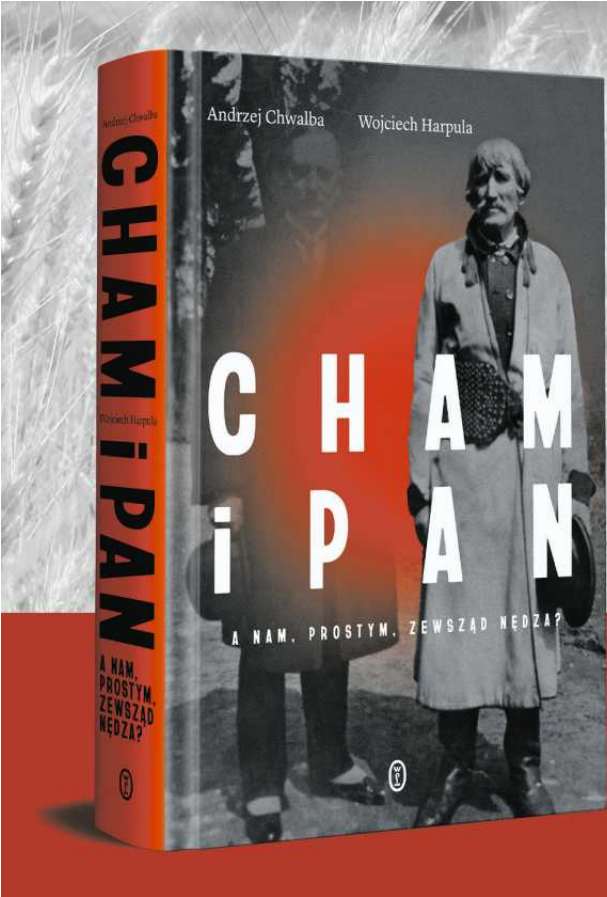
Emerytura jest skromna, ale Gulnara i jej mąż mają sad i pole, a i dzieci pomogą, jak trzeba. „To u nas lubię” – mówi Gulnara. „Kirgistan jest biedny, ale ludzie nie czekają, aż ktoś im da, tylko biorą się do roboty”. Gospodarka martwi ją jednak mniej niż wojna w Ukrainie. „Teraz to człowiek tylko pokoju pragnie” – wyznaje. „Najpierw czekaliśmy, aż koronawirus minie. A potem Putin na

Ukrainę napadł. Po co?” – pyta była nauczycielka i mówi dalej: „Ojciec i teść byli na wojnie. Całe pokolenie było. Nawet sto lat nie minęło. Komu to potrzebne? Putinowi może. Normalnym ludziom nie”.

Mieszkańcy Talasu uznają się za krytycznych wobec władzy. Rewolucja w 2010 roku zaczęła się tutaj. To jedno z wydarzeń zwrotnych w nowszych dziejach Kirgistanu. Obalono wtedy prezydenta Kurmanbeka Bakijewa (dziś mieszka na Białorusi), wśród demonstrantów były ofiary. Pochowane są pod Biszkekiem, w tym samym mauzoleum co ojciec Ajtmatowa. W czasie tulipanowej rewolucji w 2005 roku protesty były też w Talasie. „My mówimy, co myślimy” – stwierdza Gulnara. Nie ze wszystkimi jest jednak szczerza: „Niektórych sąsiadów unikam. Propagandę oglądają i za Rosją są”. U Gulnary leci Euronews: kanał rosyjskojęzyczny, ale z Europy, w Rosji zabroniony. „Z tymi waciakami nie ma co gadać. Ja za Ukrainą jestem”.

„Zelenski to skarb. Niby doświadczenia nie ma, a jak sobie radzi! I jakie przemówienia ma dobre!”. Gulnara wie, bo sama pisuje opowiadania. Na hasło Putin jej twarz tężeje. „Wredny człowiek. Jedna osoba, a ile zła wyrządzić może?” – zauważa filozoficznie. „Ilu ludzi na śmierć wysłał, a ilu jeszcze wysłać?” – pyta. Wielu Kirgizów, którzy w Rosji pracują od lat, ma rosyjskie obywatelstwo. Tych Rosja może powołać w każdej chwili. Na front jadą też najemnicy, dla zarobku. Gulnara nie wierzy, żeby byli wśród nich Kirgizi. „Wątpię, czy to będzie interes ich życia” – mówi sarkastycznie. Do Kirgistanu z kolei jadą ci, co się przed poborem chowają. „Wystarczy, że granicę przekroczą, numer zmieniają, kto ich znajdzie? Nie tylko z Rosji jadą, z Białorusi też”. Inni z kolei, opowiada, uciekają przed sankcjami, choć wielu się do tego nie przyzna. Z jedną Rosjanką Gulnara rozmawiała w Biszkeku: „Jak u was, w Rosji?”. „Normalnie”. „A ceny?”. „Normalnie”. „Jak tak normalnie, to po co przyjeżdżacie?”.

Z Talasu do Kazachstanu niedaleko, przez góry 30 km, do przejścia granicznego może 70. Kazachski prezydent Kasym-Żomart Tokajew już od wiosny dystansuje się od rosyjskiej polityki i powtarza, że Kazachstan nie uzna ani Donieckiej, ani Ługańskiej Republiki Ludowej. Dla Gulnary to właściwe postępowanie. „Kirgistan jest mały i niewiele może” – mówi Gulnara, „ale powinien działać tak samo. To nie nasza wojna. Sęk w tym, że Putin Sajuz chce odbudować. Jeśli tak, to i na Kirgistan przyjdzie pora, a wtedy to już będzie nasza wojna, niestety. Dlatego popieram Ukrainę. Za wolność walczy. Wolność dla mnie jest najważniejsza”.



ZASKAKUJĄCA ODPOWIEDŹ NA „LUDOWĄ HISTORIĘ POLSKI”

PRAWDZIWE DZIEJE POLSKIEGO CHŁOPSTWA – OD PIASTÓW PO PRL



WYDAWNICTWO LITERACKIE



facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydlit

Nowy minister ds. Unii Europejskiej

ZASŁONA DYMINA KACZYŃSKIEGO

**Chcesz być w PiS,
ale masz dość tej partii?
Zniknij z mediów jak Konrad Szymański.**

Po złożeniu rezygnacji minister ds. Unii Europejskiej wpadł na prywatne przyjęcie, na którym było sporo gości spod znaku PiS-light. Był gwiazdą wieczoru. Kolejne osoby podchodziły do niego i... gratulowały mu decyzji o odejściu z rządu.

Ale czy Szymański sam odszedł ze stanowiska, czy został do dymisji zmuszony?

– Jedno i drugie. Była delikatna sugestia, żeby odszedł, a on nie chciał się bronić, od dawna chciał odejść – mówi polityk PiS. Bo to misja skrajnie trudna, gdy Solidarna Polska torpeduje wszystkie próby porozumienia z Komisją Europejską. Nominaci ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry wciąż ściągają wielu sędziów, a to przekonuje Komisję Europejską, że działania PiS w sprawie praworządności są pozorne, i kółko się zamyka. Jednym z warunków tzw. kamieni milowych w Krajowym Planie Odbudowy jest przywrócenie represjonowanych sędziów do pracy, a Ziobro to utrudnia, nie chce odblokowania pieniędzy, bo wzmocniłoby to jego wroga, czyli Mateusza Morawieckiego. Dlaczego dymisja nastąpiła teraz? Czy Szymański nie widział, jak działa PiS w sprawie sądów? – Do szarpaniny z Ziobrą się przyzwyczaił, projekty pism Ziobry wysyłane do Brukseli łagodził i przerabiał. Może dziś żałuje straty energii i czasu, ale z drugiej strony pieniądze unijne do tej pory do Polski płynęły. Ale teraz sytuacja jest inna: całe PiS przejęło język i taktykę Ziobry. Ostatnie zderzenie Szymańskiego z Ziobrą dotyczyło ustawy o spłaszczeniu struktury sądów, co będzie okazją do czystki personalnej i usadzenia swoich ludzi w kolejnych sądach oraz wyrzucenia tych, których Ziobro nie toleruje. Kilka miesięcy temu projekt nie przeszedł przez Komitet Stały Rady Ministrów, dziś podobno wraca z zielonym światłem od Jarosława Kaczyńskiego – tłumaczy mój rozmówca z PiS.

A zatem można rozumieć, że uruchomienie tego projektu to sabotaż wobec starań Morawieckiego, by odblokować środki z UE. W przypadku Ziobry całkowicie celowy, jak słyszę. Być może prezydent Andrzej Duda zawetuje tę ustawę, jak dowiaduję się nieoficjalnie, ale cała zabawa polega na tym, aby ten projekt zgłosić i procedować w Sejmie, a to już sprawi, że stanowisko Komisji Europejskiej ponownie się usztywni i porozumienie stanie się niemożliwe.

SZYMAŃSKI OSTRZEGA

– Zaproponowałem swoją dymisję premierowi. Mam poczucie, że pewnych blokad i w Warszawie, ale także w Brukseli nie udało się przela-



• Konrad Szymański przemawia w Sejmie w 2016 roku, kiedy był wiceministrem spraw zagranicznych w rządzie PiS FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

DOMINIKA
WIELOWIEJSKA

mać. Uznałem, że być może do tej całej palety środków należy dodać również nowe otwarcie personalne – powiedział dziennikarzom Szymański zaraz po dymisji w połowie października. Po czym zamilkł, odmawiał wywiadów, także „Gazecie Wyborczej”.

A dlaczego akurat Szymański odszedł? Prezes PiS był zirytowany treścią Krajowego Planu Odbudowy i tzw. kamieni milowych, czyli warunków, które muszą być spełnione, by Polska otrzymała pieniądze z Funduszu Odbudowy. Ale za to bezpośrednio odpowiadał Waldemar Buda, minister rozwoju i technologii, a nie Szymański.

– Być może Buda też odejdzie, bo atakują go w PiS niemal wszyscy. Szymański chciał sam skrócić ten okres grillowania – dodaje mój rozmówca.

Pretensje Nowogrodzkiej do Szymańskiego wynikają z tego, że on oraz premier przekonywali Kaczyńskiego, że mechanizm „pieniądze za praworządność” będzie martwy, a TSUE uznał, że jednak nie. Pieniądże zatem są blokowane, a miały płynąć.

Chodzi o to, że w gąszczu unijnych przepisów, rozporządzeń i wyroków TSUE wiele osób – w tym politycy Zjednoczonej Prawicy – gubi się lub manipuluje informacjami. Tymczasem zgodnie z tym, co mówili Szymański i Morawiecki, mechanizm „pieniądze za praworządność” nie został uruchomiony! Tak więc ten zarzut SP jest chybiony. Natomiast Szymański przestrzegał, że jeśli politycy rządzący nie będą realizować wyroków TSUE, jeśli będą ogłaszać, że one Polski nie obowiązują, że prawo krajowe jest ponad prawem unijnym, to skończy się to na pewno reakcją Komisji Europejskiej. To zatem porażka całego PiS, a nie Morawieckiego czy Budy, a na pewno nie Szymańskiego, który nie zajmował się KPO. A jednak Solidarna Polska jego oskarżała, że blokuje bardzo dobre zmiany w sądownictwie.

Ostatnio okazało się, że zagrożone są nie tylko pieniądze z postpandemicznego Funduszu Odbudowy, ale także dwa razy większe środki związane z unijną polityką spójności. Na razie te ostatnie nie zostały zablokowane, sprawa jest odległa, bo dopiero w przyszłym roku rząd będzie wnioskował o te pieniądze po realizacji konkretnych projektów. Jednak popłyną tylko wtedy, gdy rząd PiS będzie przestrzegał Karty Praw Podstawowych, a tam też jest mowa o prawie do niezależnego sądu.

PiS twierdzi, że Komisja Europejska dostała ustawę likwidującą Izbę Dyscyplinarną, a potem zaczęła mnożyć kolejne żądania. To nieprawda. Precyzyjnie wyjaśnia to Tomasz Bielecki w OKO.press. Warunkiem postawionym w KPO jest to, by nie wolno było dyscyplinarnie ścigać sędziego, który domaga się testu niezależności innego sędziego lub go przeprowadza. I właśnie kwestia tego testu jest główną przyczyną blokowania wypłat – i jedyną przeszkodą, którą von der Leyen wymieniła publicznie już w czerwcu.

Duda wynegocjował z Komisją Europejską zapis dotyczący testowania sędziów, ale Solidarna Polska w tej sprawie przeforsowała swoją poprawkę, bo chce blokować wszystko, co zagraża statusowi neosędziów. I przez to uchwalone prawo stało się nadzwyczaj mętne. A neo-KRS już ogłosiła, że trzeba ścigać sędziów, którzy będą podważać status neosędziów. Aby odblokować pieniądze z UE, najprościej byłoby wykonać środek tymczasowy TSUE, który zakłada zawieszenie tzw. ustawy kagańcowej – tej, która umożliwia PiS prześladowanie sędziów. Ale PiS tego nie robi i kara nadal rośnie o milion euro dziennie.

Dodajmy na marginesie, że te bardzo ostrożne warunki Komisji Europejskiej, zapisane w KPO, wielu przedstawicieli opozycji oraz środowiska sędziowskiego uważa za zgniły kompromis, bo ich zdaniem Komisja powinna zażądać także np. zmian w sposobie powoływania KRS i wielu innych modyfikacji. W tym kontekście opowieści o dramatycznej ingerencji Brukseli brzmią śmiesznie.

KACZYŃSKI SIĘ UTWARDZA

Szymański nie miał takiej siły sprawczej, aby zmienić nastawienie PiS. Zdawał sobie sprawę, że nie nadaje na tych samych falach co prezes Kaczyński, a w partii wszyscy byli przekonani, że Kaczyński po prostu tego ministra nie lubi. Szymański podchodził do relacji z UE pragmatycznie i na pierwszym miejscu stawiał interes finansowy Polski. Kaczyński lekceważył fakt, że siła Polski na arenie międzynarodowej zależy od siły jej gospodarki. Jest przekonany, że ostry konflikt z Unią i z naszymi sojusznikami, mimo że szkodliwy, świadczy o naszej podmiotowości i o tym, że liczymy się na świecie. Nieważne, że nic nie ugramy, ważna jest awantura, bo ona ma wymusić, by nas szanowali. To absurdatne, ale prezes w to wierzy, bo też z biegiem lat zaczął postrzegać świat wyłącznie w kategoriach zagrożenia i jest przekonany, że wszyscy dybią na Polskę i chcą ją poniżyć. To utrudnia mu racjonalną ocenę sytuacji.

Minister ds. Unii Europejskiej dążył do kompromisu z instytucjami unijnymi i chciał doprowadzić do załagodzenia konfliktu, tak aby środki z Funduszu Odbudowy popłynęły. Z kolei Kaczyński uważał, że można zamarkować jakieś zmiany, Unia da się nabrać i pieniądze mieć będzie. Ale skoro się nie udało, to trzeba postawić na konflikt. Bo dla Kaczyńskiego ważniejsze niż pieniądze jest utrzymanie obozu politycznego w jedności. Partia to jego życie, może stracić władzę, ale nie partię, choć gospodarka szła na dno, a musi też brać pod uwagę skrajnie antyunijne nastroje w swoim środowisku. Kaczyński mógł obejść Ziobrę i przegłosować odpowiednie poprawki, które odblokowałyby unijne pieniądze, razem z częścią opozycji, jak sugerował Morawiecki, ale Kaczyński nie chciał właśnie z powyższych powodów.

– Reformujemy już ten wymiar sprawiedliwości siódmy rok. Ja bym nie chciał umierać za wymiar sprawiedliwości. Naprawdę. Nie oplaca się. Oplaca się utrzymać przede wszystkim suwerenność Polski, to jest dziś najważniejsze. KPO i całe środki unijne, które są zależne także od tego programu, służą wzmocnieniu naszej suwerenności – mówił premier na jednym ze spotkań ze zwolennikami PiS. – Wszyscy, którzy próbują rozpętać histerię wokół tzw. kamieni milowych, leją wodę na młyn ruskiej propagandzie. Wiecie dlaczego? Dlatego, że suwerenność możemy utracić także poprzez gigantyczny kryzys gospodarczy – tłumaczył. I to jest też myślenie Szymańskiego. Ale obaj nie zdołali przekonać prezesa PiS.

Szymański odszedł, ale jeśli Morawiecki nie załatwi żadnych pieniędzy z FO, jeśli zima będzie ciężka, a notowania PiS będą spadać, to następnym zderzakiem Kaczyńskiego będzie właśnie premier. A najbardziej niesamowite jest to, że w PiS działanie na szkodę Polski nie robi wrażenia, nikt się tam otwarcie nie buntuje, choć po cichu wielu posłów zgadza się z Szymańskim. Oficjalnie popierają jednak demontaż sądownictwa oraz decyzje, które pogłębiają kryzys w Polsce i osłabiają polską gospodarkę.

PRACOWITY, CZYLI NIEPOTRZEBNY

Zarówno Szymański, jak i jego następca Szymon Szynkowski vel Sęk rozpoczynali karierę w Poznaniu pod skrzydłami działacza ZChN, a później PiS Marcina Libickiego, ojca senatora PSL Jana Filipa Libickiego.

Urodzony w 1969 roku Szymański jest absolwentem Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Działał w ruchach pro-life, na studiach kolegowal się z Romanem Giertychem, który stworzył komitet reaktywujący Młodzież Wszechpolską, ale Szymański poszedł do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, bo bliskie mu były poglądy Marka Jurka. W ZChN dochodzi jednak do rozłamu po ogłoszeniu tzw. listy Antoniego Macierewicza i upadku rządu Jana Olszewskiego

w 1992 roku. Jurek z Szymańskim byli przeciwno Macierewiczowi, a za ówczesnym liderem ZChN prof. Wiesławem Chrzanowskim.

W pierwszej połowie lat 90. Szymański kierował biurem poselskim Marcina Libickiego z ZChN w Poznaniu. W czasie, gdy tworzyły się listy wyborcze Akcji Wyborczej Solidarność w 1997 roku, wynegocjował dla Libickiego czwarte miejsce na tych listach. Dzięki temu Libicki zdobył mandat. Od 1997 Szymański znów formalnie zaczął współpracę z Libickim w biurze poselskim i był zaprzyjaźniony z jego rodziną. W 2004 roku wystartował z powodzeniem do Parlamentu Europejskiego z listy Prawa i Sprawiedliwości, ale nie w Poznaniu, lecz we Wrocławiu.

Europoseł PiS zbyt pracowity i popularny? Dla Kaczyńskiego to sytuacja nie do wytrzymania

W 2009 roku Libickiemu wyciągnięto teczkę z IPN. Miał być „kontaktem operacyjnym” wywiadu PRL. Libicki stwierdził publicznie, że oskarżenia pod jego adresem to bzdura. Zapytał Kaczyńskiego, czy ma wystąpić o autolustrację. Prezes PiS odpowiedział, że nie trzeba, po czym wykreślił Libickiego z listy PiS do europarlamentu, argumentując, że ten nie wystąpił z autolustracją. Libicki ostantacyjnie odszedł z PiS i wniosek o autolustrację złożył, a sąd stwierdził, że jego oświadczenie lustracyjne jest prawdziwe.

Kaczyński po prostu Libickiego nie lubił i wykorzystał pretekst. Przecież w wielu innych przypadkach nie reagował na tego typu doniesienia z IPN wobec innych swoich współpracowników. Libicki był jednak osobą niezależną, utrzymującą dobre kontakty z wieloma środowiskami i politykami spoza PiS. Według Ludwika Dorna niechęć do Libickiego prezes PiS przeniósł też na Szymańskiego. Jednak Szynkowski vel Sęk też jest wychowankiem Libickiego, i awansował. Co więcej, na jednej z uroczystości w Wielkopolsce, z udziałem szefa MSZ Zbigniewa Raua, powiedział swojemu przełożonemu, że jest wychowankiem Libickiego, ale z partii za nim nie odszedł.

W eurowyborach w 2009 roku Szymański zdobył mandat dla PiS z okręgu wielkopolskiego. Wygrywał rankingi „Rzeczpospolitej” i „Polityki” na najlepiej merytorycznie przygotowanego europosła. I to zarówno gdy głosowali korespondenci, pracujący w Parlamencie Europejskim, jak i sami deputowani PE. Ale w 2014 nie wystartował, bo Kaczyński tego nie chciał.

SKAZANY NA NIELUBIENIE

W 2015 roku Szymański został sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jego poglądy ewoluowały od eurosceptycznych do umiarkowanie proeuropejskich. Z dawnych czasów pozostała tylko endecka pragmatyka.

Premier Beata Szydło miała do niego zaufanie, a on ostrzegał ją, że akcja z zablokowaniem wyboru Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej na drugą kadencję skończy się upokorzeniem. Wcześniej w TVN 24 pytany, czy Tusk jest dobrym kandydatem na szefa RE, mówił, że do sprawy trzeba podejść na chłodno i zobaczyć najpierw, jacy inni kontrkandydaci się pojawiają. To się w PiS nie spodobało: wszystkie wypowiedzi miały być zdecydowanie antytuskowe. Potem Szymański twierdził tak: – Tusk pogwałcił zasadę neutralności politycznej i to jest kluczowy powód, dla którego nie byliśmy w stanie znaleźć jakiegokolwiek scenariusza, który nie byłby konfrontacyjny wobec tej kandydatury.

Ale z biegiem czasu coraz rzadziej udzielał się medialnie, bo nie chciał tłumaczyć rozmaitych decyzji PiS, które uważał za nieracjonalne.

Początkowo dyplomaci unijni nie zawsze rozumieli jego ezopowy język – jak słychać było w Brukseli – i nie byli pewni, jakie jest stanowisko Polski w niektórych sprawach, np. w Irlandii przy negocjacjach brexitowych. Ale zasadniczo ludzie Donalda Tuska w czasach jego urzędowania w Brukseli jako szefa Rady Europejskiej wypowiadali się o Szymańskim neutralnie. On też nie narzekał: miał wspominać, że relacje z nimi były poprawne.

W 2020 roku objął stanowisko ministra ds. Unii Europejskiej. Był dobrze oceniany przez ministrów UE innych krajów członkowskich, bo cenili go urzędnicy, którzy skupiają się raczej na konkretnych projektach, a nie na polityce.

– Bardzo inteligentny, błyskotliwy, spokojny, nie daje się wyprowadzić z równowagi, ale wyniosły. Daje innym do zrozumienia, że rozmówca – najczęściej z PiS – nie dorasta intelektualnie do jego poziomu – słyszę w tej partii o Szymańskim. Może dawał to odczuć także Kaczyńskiemu, nie płaszczył się przed prezesem, jak to mają we zwyczaju inni politycy PiS. Ale i są ostrzejsze określenia: – Odszedł, bo ma w PiS opinię „Europejczyka” i „zdrajcy z elit”. Zgrywa brytola konserwatystę rodem z serialu „The Crown”, a poza tym nie umie postawić się Unii i jest człowiekiem Mateusza Morawieckiego. To wystarczające powody, by go pozbawić stanowiska – mówi inny mój rozmówca.

Solidarna Polska pomstowała, że Szymański wprowadzał w błąd Nowogrodzką co do intencji Komisji Europejskiej, że dał się urzędnikom brukselskim ograć wiele razy. Tygodnik „Sieci” zarzuca mu, że jest w bliskich relacjach z Różą Thun, a nawet zwraca się do niej per „Różyczko”. – Absurd – śmieje się posłanka Thun. – Raz w życiu odbyłam z nim poważną rozmowę przy okazji jakiegoś wydarzenia w Jerozolimie, poza tym nie przypominam sobie innych kontaktów – dodaje.

PĘKNIĘCIE PRZEZ ŻONĘ

Małżonką Konrada Szymańskiego jest sędzia warszawskiego sądu Iwona Szymańska, która swoją nominację zawdzięcza neo-KRS i należy do stowarzyszenia Iustitia.

W grudniu 2021 roku sędzia Anna Ptaszek rozpoznawała wniosek o wyłączenie ze sprawy senatora Krzysztofa Kwiatkowskiego sędzi Iwony Szymańskiej. I ją wyłączyła, bo jej mąż, właśnie Konrad Szymański, był wówczas członkiem obecnego rządu, a sędzia Szymańska sama wnosiła o wyłączenie z tego względu. Poza tym Szymańska została wadliwie powołana. – Sędzia Ptaszek powołała się na wyroki TSUE, ETPC i polskiego SN, w których podważono legalność nowej KRS i dawanych przez nią sędziom nominacji – relacjonowała OKO.press. Za to sędzia Ptaszek dostała zarzut dyscyplinarny. W marcu tego roku wydała oświadczenie, że odmawia orzekania z neosędzią Szymańską.

Tymczasem kilka lat temu znana publicystka prawna Ewa Siedlecka na swoim blogu napisała: „Robię prywatny spis sędziów,

którzy w sprawach politycznych orzekają wbrew partii rządzącej. Sędziów herosów, bo wiedzą, że zapłacą za swoją postawę”. I wymienila w tym kontekście m.in. sędzię Iwonę Szymańską z Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy. Chodziło o wyroki związane z protestem Obywateli RP przed siedzibą PiS na Nowogrodzkiej. „Takich sędziów jest więcej, nie wszystkie nazwiska przebijają się do opinii publicznej” – podkreślała Siedlecka.

„W innej sprawie sędzia Iwona Szymańska z Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawa, rozpatrując zażalenie Pawła Kasprzaka na zatrzymanie 24 lipca 2017 pod siedzibą PiS na ulicy Nowogrodzkiej, również uznała, że było ono niezasadne i nieprawidłowe, z naruszeniem praw obywatelskich i nadużyciem siły” – napisała publicystka.

– Po tym, jak Ewa Siedlecka umieściła Iwonę na swojej liście sędziów godnych zaufania, Konrad sobie trochę żartował z żony – słyszę od moich rozmówców.

Historia państwa Szymańskich pokazuje jednak pewien kliniec i pięknięcie w środowisku sędziowskim: co zrobić z takimi neosędziami jak Iwona Szymańska?

Przełomowa uchwała trzech izb Sądu Najwyższego z 2020 roku bez żadnych wątpliwości przewiduje, że powołanie sędziów SN z udziałem niekonstytucyjnej neo-KRS jest całkowicie wadliwe, ale już inaczej traktuje sędziów sądów powszechnych. Nie przekreśla z góry ich nominacji, lecz uznaje, że mogą przejść test bezstronności. Nie wszyscy sędziowie legalnie powołani zgadzają się z tym rozróżnieniem, np. sędzia Piotr Gąciarek uważa, że wszyscy neosędziowie powinni utracić swoje stanowiska i poddać się procedurze od nowa przed legalną, powołaną zgodnie z konstytucją Krajową Radą Sądownictwa. To rozróżnienie między określeniem statusu neosędziów SN a sędziów sądów powszechnych było widoczne szczególnie w sprawie neosędziego Jerzego Daniluka, prezesa lubelskiego sądu apelacyjnego. Według Izby Karnej SN Daniluk nie spełnia kryteriów bezstronności, niezależności i niezawisłości, a wobec tego skład z jego udziałem jest wadliwy. Sąd Najwyższy szczegółowo uzasadnił, dlaczego sędzia nie przeszedł testu, podając konkretne działania polityczne Daniluka i błędy w procedurze jego powołania. Do testu doszło na podstawie wspomnianej uchwały SN z 2020 roku, a nie ustawy prezydenckiej. Po prostu sprawa osądzana przez Daniluka pojawiła się w Sądzie Najwyższym, który musiał przeanalizować ją pod kątem proceduralnym. Ale pytanie, dlaczego Sąd Najwyższy zajął się tylko Danilukiem, a nie zajął inną sędzią z tego składu, która też została wskazana przez neo-KRS. Ano dlatego – odparła Izba Karnej SN – że o tej sędzi nie było informacji o związkach z władzą wykonawczą. Sąd z urzędu takiej wiedzy nie miał, a pełnomocnik prawny skarżącego wyrok też takich informacji nie dostarczył. Natomiast na temat Daniluka doniesień o jego związkach z PiS było mnóstwo.



Daniluk zresztą domaga się teraz od ludzi Ziobry ukarania sędziów SN, którzy ten test niezawisłości przeprowadzili.

A jeśli chodzi o Iwonę Szymańską, to koledzy sędziowie, którzy uważają, że uchwała SN z 2020 roku jest zbyt łagodna, mają do niej żal, że zdecydowała się wziąć udział w procedurze prowadzonej przez neo-KRS. Bo ich zdaniem w ten sposób legitymizowała bezprawne działania PiS.

ZAOSTRZENIE KURSU

Wraz z odejściem Szymańskiego wielu komentatorów spodziewa się zaostrzenia sporu z Brukselą, ale niewykluczone, że Kaczyński ma plan, aby do zwrotu wykorzystać nowego ministra ds. Unii Europejskiej Szymona Szynkowskiego vel Sęka. Plan polega na stworzeniu zasłony dymnej w postaci ostrych retorycznych ataków Szynkowskiego na Niemcy. Ostatnio nowy minister napisał na Twitterze: „Tęgo rodzaju arogancki, beczelny, pełen wyższości i buty ton doskonale pokazuje, że bardzo wielu Niemców cały czas nie rozumiało czym dla Polski była II WŚ i brak rozliczenia zbrodni”. To był komentarz ministra do wypowiedzi niemieckiego eksperta prof. Christiana Tomuschata, który uważa, że Polska nie ma podstaw, by domagać się od Niemiec odszkodowań.

Ale może ta retoryka ma przykryć po cichu prowadzone negocjacje, aby doprowadzić do kompromisu z Komisją Europejską? W tej wersji nastąpiłyby kolejne zmiany dotyczące systemu dyscyplinarnego sędziów. Gdyby jednak nawet Szynkowski vel Sęk otrzymał takie zadanie, to i tak problemem jest Ziobro. Bo owszem, ustawę o spłaszczeniu struktury sądów można zablokować, można uchwalić poprawki zgodnie z zaleceniami KE, ale problemem są ludzie ministra sprawiedliwości, którzy w roli rzeczników dyscyplinarnych z rozmysłem będą ścigać wybranych sędziów. I Komisja Europejska uzna, że wszystkie działania PiS są pozorowane.

No i nie wiem, czy Szynkowski vel Sęk jest najlepszym kandydatem do krytykowania

Niemców, bo to były stypendysta programu Erasmus na Uniwersytecie w Osnabrücku. Już w 2001 roku, jako 19-latek, angażował się w politykę, bliskie mu było środowisko „Gazety Polskiej”. Opowiadał, jak tata zabrał go jako 10-letniego chłopca na spotkanie z Janem Olszewskim i że było to ważne wydarzenie formacyjne w jego życiu. Ale jednocześnie był postrzegany w Poznaniu jako osoba o umiarkowanych poglądach. Został miejskim radnym, miał opinię dobrego, pracowitego organizatora. – Ale po 2015 roku wszystko się zmienia, nagle zostaje radykałem, twardym PiS-owcem, jest też zakolegowany z byłym ambasadorem Polski w Berlinie Andrzejem Przylębskim. W PiS mówi się o Szynkowskim, że świetnie mówi po niemiecku i dobrze zna Niemcy. I coraz ostrzej na temat Niemiec się wypowiada. A na pewno jest o wiele bardziej zaangażowany w życie partyjne niż Szymański.

Gdy pytam, jakie naprawdę poglądy ma dziś Szynkowski vel Sęk, jeden z moich rozmówców odpowiada: – Ma takie, jakie akurat są wymagane w jego partii i jakie będą się podobać Jarosławowi Kaczyńskiemu. Jest bardzo nastawiony na karierę i na spełnienie oczekiwań prezesa PiS.

Ma wielkie ambicje, wcześniej liczył na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Musi walczyć o swoje, także ze względu na napięcie między nim a Bartłojem Wróblewskim, posłem PiS z Poznania. Bo przy spadających notowaniach Prawo i Sprawiedliwość może tu liczyć tylko na dwa mandaty i jak centrala wrzuci na listę w Poznaniu jakiegoś spadochroniarza, to między Wróblewskim a Szynkowskim może rozegrać się walka na polityczne śmierć i życie.

Gdy Szynkowski vel Sęk w 2015 roku wystartował do Sejmu w okręgu poznańskim, dostał 8676 głosów. To nie był wynik, który rzucał na kolana. Od 2018 pełnił funkcję sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nie zdobył mandatu w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 roku, ale w wyborach parlamentarnych poszło mu lepiej – dostał 24 tys. głosów. W 2020 roku został szefem partii w Poznaniu, wyników w mieście nie poprawił.

• **Szymon Szynkowski vel Sęk właśnie zastąpił Szymańskiego na stanowisku ministra ds. Unii Europejskiej w rządzie PiS** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Teraz zastąpił go Tadeusz Zysk, który nie ma o koledze z partii najlepszego zdania. „Minister Szynkowski vel Sęk wypowiadał się często za ostro, może to w innych regionach działa, ale nie u nas w Poznaniu” – tłumaczył Zysk w „Gazecie Wyborczej” i to się w partii nie spodobało. Niedługo potem zaczęto kolportować plotki, że Zysk przestanie kierować poznańskim PiS. Szynkowski vel Sęk wołałby na czele regionu kogoś ze swoich bliskich współpracowników i o to zabiega na Nowogrodzkiej.

13 października 2022 prezydent Andrzej Duda wręczył mu nominację na stanowisko ministra ds. Unii Europejskiej, ale wcześniej mówiono, że Szymańskiego mógłby zastąpić inny wiceminister spraw zagranicznych, Paweł Jabłoński. Przegrał jednak tę konkurencję, bo jest uważany za człowieka Morawieckiego, a z maili Michała Dworczyka wynika, że ludzie Morawieckiego analizowali lojalność urzędników rządowych. Sześć nazwisk Dworczyk zaznaczył na żółto. „Jeżeli mielibyśmy kierować się starą sprawdzoną zasadą wygrawerowaną na sztylętach Waffen SS – Meine Ehre heißt Treue (moim honorem jest wierność) – to poddałbym pogłębionej analizie i namysłowi te numery...”. W grupie „niepewnych” urzędników był Szynkowski vel Sęk. W PiS podejrzewają, że może dzięki temu Kaczyński postanowił go awansować.

Najbardziej radykalni europosłowie PiS Szymańskiego nie lubili i zmianę na tym stanowisku przyjęli z wielką radością. Szynkowski wypowiada się o wiele ostrzej niż poprzednik, ale ma dobre relacje z Szymańskim.

– Radykalowie z europarlamentu już zaczynają mu skakać po głowie, żądają jeszcze ostrzejszej retoryki, a ponieważ napotykają opór Szynkowskiego, to zaczynają publicznie mu radzić, co ma robić, zgłaszają nierealistyczne żądania. Szynkowski będzie się musiał z tym mierzyć – mówi jeden z moich rozmówców.

Trudno ocenić, czy Szynkowski vel Sęk odnajdzie się w tej roli, bo nie jest obeznany z funkcjonowaniem Brukseli.

– Był już na posiedzeniu Rady UE w nowej roli, gdzie dyskutowano o Polsce, ale zachowywał się w normie – mówią moi rozmówcy. Pani komisarz Věra Jourová została zasłodzona polskimi krówkami, które polska dyplomacja rozdaje przy takich okazjach, ale krówki nie wystarczą, by odblokować pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. ●

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”

NA NARTY. Sezon 2022-23

14 stacji w Europie, na których połączysz jazdę z kibicowaniem.

Wybieramy sprzęt.
Przeczytaj, zanim ruszysz do sklepu.

PARTNER WYDANIA

 **Urlop w Austrii**



ZŁOTY CHŁOPIEC JUŻ MA ZĘBY

Kaczyński jest bardziej psem, który warczy, niż gryzie. Na czym polega gryzienie, przekonalibyście się, gdyby rządził Ziobro.

Z **RENATĄ GROCHAL**, DZIENNIKARKĄ TYGODNIKA „NEWSWEEK” I AUTORKĄ KSIĄŻKI „ZBIGNIEW ZIOBRO. PRAWDZIWE OBLICZE”, ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

Jakie jest to „prawdziwe” oblicze ministra Ziobry?

– Zdeterminowany i mściwy. To drugie sprawiło zresztą, że główną trudnością przy pisaniu książki było przekonanie rozmówców, by w niej wystąpili pod nazwiskami. O ile politycy dawali się jeszcze namówić, o tyle prokuratorzy – z dwoma wyjątkami – zastrzegli anonimowość.

Wyjątki to...

– Jerzy Mierzewski, który rozpracowywał m.in. mafię pruszkowską, zaś z Ziobrą zetknął się przy sprawie ekstradycji Edwar-da Mazura...

...czyli powiązanego z politykami SLD domniemanego złeceniodawcy zabójstwa generała Marka Papąły.

– W lipcu 2007 r., zanim sąd w USA podjął decyzję o ekstradycji, Ziobro zaplanował konferencję prasową, na której zamierzał ogłosić sukces. Gdy dowiedział się, że sędzia Arlander Keys wydania Mazura odmówił – co oznacza, że konferencja sukcesu zamieni się w ogłoszenie porażki – próbował wystawić zaproszonym już dziennikarzom właśnie Mierzewskiego.

To świetny fragment książki, zacytuję: „Przed konferencją Ziobro i Mierzewski spotykają się na korytarzu. – Musi pan ze mną wystąpić – mówi Ziobro. Prokurator stanowczo odmawia, tłumacząc, że »nie ma nic w temacie do powiedzenia (...), nie zna jeszcze nawet uzasadnienia decyzji [amerykańskiego] sądu i nie będzie z siebie robił idioty«. Ziobro stał na korytarzu, podskakiwał, wymachiwał rękami i krzyczał: »Nienawidzę pana, nienawidzę!«”.

– Ostatecznie prokurator na tej konferencji nie wystąpił, Ziobro stał sam przed dziennikarzami i miał na policzkach charakterystyczne czerwone plamy, które wychodzą mu na twarzy w momentach wielkich emocji. Jest dobrym mówcą, lecz wtedy głos mu drżał.

Kto jest drugim wyjątkiem?

– Prokurator Anna Adamiak, którą Ziobro próbował nakłonić do zmiany opinii biegłych tak, by pogrążyć kardiochirurga Mirosława Garlickiego.

Tego, o którym minister mówił w lutym 2007 r.: „Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie”.

– Tak. I dosłownie dzień po ukazaniu się mojej książki, 27 września we wtorek, prokuratorka została odsunięta od woka-nd w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie, o czym dowiedziała się od sekretar-ek. Gdy poszła do przełożonego zapytać,

o co chodzi, usłyszała, że dostanie teraz nowe obowiązki. Jednak szef nie umiał jej powiedzieć, jakie to będą zadania. Moim zdaniem zbieżność dat nie jest przypadkowa.

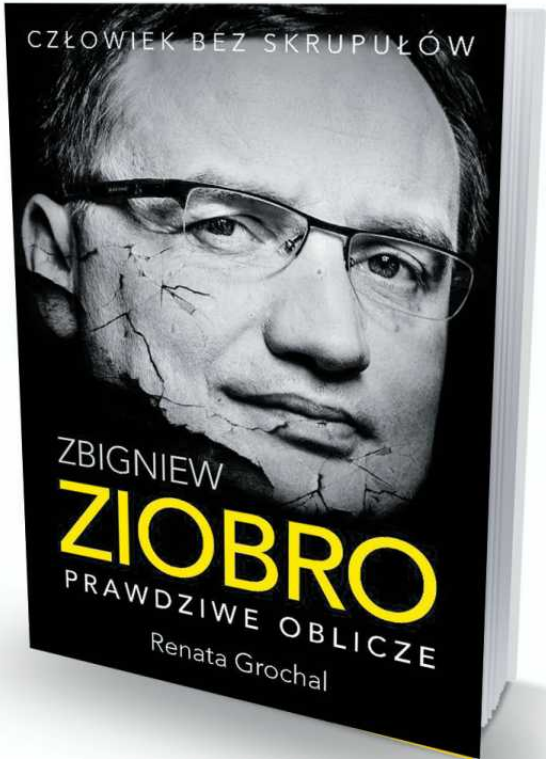
Ta mściwość łączy się u ministra z zamiłowaniem do takich właśnie kombinacji. Świetny jest u ciebie rozdział o student- kim śledztwie w sprawie szantażowania młodego Zbyszka.

– To jedyne śledztwo, jakie Ziobro w życiu przeprowadził. Ukrywał magnetofon kasetowy pod płaszczem, nagrywał kolegów...

się lat. I to nie koniec. Gdy był już dobrze funkcjonującym przedsiębiorcą, ktoś złożył donos w prokuraturze, że w firmie, w której zarządzie zasiadał, występują liczne nieprawidłowości. Zaprzyjaźniona z Ziobrą prokuratorka postawiła mu zarzuty. Został uniewinniony w 2017 r., a skarb państwa musiał mu wypłacić 5 tysięcy złotych odszkodowania. Jak mówiłam: Zbigniew ni- komu niczego nie zapomina.

Udało ci się ustalić tego tajemniczego nadawcę anonimów?

– Nie mam pojęcia, kim ta osoba jest.



Jeden z medyków-profesorów powiedział: „Nigdy tej sprawy nie wygramy, bo Ziobro chce, by za śmierć jego ojca ktoś odpowiedział – ktokolwiek i za cokolwiek”

Wyjaśnijmy genezę. Ktoś przysyłał studentowi Ziobrze anonimy, grożąc śmiercią, o ile nie dostanie pieniędzy.

– On prawdopodobnie wiedział od począt-ku, kto to, ale z jakiegoś powodu nie chciał iść na policję. Zrobił to dopiero, gdy po- gróżki dostali jego rodzice. Wtedy umyślił sobie, że wkręci w to przestępstwo dwóch swych ówczesnych kolegów. Robił róż- ne prowokacje, jednego próbował wro- bić w handel narkotykami. Ten człowiek, Marek Kasprzyk, został na pewnym eta- pie uznany za szantażystę – dopóki opinia grafologiczna ostatecznie go nie wykluczy- ła jako nadawcę owych anonimów. Po wy- roku skazującym w pierwszej instancji do sądu przyszedł kolejny niepodpisany list: „skazaliście niewłaściwą osobę, wszystkie listy są pisane przeze mnie”. Kasprzyk zo- stał prawomocnie oczyszczony ze wszyst- kich zarzutów, ale kosztowało go to dzie-

Kolejna zemsta Ziobry to słynna sprawa jego ojca, Jerzego, który zmarł w kra- kowskim szpitalu w czerwcu 2006 r. po wszczęciu stentów. Mama ministra, Krystyna Kornicka-Ziobro, w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” po- wiedziała publicznie, że ma żal do syna, który jako minister sprawiedliwości w latach 2006-07 „nie chciał zaangażo- wać się w sprawę”.

– Dlatego gdy drugi raz został ministrem, czyli po roku 2015, zaangażował się już na całego. Kilkakrotnie zmieniał przepisy, by zadowolić matkę i doprowadzić do skaza- nia krakowskich lekarzy, którzy leczyli tatę. Jeden z medyków-profesorów powiedział: „Nigdy tej sprawy nie wygramy, bo Ziobro chce, by za śmierć ojca ktoś odpowiedział – ktokolwiek i za cokolwiek”.

Mściwość ministra dotyka teraz sę- dziów.

– Igor Tuleya zmiażdżył i śledztwo przeciw Garlickiemu, i aferę gruntową wraz z za- trzymaniem ministra Janusza Kaczmarka, więc dziś nie może wrócić do orzekania, mimo że w marcu tego roku Sąd Okręgowy Warszawa-Praga wydał prawomocne orze- czenie przywracające go do pracy. Co z te- go, gdy nominaci Ziobry mówią: „nie”?

Co z nim będzie dalej? Ziobrą, nie Tu- leją...

– Na razie będzie dalej huśtał tą lodzią, na której siedzi razem z Jarosławem.

Huśtał... ale po co?

– Gdy po odejściu z PiS-u i założeniu Soli- darnej Polski spadł okresowo na dno – nie dostał się w 2014 r. do europarlamentu i pokłócił z Kurskim, który nazwał go „lesz- czykiem”...

...któremu trzeba jeszcze zmieniać pam- persa...

– ...przyszedł na kolanach do Kaczyńskie- go, by przyjął go na listy Zjednoczonej Pra- wicy. Później wiele razy zabiegał o to, by wrócić do PiS-u. Jarosław odmówił, więc Ziobro – chcąc nie chcąc – pozostał na cze- le własnej partii z poparciem oscylującym w pewnej chwili poniżej 1 procentu. Jeże- li chce mieć więcej, musi się jakoś od PiS- u odróżnić. Stąd jego – moim zdaniem in- strumentalne – ataki na mniejszości sek- sualne, na nasze relacje z Unią Europejską, na praworządność...

To jest owo huśtanie.

– On to robi czysto cynicznie, bo nie jest ideowcem, a w początkach PiS-u był raczej centrystą. Nie był antyunijny. Teraz jest ra- dykałem, bo szuka tych paru procent, któ- re pozwolą mu wejść do parlamentu, gdy- by Kaczyński nie wziął go na listę. Dlatego, na wszelki wypadek, romansuje też z Kon- federacją.

Jest jeszcze kwestia następstwa po Jaro- sławie. Gdyby Zbigniew został w PiS-ie, wciąż byłby delfinem. Ale to już prze- szłość.

– Moim zdaniem po odejściu Kaczyńskiego na zapowiadaną od lat polityczną emery- turę PiS się rozpadnie na kilka mniejszych partii, a Ziobro zawałczy o przywództwo nad nimi wszystkimi. Zbudował wierne so- bie środowisko, także dzięki finansom, wy- płatom z Funduszu Sprawiedliwości...

...który jest właściwie prywatną skarbo- ną ministra i z którego czerpie między innymi książd Rydzyk.

– Poparcie Radia Maryja to kolejny atut Zbigniewa. Jego partia w połączeniu z Kon- federacją może mieć kilkanaście procent. A wtedy naturalni następcy Kaczyńskiego: Brudziński, Błaszczak, bo Morawiecki mo- im zdaniem mniej, będą się musieli z Zio- brą poukladać.

I on już ich jakoś wycycka.

– Tak, dojrzał do bycia samodzielnym. Kie- dyś to był taki złoty chłopiec Kaczyńskiego, Rydzyka... Obserwował ich jednak uważnie i wiele zrozumiał. Jest inteligentny, zdet-er- minowany, bezwzględny. A doświadczenie uczy, że w polityce determinacja jest często ważniejsza od potencjału intelektualnego.

Należy się Ziobry bać?

– Jeden z moich rozmówców mówi: „Ka- czyński, wbrew temu, co sądzą środowiska liberalne, jest bardziej psem, który warczy, niż gryzie. Na czym polega gryzienie, prze- konalibyście się, gdyby rządził Ziobro”.

Książkę **„Zbigniew Ziobro. Prawdziwe oblicze”** Renaty Grochal wydał Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

22 NAJWAŻNIEJSZE LITERY

Dla wyborców sprawa jest prosta: za Trumpa mieli więcej forsy, za Bidena mają mniej

Maciej Jarkowicz



ABORCJA

W czerwcu Sąd Najwyższy orzekł, że prawo do aborcji nie jest gwarantowane konstytucją, w praktyce unieważniając orzeczenie z roku 1973 legalizujące aborcję na poziomie federalnym. „Decyzja, która odmieni Amerykę i przekształci życie polityczne” – komentował „New York Times”. W całym kraju przywitano ją demonstracjami euforycznego poparcia i – często na sąsiednich ulicach – dramatycznym sprzeciwu. Terminacja jest dziś nielegalna w 13 stanach, w wielu bez żadnych wyjątków, jak gwałt czy kazirodztwo. W kolejnych dziesięciu trwają spory sądowe.

Spodziewano się, że aborcja stanie się najważniejszym tematem kampanii. Miało to sprzyjać Demokratom, bo sondaże pokazują, że większość Amerykanów popiera legalną aborcję, a po decyzji Sądu Najwyższego odsetek poparcia wzrósł. Rzeczywiście w niektórych okręgach spór o aborcję odgrywa rolę i bywa motorem dla lewicowych polityczek, ale w skali całego kraju temat zszedł na dalszy plan. Ameryka – uznają badani wyborcy – ma dziś istotniejsze problemy.



BIDEN

Wybory w połowie pierwszej kadencji prezydenta niemal zawsze przynoszą porażkę partii, która zajmuje Białą Dom. W tym roku sytuacja Demokratów jest wyjątkowo trudna, bo notowania Bidena są słabe. Sondaże dają mu ledwie 39 proc. pozytywnych ocen jego pracy. Wyniki Trumpa na tym etapie były jeszcze gorsze, ale Obamę po dwóch latach dobrze oceniano 50 proc. badanych, a jego partia i tak przegrała. Między innymi z tego względu Biden nie uczestniczy w kampanii. Ostatni raz na wiecu demokratycznego kandydata pojawił się pod koniec sierpnia.



CRANSTON

Miasto w stanie Rhode Island, liczące 80 tys. mieszkańców, o którym nie słyszał nikt poza Ameryką i prawie nikt poza Rhode Island. Tam właśnie – sprawując funkcję burmistrza przez ostatnie dziesięć lat – polityczny kapitał gromadził niejaki Allan Fung. Dziś syn imigrantów z Hongkongu ma szansę sprawić jedną z największych niespodzianek. Rhode Island nie miało republikańskiego kongresmena od ponad 30 lat. Tymczasem sondaże dają Fungowi przewagę w wyścigu do Izby Reprezentantów z kandydatem Demokratów Sethem Magazinerem, stanowym ministrem finansów.

Wyborcze spoty Magazinera próbują wrzucić Funga do jednego worka z trumpi-

stowskim pospolitym ruszeniem. Chybiona taktyka. Fung jest pragmatykiem i wyborcy o tym wiedzą. Eksperci nazywają go „prawdopodobnie najbardziej umiarkowanym kandydatem Republikanów do Kongresu”. Sprawnie zarządzał Cranston i w kampanii skupia się na gospodarce.



DEMOKRACJA

Fung jest wyjątkiem. Większość republikańskich polityków czerpie paliwo z tankowca o nazwie Donald Trump.

Oznacza to między innymi, że podważają legalny wybór Joea Bidena. Według wyliczeń „Washington Post” do Kongresu i władz stanowych startuje 291 prawicowych kandydatów, którzy nie uznają wyników ostatnich wyborów prezydenckich. Do sporów o globalne ocieplenie, wojnę, podatki, aborcję, edukację, imigrację, przestępczość, wolność seksualną, które w ostatnich dwóch dekadach przyczyniały się do polaryzacji, doszedł jeszcze jeden: o demokrację jako taką. Jedna ze stron konfliktu, od dwóch lat odmawiając zaakceptowania porażki, podkopuje filar systemu. Kłamstwo przenika do społeczeństwa: 70 proc. wyborców Republikanów uważa, że Trump wygrał i Biden jest nielegalnym prezydentem.



EKONOMIA

Stan portfela jest najistotniejszą kwestią dla Amerykanów w tych wyborach. Aborcja i inne tematy tracą na znaczeniu, gdy inflacja dobija do 9 proc. W ostatnim roku rosła najszybciej od ponad 40 lat. Przyczyny są globalne: wzrost cen surowców i produktów rolnych spowodowany m.in. wojną w Ukrainie; oraz wewnętrzne: wysoki popyt napędzany przez bezpośrednie wypłaty pomocowe dla gospodarstw domowych w czasie pandemii.

Dla przeciętnego zjadacza chleba analizy nie mają znaczenia. Sprawa jest prosta: drożyna w supermarkecie i na stacji benzynowej, z którą Biden sobie nie radzi. Za czasów Trumpa inflacja nie przekraczała 3 proc. Na poziomie komunikacji ze społeczeństwem obecna administracja jest w tej sprawie bierna, co może zatopić wielu demokratycznych kandydatów. A Reagan na początku lat 80. doszedł do władzy m.in. dzięki obietnicy zduszenia inflacji, która wynosiła wówczas 12 proc.



FLORYDA

Jeszcze niedawno zaliczała się do „swing states”, stanów, gdzie sympatie wyborców rozkładają się równo między dwoma partiami i wynik jest nie do przewidzenia. Dziś stała się bastionem kon-

serwatystów. Magazyn „Atlantic” nazwał Florydę „liderem kreatywnej awangardy Republikanów”. Tu mieszka Trump. Tu jako gubernator rządzi Ron DeSantis, gwiazda numer dwa na prawicy. Ogólnokrajową sławę przyniosła mu pandemia, w czasie której pokazał się jako radykalny przeciwnik lockdownów i obowiązkowych szczepień. Jeśli Trump nie zdecyduje się na start w 2024 r., DeSantis jest murowanym faworytem do republikańskiej nominacji.



GRANICA

„Demokraci są partią bezprawia i anarchii. Mamy bezprawie na granicy, bezprawie na ulicach miast” – mówi Blake Masters, kandydat Republikanów do Senatu z Arizony. Stan jest jednym z kilku, w których przeciwnicy idą lew w lew i gdzie rozstrzygnięciem się walka o kontrolę nad Senatem. Masters ma 36 lat i siedem zer na koncie. Jest protegowanym Petera Thiela, założyciela PayPal. Wspólnie napisali bestseller o inwestowaniu w start-upy. Jego przeciwnik: ponad 20 lat starszy senator Mark Kelly, astronauta i weteran marynarki.

Ich starcie pokazuje, jak rozkłada się emocje, nie tylko w Arizonie. Kelly zapowiada batalię o ochronę praw reprodukcyjnych kobiet i ograniczenie prawa do broni – jego żoną jest była kongreswoman Gabby Giffords, ranna w strzelaninie w 2011 r. Za to Masters – poza tym, że chwali się swoimi milionami, obiecując naprawę gospodarki – podnosi temat granicy. Każdego miesiąca ok. 200 tysięcy imigrantów i uchodźców próbuje przekroczyć południową granicę USA. Fala wzbiera pod wpływem masowych exodusów z Wenezueli, Nikaragui i Kuby. Według Republikanów rządzący Demokratami nie potrafią jej zatrzymać.



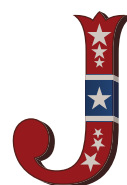
HETERO

i homo. Gospodarka jest w tym sezonie najważniejsza, co nie oznacza, że wojna kulturowa została rozstrzygnięta. Przeciwnie: dopiero się rozkręca. W wielu okręgach kampanie koncentrują się m.in. na tak zwanej ochronie dzieci. Kandydaci republikańscy zapowiadają zakazy wprowadzania na lekcjach wiedzy o orientacji seksualnej i gender. Przykład, jak zwyciężać mają, dał konserwatystom Ron DeSantis. W marcu podpisał ustawę o prawach edukacyjnych dla rodziców, zwaną „Don't Say Gay”, zakazującą nauczycielom nauczania początkowego poruszania tematów seksualności.



IZBA

Reprezentantów – izba niższa parlamentu. Zasiada w niej 435 parlamentarzystów, liczba miejsc przypadająca każdemu ze stanów zależy od jego populacji. Większość wynosi 218 głosów. Ustawę, która została przegłosowana w Izbie, musi zatwierdzić Senat, a później prezydent. Demokraci mają dziś 220 ludzi w Izbie, kontrolują Senat i Białą Dom. Dzięki temu w dwa lata wprowadzili potężny pakiet ustaw infrastrukturalnych, podnieśli podatki korporacjom, obniżyli ceny leków, ułatwili rozwój energetyki odnawialnej. Ich rządy raczej dobiegają końca. W 2006 r. za republikanina Busha juniora Demokraci odzyskali 31 miejsc w Izbie, za Obamy Republikanie odbili 63 mandaty, w 2018 r. za Trumpa Demokraci zyskali 41 foteli. Kto ma Białą Dom, traci Kongres – tak najprawdopodobniej będzie i tym razem. Oznacza to kolejny legislacyjny paraliż. Dawno temu ustawy przechodziły dzięki ponadpartyjnym koalicjom. W czasach skrajnej polaryzacji – coraz rzadziej.



JOHNSON

Ron, senator z Wisconsin – jednego ze „swing states”, które decydują o składzie Senatu. Modelowy przykład, jak Partia Republikańska zaprzedała się autokratycznemu populizmowi. Białą, dobija siedemdziesiątki i przesuwają się coraz bardziej na prawo we wszystkich konfliktowych kwestiach, okazując coraz większe poparcie dla Trumpa. Ze stołka chce go zrzucić człowiek z przeciwnego biegu. Mandela Barnes jest czarny, ma 35 lat i należy do najbardziej lewicowego skrzydła młodego pokolenia Demokratów.



KARABIN

Pandemia koronawirusa się skończyła, pandemia przemocy trwa. Według powszechnej definicji masowa strzelanina to taka, w której giną co najmniej trzy osoby. Od początku roku w USA doszło do 68 takich zdarzeń, co oznacza masową strzelaninę co cztery dni. W najbardziej tragicznej, w szkole w teksaskim Uvalde, 18-latek zabił 19 dzieci i dwie nauczycielki. W czerwcu Biden podpisał ustawę zaostrzającą przepisy dotyczące zakupu broni dla najmłodszych konsumentów. Zmiany są symboliczne. W wielu miejscach w kraju karabin nadal można kupić jak puszkę coli. Jednak przemoc nie rozpała emocji w tej kampanii. Najdonośniej o potrzebie surowych przepisów mówią Stacey Abrams, kandydatka Demokratów na gubernatorkę Georgii, i Beto O'Rourke, kandydat Demokratów na gubernatora Tek-

sasu. W sondażach tracą więcej niż 6 punktów do republikańskich przeciwników.

LATYNOSI

Większość rosnącej populacji wspiera Demokratów. Jednym z powodów jest otwartość lewicy na imigrację. Ale trend hamuje. 63 proc wyborców o pochodzeniu latynoskim deklaruje głosowanie na Demokratów w tym roku, 36 proc. – na Republikanów. Przewaga 27 punktów. Ledwie cztery lata temu wynosiła 40 punktów. Znów zajrzyjmy na Florydę: sukces DeSantisa bierze się z tego, że zdołał zbudować szeroką koalicję wyborców obejmującą starszych białych konserwatystów i Latynosów. Te dwie grupy łączy religijność i niechęć do zmian obyczajowych. Kubańska mniejszość na Florydzie jest wyjątkowo konserwatywna, ale również w Teksasie Latynosi – w większości pochodzenia meksykańskiego – coraz chętniej głosują na Republikanów. Demokraci od lat liczą, że zmiany demograficzne będą im sprzyjać. Floryda i Teksas pokazują, że prawica może znaleźć na to sposób.

MICHIGAN

Jedno z nielicznych miejsc, gdzie aborcja i inne konflikty kulturowe są na pierwszym planie. Kandydatka Republikanów na gubernatorkę Tudor Dixon ma 45 lat, cztery córki, przetrwała raka piersi i jest ulubienicą Trumpa. Jej przeciwniczkę, gubernatorkę Gretchen Whitmer były prezydent nazywa „najbardziej złowrogą polityczką w kraju”. W telewizyjnych debatach Whitmer – Dixon aborcja, edukacja seksualna i prawa osób trans zajmowały najwięcej miejsca. Poza wyborami do władz stanowych i Kongresu w Michigan odbywa się referendum w sprawie wpisania gwarancji praw reprodukcyjnych do stanowej konstytucji. 60 proc. badanych popiera projekt, a mimo to Dixon zmniejsza stratę w sondażach do Whitmer. Pomagają jej pieniądze od bogaczy z otoczenia Trumpa, atrakcyjność i pewność siebie. Konspiracyjne wręcz poglądy przedstawia z pogodnym uśmiechem i opanowaniem godnym kardiochirurga.

NEVADA

– Nie znoszę Republikanów, ale gdy rządzili, było taniej – mówi reporterom Karla Pike, emerytowana stewardesa z Las Vegas. Choć ma lewicowe poglądy, zastanawia się, czy nie zagłosować na prawicę. Nevada ma jedną z najwyższych inflacji w kraju. Jako stan, gdzie rozrywka i turystyka są podstawą gospodarki, została też wyjątkowo mocno dotknięta pandemią. W ostatniej dekadzie wygrywali tu Demokraci. Tym razem Republikanie liczą, że to właśnie dzięki Nevadzie odzyskają większość w Senacie. Posady demokratycznej senatorki Catherine Cortez Masto i gubernatora Steve’a Sisolaka są zagrożone ze strony republikanów Adama Laxalta i Joe Lombardo. Pretendentów wyróżnia tylko to, że nie są demokratami. W tym roku może to wystarczyć do zwycięstwa.

OZ

Mehmet, lekarz znany wszystkim Amerykanom jako Doktor Oz. Przez kilkanaście lat prowadził popularny program telewizyjny o zdrowiu. Ma słabość do medycyny alternatywnej. Jed-

no z pism medycznych orzekło, że więcej niż połowa porad lekarskich oferowanych przez Oza nie ma oparcia w nauce. Teraz Oz chce zostać republikańskim senatorem z Pensylwanii. Jego przeciwnikiem jest John Fetterman, 53-latek z ogoloną głową i heavymetalową brodą, który zamiast garnituru nosi kangurkę i szorty. Choć w paru sprawach się różnią, w najważniejszej dla Pensylwanii mówią to samo: sprowadzić przemysł z powrotem do Stanów.

PENSYLWANIA

Stan, w którym startują, kiedyś przemysłowy, dziś zalicza się do postindustrialnego „pasa rdzy”. Tradycja związków zawodowych jest tu nadal silna. Przez dekady sojusz Demokratów ze związkami był nienaruszalny. W 2016 r. Hillary Clinton była tak pewna lojalności wyborców w miejscach takich jak Ohio, Michigan, Wisconsin i Pensylwania, że na najważniejszym etapie kampanii nie

Większość spraw dotyczących zgodności przepisów z konstytucją rozpatruje 107 sądów federalnych rozsianych po kraju. Pod kontrolą Republikanów Senat będzie blokować ludzi wskazywanych przez Bidena

pojechała ich odwiedzić. Trump wygrał. Biden odzyskał dla Demokratów swą rodziną Pensylwanię. Dziś setki działaczy związkowych pukają od drzwi do drzwi i zaklinają wyborców z klasy pracującej, aby głosowali na Demokratów. Wysoka frekwencja w tej grupie mogłaby ocalić Senat dla lewicy.

RYNEK

Po niecałych dwóch latach prezydentury Bidena najważniejsze indeksy giełdowe pokazują spadek: S&P 500 o prawie 6 proc. w stosunku do dnia inauguracji w styczniu 2021 r., Dow Jones Industrial o 4 proc., Nasdaq o 21 proc. W tym samym okresie rządów Trumpa wszystkie szły w górę. S&P 500 śledzący notowania największych firm między styczniem 2019 a październikiem 2020 r. urosł o 22 proc. Kondycja rynku nie zawsze świadczy o kondycji całej gospodarki, ale wpływa na jej postrzeganie przez wyborców. Miliony emerytów sprawdzają konta swoich funduszy. Tak jak w przypadku inflacji sprawa jest dla nich prosta: za Trumpa mieli więcej forsy, za Bidena mają mniej.

SENAT

Izba wyższa. Każdy stan, niezależnie od rozmiaru populacji, wysłał do Waszyngtonu dwóch senatorów. Sprawia to, że słabo zaludniony interior ma tyle samo do powiedzenia, co przeludnione wybrzeża. Demokraci w interiorze przegrywają, więc twierdzą, że to niedemokratyczne. Republikanie, którzy na prowincji rządzą, mówią, że Senat, dając nieproporcjonalną siłę rolniczej mniejszości, chroni ją przed dyktatem metropolii i tym samym spaja Unię. Dziś obie partie mają w Senacie po 50 głosów, na korzyść Demokratów głosowania rozstrzyga dodatkowy głos wiceprezydentki Kamali Harris. Wybory w kilku „swing states” zdecydują, czy partia Bidena utrzyma izbę wyższą. Ma to niebagatelne znaczenie, nawet jeśli Izba Reprezentantów znajdzie się pod kontrolą Republikanów. Jedną z prerogatyw Senatu jest bowiem zatwierdzanie prezydenckich nominacji na sędziów federalnych. Do Sądu Najwyższego dociera ulamek spraw. Większość z tych dotyczących zgodności przepisów z konstytucją rozpatruje 107 są-

losy wojny zależą od Waszyngtonu. W gestii Izby Reprezentantów leży uchwalanie kolejnych pakietów wsparcia. Lider mniejszości republikańskiej Kevin McCarthy sugerował, że jeśli jego partia przejmie Izbę, skończą się czeki dla Kijowa. Ale nie ma łatwych odpowiedzi na pytanie, jak będzie wyglądało amerykańskie zaangażowanie po wyborach. Wielu kandydatów prawicy startujących pod szyldem Trumpa otwarcie wyraża sceptycyzm wobec dozbierania Ukrainy, a niektórzy – podobnie jak ich naczelnik – już po wybuchu wojny mówili z sympatią o Putinie. Z drugiej strony Partia Republikańska jest pełna jastrzębi, którzy najchętniej wysłaliby do Ukrainy marines. Podobnie u Demokratów nie ma jednego frontu. Niedawno opublikowano list, który grupa 30 najbardziej lewicowych parlamentarzystów partii już w czerwcu chciała wysłać do Bidena. Apelowali o dogadanie się z Moskwą kosztem strat terytorialnych po stronie Ukrainy. Nie jest tajemnicą, że na lewicy roi się od zwolenników appeasementu. Wydaje się jednak, że ponadpartyjna większość popierająca ostry kurs wobec Rosji się utrzyma.

WALKER

Herschel – najbarwniejsza postać kampanii. Lat 60, były gwiazdor futbolowej ligi NFL, Afroamerykanin, trumpista, ojciec, mąż, wojujący chrześcijanin. Odkąd ogłosił start, nie ma tygodnia, w którym nie wypływają nowe rewelacje na jego temat. Przykładał pistolet do czoła żony i krzyczał, że rozkwasi jej mózg. Śmiercią groził własnemu synowi. Ukrywał przez lata istnienie licznych dzieci z pozamałżeńskich romansów. Jednej z kochanek sfinansował zabieg aborcyjny, choć jest gorącym przeciwnikiem aborcji. Połowa wyborców Georgii mimo to chce na niego głosować. Powody są dwa. Po pierwsze: Walker kocha Trumpa. Po drugie: na wszystkie złe uczynki ma usprawiedliwienie od lekarza. Cierpi na zaburzenie dysocjacyjne tożsamości – osobowość mnogą. Napisał o tym książkę. Opowiedział, że jego liczne złe osobowości robiły złe rzeczy. Liczne dobre osobowości Walkera podążają ścieżką Jezusa. Sondaże pokazują, że Walker ma szansę wygrać z senatorem Demokratów Raphaellem Warnockiem.

ZAUFANIE

W połowie lat 50., kiedy robiono pierwsze badania zaufania społeczeństwa amerykańskiego do władzy, przekraczało ono 70 proc. Od tamtego czasu nieprzerwanie spada, z krótkimi zwyczajkami w czasach Reagana i później tuż po atakach 11 września 2001 r. Dziś politykom w Waszyngtonie ufa 21 proc. Amerykanów. Nie ma zgody rasowej, klasowej, międzykolekoleniowej, brakuje konsensusów politycznych, wzajemnego zrozumienia prowincji i metropolii, nie ma zaufania rządzących do rządzących. My, naród, sobie. Oni, władza, sobie. Najbliższe wybory tego nie naprawią. ●

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”, Maciej Jarkowiec, Agora, 2021



dów federalnych rozsianych po kraju. Pod kontrolą republikanów Senat będzie blokować ludzi wskazywanych przez Bidena.

TRUMP

W przeciwieństwie do Bidena były prezydent nie schodzi z kampanijnego szlaku i wspiera republikańskich kandydatów na wiecach w całych Stanach. Paradoksalnie to jedna z niewielu wiadomości, która wzbudza optymizm demokratycznych analityków. Stara prawda mówi, że wybory w Stanach wygrywa się dzięki centrum. Tymczasem trumpizm wywindował na prawicy radykałów. W wielu okręgach zniechęca to centrowych wyborców. Umiarkowani republikańscy kandydaci mieliby większe szanse pokonać Demokratów w sezonie, kiedy najwięcej emocji budzi gospodarka.

UKRAINA

Pomoc militarna i humanitarna USA dla Ukrainy jest dwa razy większa niż wszystkich pozostałych krajów razem wziętych. Nikt nie ma wątpliwości, że

Wyobraźnia ważniejsza jest od wiedzy” czy „Ora et labora”? Słowa Alberta Einsteina oraz świętego Benedykta z Nursji mówią o zupełnie odmiennym rozumieniu celu i istoty pracy.

Jest oczywiste, że gospodarka przyszłości będzie oparta na intelektualnej wyobraźni, nie na prostych, addytywnych parametrach, a społeczny dobrobyt i siła ekonomiczna państwa nie są i nie będą rosnącymi funkcjami czasu pracy.

Niedawno PO zaproponowała pilotażowy program czterodniowego tygodnia pracy. Po kilku krytycznych i powierzchownych uwagach temat nie doczekał się ani wnikliwych analiz, ani przedyskutowania relacji z poszczególnymi obszarami teorii i praktyki ekonomicznej. Dyskusja skupiła się na twierdzeniu, że krótszy czas pracy generuje straty. Nikt z adversarzy nie pokusił się o dowód i nie zauważył, że debata na temat długości czasu pracy oznacza w istocie dyskusję o tym, jaka powinna być nowoczesna gospodarka przyszłości.

Przed wszystkim oznaczają jednak dyskusję, czy i w jaki sposób możemy gospodarczo i cywilizacyjnie dogonić wysokorozwinięte kraje Zachodu, których dziś PKB jest trzy razy wyższy niż polski i różnica cały czas się powiększa.

Sentencja Einsteina ilustruje istotę błędu w rozumowaniu krytyków pomysłu Platformy. Kierują się schematyczną wiedzą i z istoty rzeczy ograniczonym poznawczym doświadczeniem. Nie przeprowadzają dowodów swojego rozumowania. Prezentują wiarę. Używanie wyobraźni postrzegają jako czynność zbędną. Ten sposób dyskusowania nie jest w Polsce niczym nowym. To wynik braku logicznej i matematycznej kultury. Od lat stan taki przekłada się na poziom debaty publicznej i na rezultaty politycznych wyborów.

Padają ogólne o szkodliwości i infantylności pomysłu i ironiczne stwierdzenia, aby członkowie Platformy, wśród których mamy przedsiębiorców, sami wdroyli w swoich firmach czterodniowy tydzień pracy. Mówi się też o wzroście inflacji, bo ponoć im dłużej pracujemy, tym większy generujemy PKB. Nie pada ani jeden argument, dlaczego model, którym objaśniamy ten proces, miałby być rosnącą, w tym może liniową, funkcją czasu pracy.

W takim porządku myślowym każdy wyjątek ma potwierdzać z góry założoną tezę, którą przeważnie jest jakaś powszechnie przyjęta i obowiązująca opinia. Tutaj jest nią błędne przeświadczenie, że im dłużej pracujemy, tym lepsze osiągamy wyniki.

Oczekiwanie dowodów jest zresztą utopią. Gdzie bowiem, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, w polskim systemie edukacji i tradycji debaty publicznej pojawiają się dowody? Odnoszę wrażenie, że większość osób tak powierzchownie krytykujących postulat krótszego tygodnia pracy nie rozumie, czym jest dowód, nie tylko formalny, ale również rozumiany potocznie.

A przecież wystarczy banalne znalezienie ekstremów dla pewnej liczby elementarnych funkcji jednej zmiennej. Różnych funkcji dla różnych przypadków.

W „Sztuce pianistycznej” Henryk Neuhaus, nauczyciel Richtera i Gilelsa, objaśnia, na czym polega twórcza praca nad utworem. Praca pianisty kojarzy się z wielogodzinnymi, monotonnymi ćwiczeniami. Jednak Neuhaus dowodzi, że decydujące są nie sprawne dłonie i maraton ćwiczeń, lecz głowa.

W Polsce aktywność umysłowa nie jest na ogół doceniana. Ilustracją może być stosunek do zawodu nauczyciela – rzekomo pracuje tylko 18 godzin tygodniowo, zatem

nic nie robi. Gdyby tak 40, to co innego. A naprawdę pracuje często znacznie dłużej niż 40 godzin.

Kto twierdzi, że nauczyciel nic nie robi, pewnie to samo myśli o nauczycielach akademickich, koncentruje się bowiem na pensum. I to samo może sądzić o całej sferze nauki. Intelektualna bystrość, wysiłek umysłowy nie są doceniane ani rozumiane. Ktoś zdolny, kto umie coś zrobić le-

piej, szybciej i inteligentniej, postrzegany jest nie jako człowiek wartościowy, ale jako cwaniak, oszust, kombinator, aferzysta albo złodziej. Stąd bierze się podatność na polityczne szcucie i tępą agitację.

W takiej atmosferze ludzie wierzą, że do sukcesu prowadzi nie inteligencja, pomysłowość, odwaga oraz wyobraźnia, lecz wewnętrzna i społeczna, prymitywnie rozumiana dyscyplina, posłuszeństwo i podle-

głości, kierat i rutyna, brak pytań i wątpliwości, połączone z długotrwałą, żmudną, niekiedy twórczą pracą.

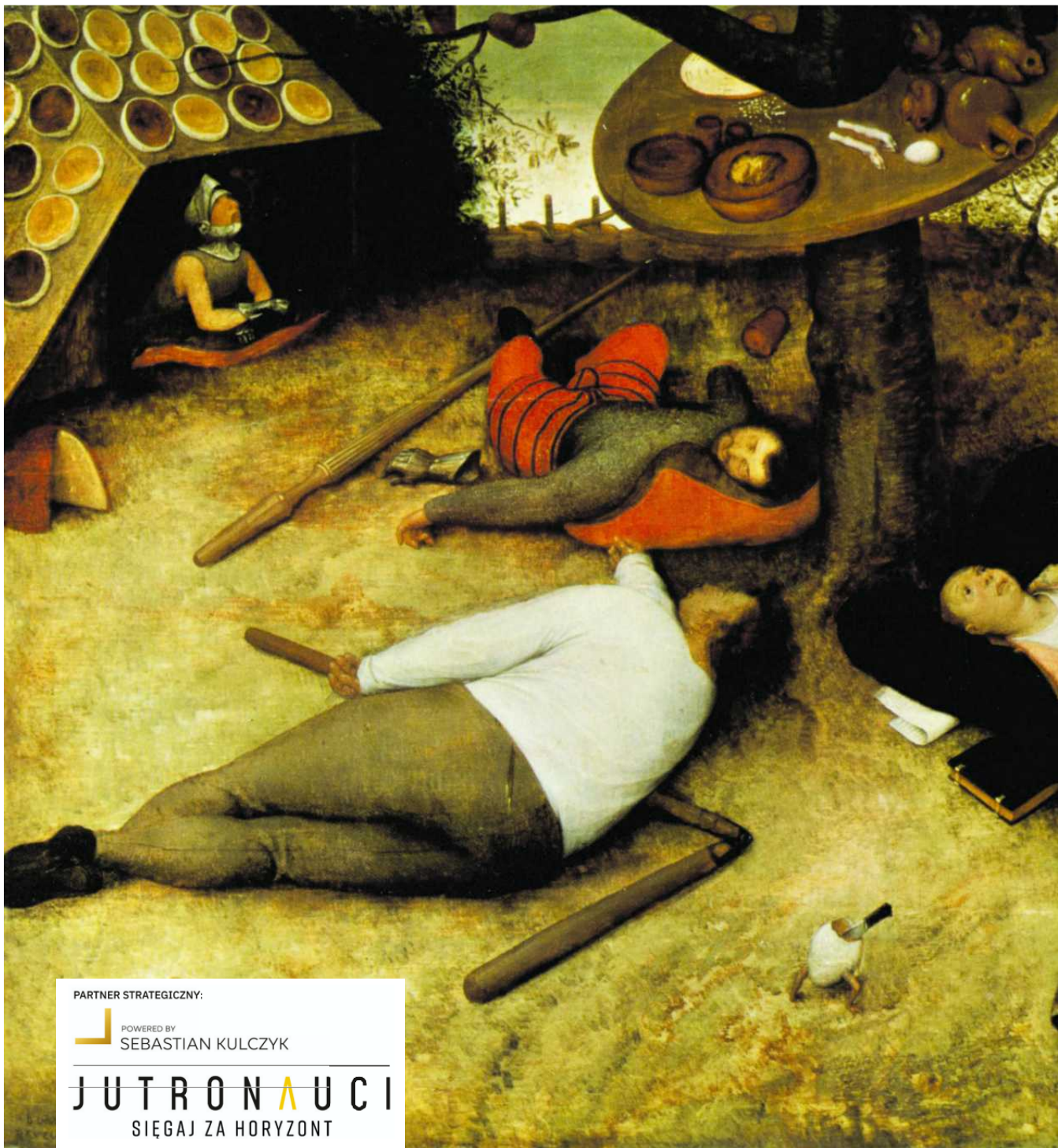
W polskiej gospodarce wyczerpał się już dawno pozytywny rezultat zmian ustrojowych po 1989 roku. Śladowo działa jeszcze czynnik relatywnie taniej siły roboczej i gdzieś efekt tradycji bardzo dobrego wykształcenia, sięgającej poprzedniego wieku. Dotyczy to matematyki, fizyki, związanej z nimi informatyki i paru innych dziedzin na kilku wydziałach.

Rzadko kto docenia potencjał intelektualny, często numer jeden w świecie, polskich szkół: matematycznej i fizycznej czy wiodącą rolę kilku wybranych polskich akademickich kierunków informatycznych.

Profesor Kazimierz Kuratowski, jeden z największych matematyków XX wieku, we wspomnieniach „50 lat Polskiej Szkoły Matematycznej” opisuje, jak ogromną rolę w światowej nauce odegrała polska szkoła matematyczna i ilu jej reprezentantów działało naukowo i kształciło matematyków z całego świata na amerykańskich uczelniach. A dziś matematyka, fizyka i informatyka nadają ton we wszystkich obszarach ludzkiej działalności: w technice, przemyśle, ekonomii, biologii molekularnej, onkologii.

Mamy w kraju unikalne źródło, które może być kołem napędowym gospodarki przyszłości. Tymczasem z powodu braku rozeznania rządzący przykładają nieproporcjonalnie dużą wagę do archaicznych i absurdalnych parametrów, takich jak czas pracy, wtłaczając społeczeństwo polskie w kult rzemiosła i rutyny.

Skuteczne nawiązanie do rodzimej tradycji naukowej wymaga jednak natychm-



WARTO ZAPŁACIĆ ZA SPANIE

**Prawdziwy postęp da dofinansowanie matematyki i fizyki
teoretycznej, a nie pięciodniowy dzień pracy,
symbol rzemiosła i rutyny**

Robert Drachal*



• „Kraina lenistwa”, Pieter Bruegel, 1567

FOT. WIKIPEDIA

stowej i gruntownej reformy w szkolnictwie powszechnym. Tymczasem działania aktualnej władzy ze względów ideowych i politycznych prowadzą do katastrofy intelektualnej i cywilizacyjnej. Poza paroma wiodącymi liceami nauczamy matematyki i fizyki na poziomie niższym niż przed 1989 rokiem. Przekłada się to na brak elementarnej matematycznej kultury, rozumienia znaczenia matematyki i jej fundamentalnej roli dla gospodarki, dobrobytu i komfortu życia obywateli, dla ich codziennej aktywności. Stąd bierze się brak umiejętności wnioskowania, budowania ciągów przyczynowo-skutkowych i powszechne postrzeganie matematyki jak trochę mądrzejszych rachunków. Żałośnie niski poziom nauczania spowodował, że nawet te osoby, o których mówi się, że są dobrze wykształcone, za tekst stricte matematyczny uważają ten, w którym odnajdują tak zwane obliczenia. Dowody absolutnie fundamentalnych dla cywilizacji twierdzeń Gödla o niezupełności i o niedowodliwości niesprzeczności byłby dla nich... niematematyczne.

Odbija się to na poziomie nauk społecznych, ekonomicznych, politycznych, prawnych i humanistycznych. Matematyka, nauczana jako ciąg gotowych formulek, skutkuje utrwalaniem bezmyślności i zgody na brak argumentacji, podatnością na najgłupszą nawet demagogię. Kiedy słyszę o jednej godzinie fizyki tygodniowo w liceum, włos staje mi na głowie. Kiedy widzę, że na studiach społecznych i humanistycznych, na wykładach statystyki, każe się przyjmować na zasadzie wiary wartości współczynników prostej regresji, zamiast je porządnie wyprowadzić oraz wytłumaczyć za pomocą metody najmniejszych kwadratów, korzystając z banalnej pochod-

nej funkcji wielu zmiennych, jestem przerażony.

Ale tak właśnie „owocuje” rachityczny program matematyki w szkole średniej, który zamiast być od lat znacznie poszerzany, choćby właśnie o elementarną analizę funkcji wielu zmiennych, nie przystaje do współczesnych czasów, przez to prawie niczego ze współczesnego świata nie objaśnia.

Dlatego tutaj, a nie w rozmiarze czasu pracy, znajdują się kolosalne rezerwy.

Projekt czterodniowego tygodnia pracy nabiera zasadniczego znaczenia, jeżeli równolegle zachęcimy pracowników do kształcenia się i podnoszenia kwalifikacji. Załóżmy, że tylko 50 procent osób zdecydować się na studia lub inne zajęcia podnoszące kwalifikacje. Te 50 procent przysporzy więcej korzyści gospodarce niż istniejący obecnie piąty dzień pracy.

Zarazem protektorat finansowy i organizacyjny państwa dla edukacyjnych inicjatyw byłby inwestycją o wysokiej stopie zwrotu i prawie zerowym ryzyku.

W ostatnich stu latach nie rozmiar czasu pracy był decydującym elementem gospodarczego wzrostu. Rozwoju nie zawdzięczamy też jedynie zaplanowanym i szczodrze finansowanym potężnym programom naukowo-badawczym. Elementem cywilizacyjnego rozwoju w równej mierze są te obszary wiedzy, które nigdy nie były postrzegane głównie jako koło napędowe technologicznego i ekonomicznego postępu. Chodzi o teoretyczną matematykę i fizykę.

Przykładem są rezultaty Gödla, Tarskiego, Turinga, Boole’a czy Hilberta, prace z zakresu fizyki teoretycznej czy teorii liczb, nazywanej często królową teore-

tycznej matematyki, które wstępnie były niemal wyłącznie efektem badawczej ciekawości. Kiedy powstawały, mówiło się o nich często, że nie będą miały praktycznego zastosowania, a są fundamentem współczesnej cywilizacji. Chodzi na przykład o teoretyczne wyniki leżące u podstaw elektroniki, informatyki, kryptografii, kryptologii, biologii molekularnej czy inżynierii genetycznej. Historia nauki pokazuje, że w miarę upływu czasu teoretyczne obszary przynoszą najbardziej spektakularne cywilizacyjne, gospodarcze i finansowe korzyści.

W Polsce teoretyczne dyscypliny nie są doceniane ani odpowiednio finansowane. A tu należy upatrywać prawdziwego postępu, nie w kuriozalnej obronie pięciodniowego dnia pracy jako symbolu rzemiosła, rutyny i cywilizacyjnego zacofania.

Często przywołuje się anegdotę dotyczącą wybitnego uczonego, chemika Friedricha Augusta Kekulé von Stradonitza, który ponoć dokonał przełomowych odkryć dotyczących budowy węglowodorów, śniąc o wężu i o małpach. Ale kto chciałby dziś w Polsce płacić za spanie, nawet gdyby skutkowało najbardziej spektakularnym postępem w nauce.

Oczywiście istnieje niemała liczba stanowisk, gdzie wykonywana jest praca prosta i typowa i istnieją ustalone, sztywne ramy czasowe pracy. To w większości stanowiska, gdzie nie są wymagane wysokie kwalifikacje. Choć oczywiście istnieje też spora liczba takich,

gdzie istnieje sztywna stała liczba godzin pracy, a jednocześnie potrzebne są tam najwyższe kwalifikacje.

W grupie pierwszej w miarę rozwoju automatyzacji, robotyzacji, sztucznej inteligencji i informatyzacji prostych stanowisk będzie ubywać. W ich miejsce powstawać będą w mniejszej liczbie te, które wymagają wysokich kwalifikacji. To proces nieunikniony. Toteż i na tych stanowiskach już teraz skrócenie tygodniowego czasu pracy mogłoby się przyczynić do nabywania kwalifikacji, które będą za moment niezbędne.

Krótszy tygodniowy czas pracy sprzyjać będzie pogłębianiu demokracji i rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego. Znaczna część obywateli spożytkuje wolny czas na aktywność społeczną na różnych poziomach i szczeblach. Więcej wolnego czasu sprzyja zarówno biernej obserwacji politycznych wydarzeń, jak i czynnemu włączaniu się w działalność instytucji demokratycznych. Im więcej demokracji, tym korzystniejsze środowisko do rozwoju inicjatyw gospodarczych. Osiągniemy wyższy poziom parametrów korzystnych dla gospodarki w porównaniu z rezultatami, jakie dawałby dzisiejszy piąty dzień pracy. Co do zasady, więcej dojrzałej demokracji sprzyja długofalowemu i stabilnemu wzrostowi gospodarczemu. Więcej wolnego czasu to również szansa na szerszą edukację ekonomiczną i polityczną obywateli. Skutkowałoby to mądrzejszymi politycznymi wyborami.

Brak politycznego rozeznania znacznej części społeczeństwa wynika w dużej mierze z faktu, że większość czasu poświęcają oni na codziennie, bytowe, głównie zarobkowe, sprawy. Z braku czasu na naukę

i refleksję rodzi się podatność na polityczną demagogię, proste, błędne rozwiązania oraz płytkie hasła. Aktualna władza to wykorzystuje. Prowadzi to do głosowania na mało kompetentne ugrupowania, pod których rządami kraj zmierza do gospodarczej katastrofy. Przykładem znacznie wyższa niż gdzie indziej inflacja czy plany tworzenia zarządzanych centralnie niewydajnych molochów gospodarczych. Widać to w bankowości, energetyce czy sektorze paliwowym, a plany dotyczą też handlu i żywności.

Obecny rozmiar czasu pracy z powodów politycznych, psychologicznych i społecznych jest niezmiernie wygodny dla dzisiejszej władzy.

Polacy pracują średnio około 40 godzin tygodniowo, obywatele Niemiec, Francji, Danii oraz Szwecji prawie 36, zaś Holendrzy nieco mniej niż 30.

W Stanach to około 34 godzin, w Japonii 40, w Korei Południowej 52, w Chinach i w Singapurze 44 godziny. I wszędzie mamy tendencję prowadzącą do coraz mniejszej liczby godzin pracy.

Dlatego, jeżeli nie postawimy decydowanie na naukę, edukację i organizację pracy, zamiast celebrować pięciodniowy tydzień pracy, nigdy nie dogonimy krajów wysokorozwiniętych? Przyjrzyjmy się danym.

Stosunek nominalnego PKB per capita w roku 2021 do roku 2020 wynosił: dla USA 1,1 (w latach 1990-2021, 2,90), dla Japonii 0,98 (1,52), Korei Południowej 1,1 (5,26),

Kiedy widzę, że na studiach społecznych i humanistycznych, na wykładach statystyki, każe się przyjmować na zasadzie wiary wartości współczynników prostej regresji, zamiast je porządnie wyprowadzić oraz wytłumaczyć za pomocą metody najmniejszych kwadratów, korzystając z banalnej pochodnej funkcji wielu zmiennych, jestem przerażony

Chin 1,17 (35,6) czy Singapuru 1,2 (5,70). Biorąc pod uwagę dodatkowo dane dla Polski oraz wysokorozwiniętych krajów europejskich – są one niżej – następuje spadek tempa rocznego przyrostu nominalnego PKB na głowę. W przypadku Chin i Polski – w każdym z tych przypadków z różnych powodów – bardzo wyraźny.

Rozpatrzmy również tempo wzrostu nominalnego PKB na głowę w latach 1990-2021 w wymienionych wcześniej wysokorozwiniętych europejskich państwach.

Ponieważ rozważamy PKB nominalny per capita, powinniśmy odnieść nasze obliczenia do poziomu inflacji. Jednak po dokonaniu skorygowanych obliczeń istota trendu pozostanie ta sama.

W Polsce w roku 1990 nominalny PKB na głowę wynosił 1629 dol., w Niemczech 20 249 dol., we Francji 22 432 dol., w Danii 26 921 dol., Szwecji 30 254 dol. i w Holandii 21 582 dol.

Natomiast w roku 2021 był on równy: w Polsce: 17 815 dol., w Niemczech 50 795 dol., we Francji 44 853 dol., w Danii 67 758 dol., Szwecji 60 029 dol. i Holandii 58 292 dol.

Zatem w latach 1990-2021 tempo wzrostu nominalnego PKB na głowę wynosiło w Polsce 10,94, w Niemczech 2,51, we Francji 2,00, w Danii 2,52, Szwecji 1,98 i w Holandii 2,70.

W przypadku Polski widać wyraźnie efekt ustrojowych przeobrażeń w jego początkowym okresie, malejący jednak z roku na rok.

Jeżeli wzięlibyśmy pod uwagę procesy inflacyjne i rozważyli realny PKB, to wysoko inflacja w Polsce w pierwszym okresie zmian ustrojowych uczyniłaby ten trend mniej wyrazistym, jednak kierunek zmian pozostałby ten sam.

W roku 2000 w Polsce nominalny PKB na głowę wynosił 4485 dol., w Niemczech 23 925 dol., we Francji 23 149 dol., w Danii 30 799 dol., Szwecji 29 589 dol. i w Holandii 26 328 dol.

Toteż w latach 2000–21 tempo wzrostu nominalnego PKB na głowę było równe: w Polsce 3,97, Niemczech 2,12, we Francji 1,94, w Danii 2,20, Szwecji 2,03 i Holandii 2,24. W okresie tym różnica pomiędzy Polską a wymienionymi krajami była więc istotnie mniejsza aniżeli w okresie zaprezentowanym wyżej.

W roku 2010 w Polsce nominalny PKB na głowę wynosił 12 620 dol., w Niemczech 42 380 dol., we Francji 42 100 dol., w Danii 58 177 dol., Szwecji 56 659 dol. i w Holandii 51 166 dol.

Zatem w latach 2010–21 tempo wzrostu nominalnego PKB na głowę było równe w Polsce 1,41, Niemczech 1,20, we Francji 1,07, w Danii 1,17, Szwecji 1,06 i w Holandii 1,14. Różnica pomiędzy Polską a wymienionymi krajami stała się więc jeszcze mniejsza.

Można oczywiście porównać stosunek PKB z roku 2000 do roku 1990, a potem 2010 do 2000 oraz 2021 do 2010, biorąc pod uwagę średnią geometryczną, czyli w pierwszych dwóch okresach pierwiastek dziesiątego stopnia. Jednak wnioski będą takie same.

Obecnie różnice pod względem tempa wzrostu nominalnego PKB per capita pomiędzy Polską a analizowanymi krajami niemal się zatęrzyły.

Widać to bardzo wyraźnie, porównując dane z lat 2020 i 2021.

Dla Polski było to bowiem 17 815 do 15 718, czyli ponad 1,13. Dla Niemiec 50 795 do 46 216, zatem prawie 1,1, dla Francji 44 853 do 40 162, czyli prawie 1,12, dla Danii 67 758 do 61 154, czyli prawie 1,11, dla Szwecji 60 029 do 52 170, zatem ponad 1,15, a dla Holandii 58 292 do 52 456, czyli ponad 1,11.

Zobaczymy jeszcze, jakie było tempo wzrostu PKB per capita w wymienionych krajach liczone według parytetu siły nabywczej w latach 2010–18.

Dla USA to 1,29, dla Japonii 1,26, dla Korei Południowej 1,39, dla Chin 1,96, dla Singapuru 1,42, dla Niemiec 1,29, dla Szwecji 1,26, dla Danii 1,24, dla Holandii 1,24, dla Francji 1,23 i dla Polski 1,51.

Jeżeli jednak rozważymy okres 1990–2018, otrzymamy: dla USA 2,63, Japonii 2,23, Korei Południowej 5,47, Chin 18,42, Singapuru 4,50, Niemiec 2,53, Szwecji 2,65,

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmienić szkoła, żeby przygotować dzieci

na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy

zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

Danii 2,45, Holandii 2,66, Francji 2,33 i dla Polski 4,85.

Spektakularnym przykładem błędnego przykładania zasadniczej wagi do długości czasu pracy są Chiny. Gdy rozważymy tygodniowy czas pracy w tym kraju, okaże się, że – biorąc pod uwagę absurdalne założenie dotyczące tempa wzrostu PKB per capita liczonego według parytetu siły nabywczej jako rosnącej funkcji liniowej czasu pracy – Chińczycy, bazując wyłącznie na długości czasu pracy i uzyskując przedstawione wyniki, musieliby pracować siedem dni w tygodniu przez całą dobę bez snu i bez jedzenia, a to i tak do uzyskania takich rezultatów by nie wystarczyło.

Jakie wnioski? W Polsce konieczna jest od zaraz całkowita zmiana filozofii pracy, zakrojone na szeroką skalę innowacje w zakresie naukowym, technologicznym, edukacyjnym i organizacyjnym. Nauka i inteligencja muszą wyraźnie górować nad rzemiosłem i wyrobnictwem, a intelektualna aktywność nad brakiem zaangażowania i rutyną.

Ponieważ rozważamy związek nominalnego PKB per capita z czasem pracy, istotnego znaczenia nabierają dodatkowe aspekty tej metodologii. Chodzi o brak uwzględnienia uzupełniających parametrów, takich jak rozmiar wolnego czasu, efekty zewnętrzne, a więc zanieczyszczenie środowiska, wartość dóbr wytworzonych przez wolontariuszy, zwiększenie antydóbr, czyli koszty biurokracji czy wydłużenie czasu dojazdu do pracy, oraz jakość dóbr i usług. W każdej z tych kategorii wypadamy gorzej niż porównywane z Polską wysokorozwinięte kraje zachodnioeuropejskie. Jeżeli weźmiemy to pod uwagę, okaże się, że rzeczywiste tempo wzrostu PKB per

capita jest u nas istotnie niższe niż w tych wyżej wymienionych krajach, przy wyrażeniu dłuższym tygodniowym czasie pracy w Polsce.

Choć tempo wzrostu PKB per capita staje się podobne, to różnica w nominalnym PKB na głowę w oczywisty sposób musi rosnąć.

Pracując w taki jak obecnie sposób, nie tylko nigdy nie dogonimy państw wysoko rozwiniętych, ale też różnica w kolejnych latach będzie się powiększać.

Z końcem 2021 roku dochód narodowy na głowę w wysokorozwiniętych europejskich krajach był około trzech razy wyższy niż w Polsce. Nominalnie przy takiej samej wartości procentowej przyrostu PKB dla tych krajów i dla Polski w każdym kolejnym roku wartość przyrostu PKB będzie w tych krajach trzy razy wyższa niż w Polsce. Toteż nominalnie na koniec roku różnica wyniesie $P(1+r)$, gdzie P jest różnicą na początku roku, zaś r stopą wzrostu w ciągu roku przy założeniu, że będzie jednakowa w Polsce oraz w wymienionych krajach.

W Polsce w 2021 roku przyrost PKB per capita wynosił $17\,815 - 15\,718 = 2097$, w Niemczech $50\,795 - 46\,216 = 4579$, we Francji $44\,853 - 40\,162 = 4691$, w Danii $67\,758 - 61\,154 = 6604$, w Szwecji $60\,029 - 52\,170 = 7859$ i w Holandii $58\,292 - 52\,456 = 5836$.

Widać, że na początku roku, na przykład dla gospodarek niemieckiej i polskiej, różnica wynosiła 30 498, a na koniec roku już 32 980.

Jeżeli rozpatrywalibyśmy tę różnicę na podstawie realnego PKB, to w pewnych okolicznościach i przy pewnych szczególnych zewnętrznych założeniach sytuacja

mogłaby ulec zmianie. Mianowicie wtedy, gdyby w danym roku poziom inflacji w porównywanych krajach był na tyle wysoki, że zniwelowałby odpowiednie wzrosty nominalnego PKB per capita. Wówczas różnica w realnym PKB, przy pewnych warunkach, mogłaby nawet maleć.

Zalóżmy, że na starcie w Polsce realny PKB wynosi 100 jednostek, a w pewnym kraju zachodnioeuropejskim – 300. Różnica wynosi 200. Jeżeli w obu krajach roczne tempo wzrostu wyniosłoby 5 procent, to po roku mamy w Polsce 105, a w porównywanym kraju 315 jednostek. Przy inflacji równej zero różnica wzrosła do 210 jednostek. Jednak przy inflacji równej 5 procent w każdym z tych krajów różnica pozostaje taka sama, zaś przy większej inflacji różnica w realnym PKB maleje.

To, że dzisiaj obywatelom wymienionych europejskich krajów wystarczy od 75 do 90 procent czasu, jaki potrzebny jest w Polsce, aby wypracować trzy razy większy PKB oraz osiągnąć takie samo tempo wzrostu nominalnego PKB na głowę, wynika z nowoczesności.

Oczywiście te kraje są otwarte na świat, korzystają z szerokiej wymiany gospodarczej, korzystają z przejrzystego i przewidywalnego systemu prawnego, który stabilizuje zaufanie inwestorów. W Polsce, przy aktualnej władzy, żaden z tych elementów nie występuje.

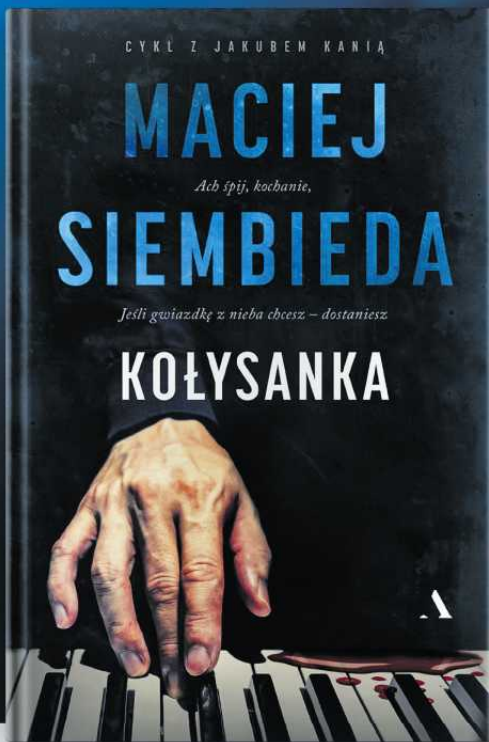
Ale też gospodarki tych krajów w znacznym większym stopniu oparte są na wiedzy, a praca nakierowana jest na cele, nie na wypełnienie niczego niewnoszących parametrów, takich jak długość czasu pracy. ●

*Robert Drachal – matematyk, wykładowca Collegium Civitas

SĄ WIELKIE TAJEMNICE,
KTÓRYCH NIE DA
SIĘ TAK PO PROSTU
WYTROPIĆ

TRZEBA JE USŁYSZEĆ...

PREMIERA 9 LISTOPADA





Mistrz sensacji
z Wielką Historią
w tle powraca!
Czy nowe śledztwo
Jakuba Kania zagrozi
jego karierze?

CZUŁE SŁÓWKA

Chrystoteka

Czemu minister Czarnek na „chrystotekę” przebrał się za robala z „Men in Black”.

Michał Rusinek*



Miałem niedawno wykład poświęcony uważnemu przyglądaniu się językowi, a dokładnie: niedocenionemu zjawisku purnonsensu w literaturze dla dzieci i dorosłych. Bo właśnie purnonsens to literatura, która dzieje się w języku, więc pozwala nam ów język zobaczyć lepiej niż każda inna. Mówiłem też o języku dzieci i podawałem przykłady dziecięcej purnonsensowej kreatywności, która często bierze się z kontaktu z językami hermetycznymi, obcymi dzieciom. Podawałem przykłady, które kiedyś zebrałem, pisząc książkę o dziecięcych „przekrętach” i neologizmach. Język religijny, jako mocno odbiegający od codziennego, jest szczególnie narażony na dziecięce przekręcanie. „Módl się za nami grzecznymi”, „pod Poncjuszem Piratem”, „Pana naszego Jezusa Chytrusa” czy „pięknaś ino po kolana” (zamiast „pięknaś i niepokalana”) – to tylko garść przykładów, które z jednej strony pokazują, że język kościelny jest dla dzieci językiem obcym, a to, co obce, trzeba oswajać, sprowadzając do czegoś sobie znanego, jak pirat czy chytrus. Z drugiej strony pojawienie się takich słów czy fraz jest momentem, w którym zaczynamy dostrzegać język jako taki – nie jako przezroczystą materię służącą do komunikowania się ze sobą, ale jako byt, który ma swoją materialność i plastyczność, który można przetwarzać i za pomocą którego można powołać do życia coś, co do tej pory nie istniało. Dzieci są prawdziwymi „native speakerami”, czyli takimi użytkownikami języka, którzy nie tylko go używają, ale też potrafią go przekształcać i coś do niego wnieść.

Po spotkaniu dostałem list od jego uczestniczki. Oto fragment: „Wysłuchałam wykładu, który wygłosił Pan w Gdańsku. W swoim wystąpieniu zaprezentował Pan kilka cytatów mających obrazować pomyłki popełnione podczas odmawiania katolickich modlitw przez »dzieci«. Zrobił to Pan ze swadą i poczuciem humoru, toteż donośny rechot części zgromadzonych był Pańską nagrodą. Jak mniemam, komponując swoje wystąpienie, miał Pan świadomość możliwej obrazu uczuć religijnych osób traktujących poważnie wyznawaną przez siebie wiarę, obrazy wyrafinowanej, umiejętnie przebranej bowiem w subtelny kostium literackiej analizy. Wzywam Pana do zaniechania prezentacji podobnych treści w przyszłości, nie wyłącznie ze względu na kwestię powyżej przedstawioną,

lecz przede wszystkim na fakt obrazy samego Boga”. Przyznam, że najbardziej zaniepokoiło mnie w tym liście słowo „dzieci” zapisane w cudzysłowie, jakby autorka wątpiła, że dzieci są zdolne do takich czynów, a dokonali ich dorośli bluźniercy lub istoty piekielne. Ale odpisałem, że bynajmniej nie miałem zamiaru niczych uczuć obrażać ani też nie zauważyłem wspomnianego rechotu. Owszem, zauważyłem śmiech – ale nie był to śmiech z religii ani tym bardziej ignorancji młodszych użytkowników języka, raczej z dziecięcych, niewinnych prób poradenia sobie z hermetycznym i archaicznym językiem; może więc bardziej z hermetyczności i archaiczności tego języka? Na śmiech – acz przez łzy – zasługuje też, moim zdaniem, artykuł 196 kodeksu karnego, mówiący o karach (grzywny lub pozbawienia wolności do lat dwóch) za obrazę uczuć religijnych. Żadne inne polskie uczucia nie zasłużyły na to, by pojawić się w owym kodeksie. Wzywanie mnie do zaniechania „prezentacji podobnych treści” wydało mi się podszyte groźbą oskarżenia mnie o obrazę rzeczonych uczuć. Cóż, gdybym zniknął na dwa lata z łamów „Wyborczej” – proszę mnie mieć za wytłumaczonego.

Miałem też ochotę zapytać autorkę listu, czy nie uważa, że uczucia religijne obrażają takie inicjatywy, jak „chrystoteka”. Pomyśl na przykład kilka lat temu w Pabianicach, a pomysłodawca – ks. Michał Misiak – wyjaśniał, że „chrystoteki” to dyskoteki bez używek, na których każdy „wybawi się na maksa, a następnego dnia wszystko będzie pamiętał”. Cóż, współczuję księdzu doświadczeń na dyskotekach: ja takich nigdy nie miałem. Ponoć na uczestników „chrystotek” czeka nie lada gratka: można się wypowiadać. Na przykład z grzechu bywania na dyskotekach. Organizatorzy „chrystotek” nie ukrywają jednak prawdziwego celu tych imprez, a jest nim walka z Halloween, czyli świętem obcym nam kulturowo, będącym rzekomo celebrowaniem „kultu szatana” i wyrażającym rzekomy brak szacunku dla zmarłych – a konkretnie do świętych Kościoła katolickiego. Stąd zapewne pomyśl, żeby zamiast Halloween organizować Bałle Wszystkich Świętych. W jednej ze szkół katecheta napisał list do rodziców: „Proszę, aby dzieci przebrały się za postaci świętych, czyli np. Jana Pawła II, Matkę Bożą, św. Franciszka, św. Faustynę”. Dodał, że przebrania mogą być proste w wykonaniu: „np. Anioł na białym ze skrzydłami, św. Franciszek na brązowo”. Żadnych złych duchów, czarownic lub dyń – „ideą Bału jest świetna zabawa i promocja świętości”. Oczywiście zaraz pojawiły się w internecie propozycje poszerzenia repertuaru świętych m.in. o św. Łucję (z wylupionymi

oczami), św. Agatę Sycylijską (z odciętymi piersiami na tacy), św. Piotra z Werony (z nożem w głowie), św. Bartłomieja (obdartego ze skóry) i św. Małgorzatę Clitherow (zmiażdżoną drzwiami). To także nie muszą być przebrania trudne w wykonaniu.

Na podobny pomysł wpadł prezydent Siemianowic Śląskich, który niedawno krytykował szczepienia na COVID, twierdził, że będą nam wszczepiać chipy, zawierzył więc Siemianowice miłosierdziu Bożemu i oświadczył, że Matka Boska jest „menedżerem miasta i je prowadzi”. W tym roku postanowił zorganizować imprezę konkurencyjną dla imprez halloweenowych pod fonicznie podobnym tytułem „Heaven Wins” (Niebiosy wygrywają), reklamowaną hasłem „Cukierek i dobry uczynek”, nawiązującym do halloweenowego zawołania „trick or treat”, dość niefortunnie tłumaczonego jako „cukierek albo psikus”.

W naszym katolickim kraju nie ma miejsca na psikusy, jest miejsce na dobre uczynki, nagradzane cukierkami. I słusznie. Ale ważniejsze jest co innego: podobnie jak duchowni chrystianizujący niegdyś pogańską Europę narzucali chrześcijańskie święta w czasie świąt pogańskich, wiedząc, że walka z nimi się nie powiedzie, tak i współcześni duchowni postanowili schryścianizować wszystko to, co świeckie, a zarazem cykliczne, pozostawić element zabawy czy festynu, ale zmienić nazwę na podobnie brzmiącą, no i ideologię na zbieżną z nauką Kościoła. W trosce, rzecz jasna, o nasze dusze, które świętowanie Halloween skazałoby na wieczne męki piekielne. Kościół, a zwłaszcza jego gorliwi urzędnicy, miewa ochotę na zawłaszczanie wszystkiego, co nosi znamiona święta, nawet jeśli jest żartem i próbą oswojenia śmierci śmiechem i zabawą, jak Halloween. Bo przecież uczucia świeckie nie są chronione żadnym paragrafem.

Nie wiem, czy ks. Misiak może liczyć na sukces chrystianizacyjny. Wiem natomiast, że „chrystoteki” są obiektem drwin – chociażby w memach pojawia się uzasadnione ewangelicznie pytanie, czy woda będzie zamieniana w wino i – nieuzasadnione ewangelicznie – czemu minister Czarnek na „chrystotekę” przebrał się za robala z „Men in Black” – i naprawdę można się było tego spodziewać. A te drwiny rzeczywiście wywołują rechot, który rzekomo usłyszała autorka listu na moim wykładzie. Tam go nie było. Tu – doczekała się.

*Michał Rusinek – wyklada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

W PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ”



1 KTO ZWOŁUJE
MĘSKIE KRĘGI.
Były chłopy, są
chłopy i będą
chłopy

2 OJCIEC, MATKA,
TIK TOK
I MASAKRA.
Nastolatki mówią,
jak jest

3 ONI ZA NAS
WALCZĄ.
Odtrutka na
negatywne myśli
w stosunku do
Ukraińców

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński

WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński

GRAFICY: Dariusz Filippek, Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

WYDAWCA PRAS
WOLNA SOBOTA
WOLNA SOBOTA
WOLNA SOBOTA

MÓWIĘ CHRZEŚCIJANOM: SPRAWDZAM



FOT. DE AGOSTINI VIA GETTY IMAGES

Nie ma żadnych powodów, aby wasze wierzenia traktować inaczej niż mity greckie czy skandynawskie

Jan Hartman*

Kto uwierzy w Jezusa, będzie żył wiecznie w niebie. Wstanie z grobu i zostanie zbawiony pomimo swych grzechów. Zostały one bowiem odkupione przez Jezusa-Boga, który ofiarował się Bogu Ojcu na krzyżu. Ofiara została przyjęta, bo Jezus zmartwychwstał. Ten cud niesie wszystkim wyznawcom nadzieję zbawienia. Czekają na jego triumfalny powrót, kiedy to obejmie władzę nad całym światem, a wszystkie ludy nawrócą się na prawdziwą wiarę. Zjednoczeni w oczekiwanu wierni tworzą Kościół święty, będący jedyną drogą zbawienia. Dobra nowina o zbawczej mocy krzyża i odkupienia przeznaczona jest dla wszystkich ludzi, lecz gdy ktoś jej nie przyjmie, pozostając nieprzejednanym i wyznając swoje fałszywe bóstwa, sam będzie winien temu, że zostanie potępiony.

Oto wiara katolicka. Bez krzywego zwierciadła, lecz również bez maskowania. Czy współczesny człowiek ma w sobie tyle autonomii i odwagi, żeby starać się to przesłanie ocenić, czyli zapytać: „Czy to w ogóle jest prawda? Czy głoszenie takich przekonań jest etyczne?”.

Ta religia nie jest zjawiskiem życia prywatnego, lecz – na przykład w Polsce – potęgą kształtującą prawo i wpływającą na życie każdego obywatela. Uczciwe postawienie pytania o prawdziwość i etyczność katolickich wierzeń jest niezbędne, jeśli nasz kraj ma się stać dojrzałą i prawdziwie niepodległą republiką, w której aksjologicznym źródłem prawa nie jest żadna z religii, lecz powszechne wartości polityczne, takie jak wolność, równość, praworządność i demokracja, a wszystkie organizacje, łącznie z religijnymi, podlegają temu samemu prawu i tym samym rygorom, bez dyskryminacji ani przywilejów.

Kościół od stuleci buduje potęgę na upowszechnianiu przekonania, że wprawdzie dopuszczał się niegodziwości, to jednak świętość i wyjątkowość jego fundamentalnych nauk o Bogu i miłosierdziu nie podlega dyskusji, a przeto on sam – jako strażnik tych nauk – jest niezbędny. Tak jak ojczyzna – jaka jest, taka jest, ale trzeba ją kochać, bo innej nie ma. Wszystko to jest nieprawdą, a w szczególności nieprawdą jest, że nauki chrześcijańskie są unikalne i czcigodne.

Bóg kochający i przykazanie miłości bliźniego to idee hebrajskie, tysiąc lat od chrześcijaństwa starsze. Jednak nawet nie to przywłaszczenie tradycji żydowskiej jest tak rażące, lecz sama idea i praktyka chępienia się miłością, czy może raczej mistrzostwem w miłosierdziu, oraz to, że owa miłosierność chrześcijan (a katolików zwłaszcza) dotyczy wyłącznie swoich (bądź dobrze rokujących kandydatów do „nawrócenia”), a ponadto uwarunkowana jest ich posłuszeństwem; przede wszystkim jednak była pustą deklaracją, nie powstrzymując kościelnych panów i władców od tysiącletniego ciemienia ludów i przerażających zbrodni.

Najwyższy czas chępienie się nadzwyczajną doskonałością w miłowaniu bliźniego nazwać tak, jak na to zasługuje: pychą i szantażem moralnym. Od dwóch tysięcy lat chrześcijanie pokazują martwe ciało na krzyżu, epatując wszystkich, których spotkają, takim wyzwaniem: umarł za ciebie, więc co, odmówisz mu teraz wiary? Tę niegodziwą manipulację kłazono ze straszeniem piekłem oraz nieustannym przypominaniem wszystkim wiernym i niewiernym, że są od narodzin aż po grób nędznymi grzesznikami, zdanymi na łaskę Boga. To nie do wiary, że w katolicyzmie zrezygnowano z tej poniżającej retoryki zaledwie kilka dekad temu. Zostało już tylko przekonywanie wiernych i jeszcze nienawróconych, że chrześcijanie są niemalże wynalazcami miłości bliźniego, dobroci, współczucia. Kiedy dostrzeżemy, że ta przewrotna pycha jest równie niemoralna jak mawianie ludziom pocucia winy i straszenie ich mękami piekielnymi?

Dobrotliwość chrześcijaństwa jest zresztą mitem. Wprawdzie w pierwszych wiekach obowiązywał Pawłowy oportunizm względem władzy „pogańskiej”, lecz był to oportunizm taktyczny, „mądrość etapu”. Co do zasady chrześcijaństwo od początku aspirowało do opanowania całego świata i podporządkowania go władzy Kościoła jako reprezentacji Boga na ziemi. Była to pierwsza religia o aspiracjach uniwersalnych i totalnych. Tę obsesję „misji” i „nawracania” przejął później od niego islam.

Zacytujmy samego Jezusa. „Nie sądzicie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową; i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien. Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je. Kto was przyjmuje, Mnie przyjmuje; a kto Mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który Mnie posłał” (Mt 10,34-11,1). Jezus wyraził się jasno: oczekuje, że ludzie będą się do niego przyłączać, nawet za cenę poważnych konfliktów i zrywania więzi rodzinnych, nawet za cenę utraty życia.

Inny cytat: „Ja jestem krzewem winnym, wy jesteście latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten wydaje wiele owocu; bo beze Mnie nic uczynić nie możecie. Kto nie trwa

Jest oczywiste dla wszystkich, łącznie z biskupami, że gdy ktoś mówi na poważnie, że posłał go Bóg i domaga się od innych, by w to wierzyli, to ma urojenia, zwane posłanniczymi. Oczywiście jest również dla nas wszystkich, że duchy nie płodzą dzieci. Wszyscy wiemy, że jak ktoś wstał, to widocznie nie był martwy, jak coś jest niematerialne (Bóg), to nie może „przebywać wraz z ciałem w niebie” (Jezus), a z kolei skoro ma być doskonałą jednością, to nie może być trzema osobami.

„Niebiańskie biuro”, w którym cielesna kobieta przekazuje prośby od ludzi swojemu boskiemu Synowi, który ją wcześniej – w jedności z dwiema innymi Osobami duchowymi – stworzył, jest obrazkiem tak archaicznie naiwnym, że aż żenującym. Dlatego ubiera się go we wzniosły język magiczno-mistyczno-teologiczny. Na tym łeku przed nagą dosłownością mitu zbudowana jest kultura niedomówień, której najwyższym nakazem jest nieuczciwość intelektualna, czyli nienazywanie rzeczy po imieniu. Doktryna tak porażająca, że chociaż w Kościele obowiązuje ortodoksja, to biskupi i teologowie dla ratowania twarzy gotowi są odcinać się od niej, powołując się na rzekomą „wielonurtowość” katolicyzmu. Nic z tych rzeczy! Kto wstydliwie kręci w sprawie zbawienia i piekła czy grzeszności „sodomii”, ten po prostu uprawia herezję, korzystając z wolności, jaką dała mu rewolucja liberalna.

Ale gdy ktoś chrześcijanom, a zwłaszcza katolikom, wytknie te wszystkie niedorzeczne i niemoralne przekonania, obruszają się,

Dlaczego niewierzący miałby dobrze życzyć instytucji, która uczyniła tyle zła i jeszcze uważa się za świętą?

A dlaczego miałby dobrze jej życzyć ktoś, kto wierzy w dobrego Stwórcę i Sędziego świata, lecz akurat nie w chrześcijańską Trójcę?

we Mnie, ten zostaje wyrzucony precz jak zeschnięta latorośl; takie zbierają i wrzucają w ogień, gdzie spłoną. Jeśli we Mnie trwać będziecie i słowa Moje w was trwać będą, proście o cokolwiek byście chcieli, stanie się wam” (J 15,1-8). To pogróżka. Kto nie ze mną, ten przeciwko mnie. Biada tym, którzy się nie podporządkują, a za to ci, którzy pójdą za mną, dostaną, co tylko chcą. Podobaloby się wam, gdyby ktoś tak do was lub waszych dzieci w ten sposób przemawiał, tak je szantażował i straszył? Gdyby zaczął uczyć uczniów pod szkołą i mówił takie rzeczy?

Czy przyszedłoby wam do głowy, że ten ktoś jest człowiekiem zdrowym i świętym? Pewnie nie. A skoro tak, to skąd oburzenie na tych, którzy Jezusa z Nazaretu traktują tak, jak wy potraktowaliście każdego, kto zachowuje się podobnie? Bo czynił cuda? Martwy wracający do życia, chleb i ryby pomnożone w rękach – do głowy nie przychodzi wam wierzyć w podobne historie o setkach innych żydowskich i nieżydowskich cudotwórców. Czemu więc właśnie ten? Czy nie dlatego, że tak was wychowano i że za legendą o Jezusie stoi potężna instytucja?

Nie widzę innego wytłumaczenia, bo przecież obietnica spełniona nie została – Jezus nie powrócił, aby objąć rządy na całej Ziemi. Owszem, daty nie podano, lecz z całą pewnością nie chodziło o dwa tysiące lat. Zresztą czy naprawdę chcielibyście, aby Chińczycy i Hindusi porzucili swe kultury? Nazwać taką postawę imperializmem kulturowym to nic nie powiedzieć!

Wymowa słów Jezusa jest klarowna, a jednak teologowie będą odwracać kota ogonem. Wolność intelektualna i skłonność do dyskusji nie sięga w świecie chrześcijańskim tak daleko, aby ktoś mógł mieć inne zdanie niż Jezus bądź żywioł wątpliwości co do jego słów bądź uczynków.

że to przecież tylko „na niby” (piękny zabytek, przypowieść etyczna, „coś w tym jest”) i nikt nie ma prawa przeszkadzać im w tej grze pozorów. W dodatku jeszcze obrażają się na karykaturalny rzekomo obraz ich wiary, choć przecież ich wierzenia są, jakie są, i nie ma żadnych powodów, aby traktować je inaczej niż mity greckie czy skandynawskie, w które jednakże nikt nikomu nie każe wierzyć.

Czy przez delikatność nie wypada pytać, czy ktokolwiek mógł chodzić po wodzie? Kulturalny człowiek przecież szanuje uczucia religijne! Jakaż by to była prostacka nieostojowość! No tak – wypada się zgodzić, że wyznawanie religii katolickiej (i nie tylko) to sprawa dość wstydliva. A poza tym, skoro nowoczesność zaoferowała nam wolność i prywatność, to trzeba uznać żądanie katolików, aby zostawić ich wiarę ich prywatności. Niech każdy sobie wierzy, w co chce! Szkoda tylko, że katolicyzm nie uważa wiary za kwestię prywatną i nie godzi się, by każdy wierzył, jak chce.

Dziś wystarczy, gdy katolicy deklarują, że widzą w biblijnych mitach jakieś usymbolizowane piękno moralne i doświadczenie religijne – wszyscy to „kupują”, łącznie z lewicą. Są to mądrze brzmiące herezje, lecz nie nadają się na usprawiedliwienie chodzenia do kościoła i nazywania się katolikiem. Pamiętajmy, że za taki sposób myślenia, jaki prezentują dziś zaangażowani w obronę Kościoła światli katolicy, aż do XVIII wieku karano więzieniem i śmiercią. „Spory teologiczne” pośród chrześcijan prowadziły do niewyobrażalnej przemocy, będącej brutalną dominantą całej historii chrześcijaństwa.

Co do datków na Kościół, zauważmy zaś, że wiara w dogmaty i świętość Kościoła nie jest żadnym usprawiedliwieniem dla udzielania wsparcia organizacji, która czyni zło w sposób systematyczny i systemowy, a jego sprawców chroni przed odpowiedzial-

nością. Nie wolno przeciwstawiać własnego subiektywnego przywiązania i uczuć faktom. A fakty są takie, że Kościół krzywdzi, i to najczęściej bezkarnie. Kto go wspiera, wspiera ten system. Robią to również ci liczni księża, o których katolicy mówią, że są wspaniali albo cudowni. Niestety, mimo najlepszych chęci całą swą działalnością oraz swym wizerunkiem wspierają oni instytucję, której moralnie obronić się nie da i której nie da się zreformować, nie naruszając jej dogmatycznych fundamentów.

Światli katolicy tworzą wokół Kościoła różową mgiełkę pięknoduchowskich fantazmatów. Mogą to robić, bo w świecie liberalnym nikt ich nie ukarze za herezję. Dla uniknięcia kolejnych wojen religijnych dawno zrezygnowano z rozważania „kwestii teologicznych” na serio.

Odpolitycznienie sporów religijnych w łonie chrześcijaństwa było pierwszą zdo- byczą kultury liberalnej i rewolucji etycznej, którą rozpoczęło odrzucenie teokracji i fundamentalizmu. Szaleństwo przelewania krwi „za wiarę” nareszcie się skończyło. Teraz niechaj każdy wierzy sobie, w co chce, bo wszystko to jednakowo jest spekulacją!

Tyle że akurat doktryna katolicka w wielu krajach nie jest kwestią prywatnych przekonań, lecz doktryną państwa.

I oto całkiem na serio, z pełnym wsparciem finansowym i organizacyjnym niby-świeckiego państwa uczy się dzieci, że dwa tysiące lat temu jedna boska Osoba „zapłodziła” młodą, aczkolwiek zamężną dziewczynę, która skutkiem tego urodziła drugą boską Osobę, natomiast każdy, kto śmie powiedzieć, że to nonsens albo zwykły mit, podobny do setek innych tego typu, jest natychmiast karcony za brak szacunku dla religii bądź za prymitywny antyklerykalizm. Czy naprawdę w imię „szacunku dla przekonań religijnych” nie wolno nazywać niedorzeczności niedorzecznością, a za to powinniśmy tolerować nieustanne spotwarzanie ateistów jako istot z gruntu amoralnych, bo „odrzucających Boga”? Czy przekonania antyreligijne nie zasługują na szacunek?

Zarzut „prymitywnego antyklerykalizmu” spotyka każdego, kto chciałby potraktować wierzenia chrześcijan serio, czyli tak, jak żąda tego teologia. A stara, sięgająca korzeniami samego Pelagiusza, herezja – gdyż tym jest „nieprymitywne” rozumienie wierzeń i dogmatów w duchu etycznego symbolizmu lub innej „hermeneutyki” – staje się czymś w rodzaju nieoficjalnej doktryny oświeconych chrześcijan. W rezultacie ten, kto pyta: „czy to wszystko w ogóle jest prawdą?”, bez żadnej dyskusji wykluczany jest z towarzystwa jako prostak.

Wszystko jest dziś inaczej niż choćby wtedy, gdy w latach 80. studiowałem na KUL, uwiedziony mitem Kościoła wspierającego opozycję. Skąd mogłem wiedzieć, że wielokrotnie więcej księży wspierało akurat SB, a wśród nich rektorzy tej uczelni? Jest też inaczej niż choćby wtedy, w 2010 r., gdy napisałem dla „Tygodnika Powszechnego” artykuł „Zła nowina”, w którym dowodziłem, że szczerą wiarą jest w naszych czasach fundamentalnie niemożliwa. Odpowiedziało kilku zacnych autorów, a wśród nich arcybiskup Żyziński, zachwalający kenozę i opowiadający o Bogu, który się sam uniżył i zszedł do nas.

Nie miało to związku z moimi argumentami, lecz już sam fakt, że taka wymiana się odbyła, pokazuje, w jak odrealnionym żyliśmy świecie. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że najmniej księży pedofilów jest we Francji (bo „tylko” 3 proc., a nie przeciętne 5), system ochrony pedofilów w Kościele miał zasięg globalny, a współpraca z mafią była stała. Wielu wykształconych ludzi nie wiedziało o wielkiej akcji Watykanu mającej na celu ewakuację zbrodniarzy hitlerowskich (w tym komendanta Sobiboru i Treblinki Franza Stangla). Mało kto słyszał o tym, że Kościół w imieniu Hitlera zarządzał podczas wojny Słowacją, której dyktator ks. Tiso wysłał do Auschwitz około 60 tys. Żydów. Zaś masowe groby zamęczonych przez zakon-

nice dzieci w Irlandii czy w Kanadzie nawet nie były jeszcze odkopane.

Marne to jednak usprawiedliwienie dla mnie i dla wielu z nas, bo przecież nie było tajemnicą, że liczne krwawe reżimy Europy i Ameryki Południowej opierały się na Kościele, a religia katolicka była ich oficjalnym wyznaniem. I co? I nic. Zapewne ta nasza ślepotą wynikała z podobnej nieczulości, która stała się tak uderzającą cechą wielu dzisiejszych społeczeństw, obojętnych emocjonalnie na utratę setek tysięcy swoich członków w wyniku epidemii. W Polsce nie było ani dnia żałoby z powodu śmierci 200 tysięcy ofiar COVID-u. Mamy się więc spodziewać, że społeczeństwo przejmie się dziećmi zakatowanymi w kościelnych „ochronkach” albo ofiarami przemysłowych eksterminacji dokonywanych przez ultrakatolickich dyktatorów otaczających się świtą biskupów? Tyle to ludzi obchodzi, co dziewictwo Maryi. Nie traktuje się tego w kategoriach faktu, nie mówiąc już o gotowości do moralnego osądu.

System totalitarnego terroru, jaki przez kilkanaście stuleci utrzymywał Kościół z pomocą „świeckiego ramienia” katolickich królów i książąt, gdzie kontrola była totalna, a każda niesubordynacja i odstępstwo karane torturami i śmiercią, to zupełnie obojętne „zaszłości”, których tragiczna autentyczność nie ma żadnego znaczenia w obliczu własnej tożsamości kulturowej współczesnego katolika. On nie będzie do tego wracał (najlepiej przeprosić i zamknąć temat, by potem powtarzać już tylko „no przecież już przeprosiliśmy!”), tak jak nie będzie rozważał, czy aby na pewno Maryja była dziewicą i skąd to właściwie wiadomo. Była i tyle. Nie liczą się fakty, lecz tożsamość.

Nie, nie mogę nas usprawiedliwić ignorancją, niemniej te kilkanaście lat napływania przerażających wieści o Kościele to epoka, w której zmieniło się wszystko. Kościół jest dziś problemem kryminologicznym, a uczeni księża i świeccy katolicy o wysokich aspiracjach kulturalnych, oddając się piękno duchostwu teologicznemu, brzmią coraz bardziej niestosownie.

Najwyższy czas powiedzieć, że samoza-chwył duchownych i świeckich katolików oraz pielegnowanie mitu o wyjątkowości i niezastępowalności chrześcijaństwa jako duchowego i moralnego przelomu to przechwałki mające odwrócić uwagę od upadku Kościoła. Coraz bardziej przypomina to obłudną retorykę „świętości Kościoła”, w której nawet kościelne zbrodnie ją uzasadniają, bo świadczą o aktywności szatana, pośrednio dowodząc jego świętości. Trzeba wyjść z zakłętego kręgu dogmatu o wielkim i nowatorskim posłannictwie grzesznego Kościoła oraz wyjątkowości postaci i nauk Jezusa (nazywanego Chrystusem, czyli Mesjaszem, nawet przez ateistów!).

Doktryny chrześcijańskie w ogólności, a katolickie w szczególności, nie wytrzymują moralnej krytyki, wypowiedzi Jezusa (zresztą w większości będące standardem żydowskiej tradycji mówionej) nieraz są, delikatnie mówiąc, kontrowersyjne, a poziom świadomości moralnej, który się w nich przejawia, dramatycznie ustępuje etycznej mądrości choćby starszego o blisko 400 lat Arystotelesa. Gdyby zaś Arystoteles był dla chrześcijanina zbyt mało czuły i empatyczny w stosunku do cierpiących, to polecam Kratesa – około 350 lat starszego od Jezusa.

Jednym z chwytów retoryki oświeconego katolicyzmu jest coś, co można nazwać „pychą uniżoności”. Rzekomo gdzieś w morzu niegodziwości Kościoła „czai się” dobro. To kościelne dobro czasami trudno zobaczyć, tak jak trudno było rozpoznać samouniżającego się Boga, który zstąpił na ziemię, aby dzielić z ludźmi ich los, godząc się na obcowanie z ludzką nędzą. Mamy uwierzyć, że w totalnej instytucji Kościoła, trzęsącej połową świata przez półtora tysiąclecia, mieszka sam Bóg. W dodatku to przywilejem wiernych, niedostępnym dla profanów, jest rozumienie, że niezależnie od wszelkich zbrodni popełnianych przez

ludzi Kościoła nadal to Kościół prawdziwego Boga. Więc Kościół, prawdę mówiąc, w ogóle ludzkim sądom nie podlega.

Przykładem delikatnej wersji takiej retoryki jest opublikowany w listopadzie 2021 w „Wyborczej” wywiad, jakiego czeski teolog Tomasz Halik udzielił Magdalenie Czyż. Zdaniem Halika profani nie rozumieją duchowej wielkości Kościoła, bo patrzą na niego oczami Sancho Pansy, czyli jakby prostacko. A tymczasem Kościół trzeba miłować jak Don Kichot Dulcyneę. Bo bez Kościoła świat ogarną mroki. Wychodzi więc na to, że Kościołowi trzeba by właściwie współczuć i tym bardziej go wspierać, im większych dopuszcza się podłości.

Jezus wyraził się jasno: oczekuje, że ludzie będą się do niego przyłączać, nawet za cenę zrywania więzi rodzinnych, nawet za cenę utraty życia

„Mamy ten skarb w naczyniach glinianych” – cytuje Pawła Halik, nie zadając sobie trudu uzasadnienia, jakąż to niedającą się zastąpić wartość mielibyśmy utracić w razie upadku Kościoła, a w dodatku stosuje wobec czytelników klasyczny kościelny sofizmat: jeśli jesteś człowiekiem dobrej woli, to chciej dobra Kościoła i współczuj mu, gdy wytykasz mu zawinienia. Doprawdy? Czy Kościół, życzący dobrze wszystkim, pochyla się z troską nad organizacjami masonskimi? Dlaczego niewierzący miałby dobrze życzyć instytucji, która uczyniła tyle zła, a w dodatku jeszcze uważa się za świętą? A dlaczego miałby dobrze jej życzyć ktoś, kto wierzy w dobrego Stwórcę i Sędziego świata, lecz akurat nie w chrześcijańską Trójcę?

Halik niby nie chce wybielać Kościoła, lecz powieliła mit służący maskowaniu krwawych dziejów Kościoła, ten o XX-wiecznych totalitaryzmach, które były następstwem odrzucenia chrześcijaństwa. Trzeba zdeza-awuować mit o jakościowej przepaści mającej oddzielać terror i przemoc stosowaną w średniowiecznych i nowożytnych państwach katolickich od tyranii XX wieku, zwanych ustrojami totalitarnymi. Otóż podobnie jak w ZSRR i innych państwach totalitarnych wszyscy mieszkańcy katolickiego cesarstwa i państw kościelnych musieli regularnie deklarować posłuszeństwo i prawomyślność, podlegali stałemu nadzorowi ideologicznemu, a każda niesubordynacja (nawet taka jak opuszczenie mszy) karana była w sposób brutalny i gwałtowny. Dokładnie to nazywamy totalitaryzmem.

Zmitem Kościoła dobrośliwego, acz błędzącego, Kościoła służącego Bogu i ludziom wiąże się dyskurs „symetryczny”, służący usprawiedliwieniu terroru i przemocy, jaką przez kilkanaście stuleci stosował Kościół katolicki względem przeciwników bądź innowierców. Nazywam ten typ sofisterii „alekatedralizmem”, bo najczęstszy argument w odpowiedzi na opowieść o potwornościach, jakich dopuszczali się papieże, biskupi czy zakony rycerskie, jest taki, że pomimo krwawych dziejów Kościoła bez niego nie mielibyśmy katedr, a także szpitali i uniwersytetów.

Nawet jeśli dopuścić coś tak okropnego jak zestawienie śmierci i cierpień milionów ofiar „nawracania”, krucjat, inkwizycji, pracy przymusowej z katedrami, obrazami religijnymi, muzyką sakralną, przytulkami i uniwersytetami, zakonnymi pa-siekami, stawami i młynami, to bilans wydaje fatalnie. Nie można przy takiej kalkulacji

zapomnieć, co mogłoby powstać, gdyby nie zatrzymanie przez Kościół na wiele stuleci swobodnego rozwoju nauki i cywilizacji materialnej. No i wreszcie trzeba by powiedzieć sobie prawdę o owych szpitalach i uniwersytetach. Te pierwsze były miłosiernymi umieralniami, oferującymi nędzę i modlitwę, podczas gdy w świecie arabskim (i nie tylko) analogiczne instytucje były na znacznie wyższym poziomie. Te drugie zaś nie tylko pozwoliły Kościół utworzyć dopiero po stuleciach tępienia wszelkiej świeckiej nauki, lecz gdy już powstały, poddawał je tak ścisłej kontroli doktrynalnej, że za nieprawomyślne przekonania można było trafić do więzienia. Nie można porównywać tych

kościelnych zakładów edukacji i produkcji doktryn katolickich z wolnymi szkołami, jakie знаła Grecja, a nawet Indie. Scholastyka ma wielki dorobek i tylko można sobie po-fantazjować, o ileż byłby większy, gdyby uniwersytety były wolne.

Istota „alekatedralizmu” tkwi w amoralnym „sprzedawaniu” ofiar przemocy za dzieła sztuki czy inne dobra. Czy ocenę ZSRR albo Korei Północnej będziemy opierać na przeciwstawieniu ofiar terroru szkołom, drogom, fabrykom i szpitalom, które te przerażające państwa wybudowały? A czy zna-na jest jakaś potęga polityczna, która nie pełniłaby funkcji socjalnych i nie miała jakichś własnych zasobów cywilizacyjnych? Trudno o coś bardziej bezmyślnego i niemoralnego jak usprawiedliwianie tyranów tym, że pod ich rządami wydarzały się również i dobre rzeczy. Wydarzały się takowe również w hitlerowskich Niemczech. I co z tego?

Nie jest też prawdą to, co głosi współczesny „słaby Kościół”, że jest częścią czegoś bardziej ogólnego, co łączy ze sobą wszystkie ludy, a mianowicie częścią ogólnoludzkiego doświadczenia sacrum i wiary w Boga, który wszak jest jeden i wspólny dla wszystkich religii.

Bóg nie ma nic wspólnego z Zeusem, a Zeus z Allahem i jak świat światem wyznawcy wielkich i silnych bóstw (pretendujących do jedyności i „anihilujących” wszelkich konkurentów) zwalczali się namiętnie i krwawo. Nie ma żadnego „Boga” będącego „częścią wspólną” wierzeń różnych religii. Ta manipulacja służy wytwarzaniu złudzenia, że wszyscy wierzący (różnych wyznań) tworzą jedną wspólnotę. Od tego złudzenia już tylko krok do powiedzenia czegoś, czego uczono mnie na KUL: różne są religie, różne są drogi do Boga, lecz to chrześcijaństwo jest tą najdoskonalszą, bo opiera się na prawdziwym objawieniu.

I jeszcze jeden sofizmat i kłamstwo. Otóż gdy reformacja doprowadziła do powstania lokalnych wspólnot religijnych, pretendujących do kulturowej niezależności, obejmującej lokalny język i tradycje, rozpoczął się proces tworzenia narodów. Aby uniknąć dalszego rozpadu, Kościół katolicki podchwycił ideę nacjonalistyczną i zaczął kreować Kościoły „lokalne”. Już wcześniej praktykował dwulicowość, błogosławiąc na wojnę rycerzy obu zwaśnionych stron, co później praktykuje do dziś (w roku 1939 biskupi polscy i niemieccy również życzyli powołania swoim), lecz począwszy od mniej więcej XVII wieku Kościoły w poszczegól-

nych krajach stawiały się „patriotyczne”, dbając o to, aby w tożsamości rodzących się narodów zapisana była wiara katolicka.

Wszystko to jest błagą. W Królestwie Bożym nie będzie Polski, a Kościół nie dzieli się na narodowe odłamy, lecz jest jeden i powszechny. Jeśli wspiera aspiracje narodowe tu czy tam, to tylko i wyłącznie wtedy, gdy ma z tego korzyść, czyli wtedy, gdy znaczenia to jego pozycję. W przypadku Polski oznaczało to obronę przed prawosławną bądź „bezbożną” Rosją. Nigdy wszelako Watykan nie był tak naprawdę przyjacielem ani sprzymierzeńcem Polski. Był przyjacielem i sprzymierzeńcem samego siebie. Taki jest nakaz teologiczny – nie ma żadnego wyższego dobra niż dobro Kościoła. Dlatego jeśli tak jest dla Kościoła dobrze, to będzie wspierał katolicką dyktaturę czy okupację jednego katolickiego państwa przez inne, a gdy musi działać w państwie o autorytarnej i niechętnej mu władzy, to stara się z nią ułożyć, stwarzając jednocześnie pozory, że popiera opozycję. Tak było też w Polsce, gdzie Kościół palił świeczkę władzy, a opozycji ogarek – dbając, aby społeczeństwo widziało ten drugi.

Nie, nie jest prawdą, że w średniowieczu i później „wszyscy byli tacy”, to znaczy tak brutalni i bezwzględni, jak papieże, biskupi i ich opresyjne służby. Bywały i zdarzają się nadal równie bezwzględne tyranie, cynicznie powołujące się na przymierze z jakąś Najwyższą Istotą. Jednakże i dwa tysiące lat temu, i tysiąc, i pięćset lat temu były na świecie państwa o wiele łagodniejsze i bardziej ludzkie. Bardziej z ducha chrześcijańskie – jak zwykli nazywać wszystko, co dobre, znani ze skromności chrześcijanie.

Świat nie musi być tak straszny, jakim był pod tysiącletnią władzą Kościoła. Może być o wiele, o wiele lepszy. Już taki jest. Walczmy o to, żeby był jeszcze lepszy, jeszcze bardziej „chrześcijański”. Aby to się spełniło, czas najwyższy już chrześcijanom podziękować. Mieli swoją szansę. Jedną, drugą, tysięczną. Dość. ●



FOT. JAKUB FILEW / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Hartman

• ur. w 1967 r., filozof i etyk, profesor UJ, publicysta. Ostatnio wydał: „Pochwała litości. Rzecz o współnocię”, „Polityka. Władza i nadzieja”, „Pochwała wolności”, „Etyka życia codziennego”. Działacz ateistyczny.

Czego o pedofilii w Kościele Jan Paweł II nie mógł, a czego nie chciał wiedzieć?

„Bielmo” Artura Nowaka i Stanisława Obirka to historia Kościoła żywiącego się poczuciem winy wiernych, zaleknionego wizją, w której – na równi z kapłanami – oni decydowaliby o jego kształcie

Wbrew pozorom ani antykościelna, ani anty-religijna – „Babilon. Kryminalna historia Kościoła” Artura Nowaka i Stanisława Obirka to historia Kościoła żywiącego się poczuciem winy wiernych, zaleknionego wizją, w której – na równi z kapłanami – oni decydowaliby o jego kształcie



Obie książki dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie ebooka na Publio.pl

CO MNIE URZEKŁO

Aniołowie wykuli kościół w jeden dzień

W Lalibeli chodziło nie o epatowanie wielkością i bogactwem, lecz o manifestację pokory wobec Boga
przez wykorzystanie tego, co stworzył

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

FOT. SHUTTERSTOCK

N

Nie jest wielką sztuką dać się urzec zabytkom należącym do ścisłej czołówki listy cudów świata. Jednak Lalibela w etiopskiej prowincji Amhara wprawia przysza w osłupienie jako przykład ekstremalnej determinacji ludzi, którzy chcieli dać materialny wyraz swojej wierze.

Tamtejszych 11 skalnych kościołów wykonano w XII i XIII w. Są to formy monolityczne, więc trudno powiedzieć, że je zbudowano. Zostały bowiem odkute z litej skały. Jest to bardzo pracochłonna, więc rzadko stosowana technika kształtowania formy budynku, nie przez dokładanie odpowiednio spiętrzanych elementów, lecz przez odrzucanie tego, co zbędne. Ewentualnego błędu nie da się już naprawić, zaczynając od początku.

Formę przestrzenną można uzyskać przez użycie pobranych skądś surowców (np. usypanie z ziemi, złożenie z kawałków drewna, ustawienie z kamieni, ulepienie z gliny lub wyklejenie z pomocą drukarki 3D) albo przez usuwanie „zbędnych” fragmentów, np. przez wyrzeźbienie jej z jakiejś bezkształtnej bryły, w której artysta „dostrzeżył” potencjalny kształt.

Właśnie tak postąpili „rzeźbiarze” skalnych kościołów, którzy zrealizowali wizję króla Gebrego Meskela zwanego Lalibelą (ok. 1180 – ok. 1220), który został świętym Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego. Nie wiemy, czy sam wyobraził sobie, co można wykuć ze skał bazaltowych położonych po obu stronach strumienia nazywanego znacząco Jordanem, czy też miał doradców wizjonerów. Wedle zachowanej tradycji to Bóg miał mu nakazać zbudowanie nowej Jerozolimy po zdobyciu tej właściwej przez Saladyna w 1187 r.

Według jednej z legend to aniołowie wykuli pierwszy z ko-



ściołów w jeden dzień, co miało zachęcić króla Lalibelę do realizacji reszty tego niezwykłego zadania. Nie wiem, czy ktoś oszacował nakład roboczogodzin potrzebnych do wykonania tej tytanicznej pracy, ale trudno uwierzyć, aby całość wykonano przed końcem panowania króla, chyba że udało mu się zatrudnić tysiące kamieniarzy, w co trudno uwierzyć.

Ta wątpliwość nie zmienia mojej opinii, że widoki, jakie oferują skalne kościoły, są urzekające swoją niezwykłością, czy wręcz zniewalające podziwem dla ludzkiego geniuszu i uporu w realizacji wizji, która nawet dzisiaj wydawałaby się szalona. Mówimy przecież o kuciu bazaltu za pomocą ręcznych młotów i dłut, których ślady są dobrze widoczne na wszystkich ścianach. O ile dookolne „obkopanie” ogromnej bryły skalnej, z której chciano wykuć kościół, nie wymagało wielkich umiejętności, to „uwolnienie” ze skały ażurowej i zdobionej świątyni wymagało najwyższego kunsztu i nadzoru inżyniersko-artystycznego.

Przy niezwykłym rozmachu wykonawczym zadziwia manife-

stacyjna skromność tych inwestycji. Nie stała za nimi typowa w takich przypadkach chęć wywarcia na przybyszach wrażenia bogactwa i potęgi, bo wtedy wzniesliby swoje budowle tak, aby im zapewnić widoczność nawet z dużej odległości. Tymczasem kościoły Lalibeli są z daleka zupełnie niewidoczne, bo nie wystają ponad powierzchnię terenu. Można je dostrzec dopiero, kiedy stanie się na krawędzi ogromnych dolów wkuć w skałę. Chodziło więc nie

o epatowanie wielkością i bogactwem, lecz o manifestację pokory wobec Boga przez umiejętne wykorzystanie tego, co stworzył. Włożono ogrom wysiłku w stworzenie czegoś, co jest niewidoczne z powierzchni ziemi i robi należyte wrażenie dopiero po zejściu na sam dół.

Szczególny podziw prowokują cztery kościoły dookolnie oddzielone od otaczającej je skały: Biete Medhane Alem (kościół Zbawcy Świata), Biete Mariam (kościół

Marii), Biete Amanuel (kościół Emanuela) i najsłynniejszy z nich Biete Ghiorgis (kościół Jerzego). Wszystkie są czynne, wszystkie żyją cyklicznym rytmem codziennych rytuałów i wydarzeń wyznaczonych kalendarzem liturgicznym.

Wiara wciąż sprowadza tam ludzi w potrzebie, jak tę dziewczynę, która wyla się na podłogę jednego z kościołów, leżąc u stóp egzorcysty, który wypędzał z niej złego ducha. Na widok turystów Zły się na moment powstrzymał i pozwolił jej się unieść, żeby nas dobrze obejrzeć. Za chwilę jednak głośny rytuał oczyszczenia był kontynuowany.

Rzesze pielgrzymów, tak jak ona przybywających przez stulecia do Lalibeli, przyciąga tam nie rozmach wizualny, lecz sława miejsca opromienionego sakralną mocą. Paradoksalnie, schodząc w głąb skał, czuli się bliżej nieba. To było bowiem piękno wyrwane przez kamieniarzy podziemnym mocom i ofiarowane Bogu – trudne dziś dla nas do zrozumienia swoiste wywyższenie przez poniżenie. ●

Pielgrzymi, schodząc w głąb skał, czuli się bliżej nieba

NASZA EUROPA

Duńczycy boją się o swoją wyspę

BEZBRONNY BORNHOLM

Groźby, sabotaż u wybrzeży i przerwy w dostawie prądu na bałtyckiej wyspie to oznaki, że putinowska Rosja uważa ją za łatwy cel

Carlos Torralba

EL PAÍS

W ciągu ostatnich kilku miesięcy na duńskiej wyspie Bornholm rośnie powszechny niepokój. Groźby ze strony Moskwy, naruszanie duńskiej przestrzeni powietrznej i wód terytorialnych przez rosyjskie myśliwce i okręty wojenne, sabotaż gazociągów w miejscu oddalonym zaledwie o 20 km od wybrzeża wyspy oraz niedawna tajemnicza awaria prądu przypomniły mieszkańcom, że wojna w Ukrainie jest o wiele bliżej nich niż reszta Danii. Od razu, mimo upływu tylu lat, odzywają wspomnienia o II miesiącach sowieckiej okupacji po zakończeniu II wojny światowej.

„W żadnym momencie nie było u nas paniki, ale niepokój – tak, oczywiście” – podkreśla w swoim biurze Jacob Trøst, burmistrz gminy obejmującej administracyjnie całą wyspę.

Ale fakty są takie, że lokalne władze domagają się większej obecności wojska na wyspie leżącej tuż obok miejsca uszkodzenia rurociągów Nord Stream.

350 KM OD BAZY
LOTNICTWA
SZTURMOWEGO
W KALININGRADZIE

Strategiczne położenie Bornholmu, który poza sezonem turystycznym ma 40 tys. mieszkańców, znacznie bliżej wybrzeża Szwecji niż Kopenhagi i zaledwie 350 km od rosyjskiej eksklawy w Kaliningradzie, oznacza, że wyspa jest kluczem do kontrolowania przestrzeni powietrznej i morskiej na południowym Bałtyku.

„Jest wiele podobieństw do szwedzkiej wyspy Gotlandia czy fińskiego archipelagu Aland – mówi Jens Wenzel Kristoffersen, oficer duńskiej Marynarki Wojennej i analityk w Centrum Studiów Wojskowych na Uniwersytecie w Kopenhadze. – Gdyby na Bornholmie zdecydowano się zainstalować systemy obrony powietrznej NATO i wielokrotne wyrzutnie raketowe, pozwoliłoby nam to na absolutną kontrolę nad tym obszarem, nie mówiąc o dostępie do Bałtyku z Morza Północnego” – dodaje.

W przeciwieństwie do Gotlandii, którą w ostatnich latach zremilitaryzowano, czyli wysłano na nią duży garnizon szwedzkich żołnierzy i rozpoczęto prace nad rozbudową i modernizacją obiektów wojskowych, na Bornholmie – nawet od czasu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na Ukrainę – wzmocnień militarnych było bardzo mało. Najbardziej znaczące było wysłanie na wyspę na stałe dwóch myśliwców F-16.

W 2000 r. Kopenhaga podjęła decyzję o rozwiązaniu bornholmskiego garnizonu w ramach redukcji wydatków na woj-

sko, która rozpoczęła się krótko po zakończeniu zimnej wojny. Przeciwno tej decyzji demonstrował wtedy co czwarty mieszkaniec wyspy. Dziś na Bornholmie, który jest mniej więcej wielkości Ibizy, stacjonuje tylko kilkuset ochotników Gwardii Narodowej i batalion wojsk rozpoznania.

Schrony przeciwlotnicze na Bornholmie obecnie są wykorzystywane jako magazyny. Podczas gdy na Gotlandii i w Finlandii ludzie dobrze wiedzą, gdzie się udać, gdy usłyszą alarm przeciwlotniczy, na duńskiej wyspie nie ma gdzie się schronić. „Decyzja o ponownym otwarciu schronów zależy wyłącznie od duńskiego rządu, a jak dotąd nie uznał on tego za konieczne” – mówi Trøst.

„Gdyby Rosja nagle zaatakowała Bornholm z powietrza, w tym raketami, przejście przez nią portu i lotniska byłoby kwestią godzin – mówi oficer duńskiej marynarki. – NATO byłoby bardzo trudno temu zapobiec, a także później ewentualnie odbić wyspę bez ofiar wśród ludności cywilnej”

Burmistrz, z partii konserwatywnej, opowiada się za wzmocnieniem obecności wojskowej na wyspie. Większość polityków głównych partii opozycyjnych (we wtorek w przyspieszonych wyborach władzę umocniła socjaldemokracja premier Mette Frederiksen) również apelu-

je o zwiększenie liczby żołnierzy i lepsze ich uzbrojenie. Socjaldemokratyczny rząd dotychczas wołał wysłać setki duńskich żołnierzy w ramach rotacyjnej obecności NATO do Estonii, na Łotwę i Litwę niż na swoją bałtycką wyspę.

„Gdyby Rosja nagle zaatakowała Bornholm z powietrza, w tym raketami, przejście przez nią portu i lotniska byłoby kwestią godzin – mówi Kristoffersen. – NATO byłoby bardzo trudno temu zapobiec, a także później ewentualnie odbić wyspę bez ofiar wśród ludności cywilnej”.

AMERYKAŃSKIE MANEWRY
NA BORNHOLMIE
I REAKCJA ROSJI

W maju wojska amerykańskie przeprowadziły na Bornholmie ćwiczenia, podczas których po raz pierwszy zainstalowano system wieloprowadnicowych wyrzutni raketowych HIMARS – rodzaj uzbrojenia odgrywający kluczową rolę w sukcesie trwającej ukraińskiej kontrofensywy na wschodzie i południu kraju. Ambasador Rosji w Kopenhadze Władimir Barbin ostrzegł już jednak Danię, że testy przeprowadzone przez wojska amerykańskie na Bornholmie będą miały „poważne konsekwencje”.

Początek wojny w Ukrainie mieszkańcy Bornholmu przeżywali inaczej niż na kontynencie. Żyją tu wciąż setki osób, które pamiętają II miesiące sowieckiej okupacji po upadku III Rzeszy. Ale wszyscy przyznają, że kolejne niepowodzenia militarne ponoszone przez Rosję w Ukrainie przywróciły pewien spokój na wyspie. Dopiero niedawny sabotaż gazociągów Nord Stream w pobliżu brzegów Bornholmu na nowo wzmógł poczucie braku bezpieczeństwa. Od tego czasu fregata duńskiej marynarki stale patroluje ten rejon. Burmistrz Trøst często spogląda na aplikację w swoim telefonie komórkowym,

która informuje go, jakie statki znajdują się obecnie w pobliżu wybrzeża.

Kilka dni po sabotażu na wyspie doszło do kilkugodzinnej przerwy w dostawie prądu. „Kiedy się obudziłem i zobaczyłem, że zabrakło prądu, pomyślałem, że jednak zaczyna się III wojna światowa, i poszedłem szukać mojego starego agregatu na ropy” – przyznaje Jakob Seerup, dyrektor Muzeum Bornholmu w Rønne, stolicy wyspy.

Przerwa w dostawie prądu okazała się spowodowana usterką kabla podmorskiego, który łączy Bornholm ze Szwecją. Ale ta wiadomość nie poprawiła nastrojów na wyspie – ludzie uświadomili sobie iluzoryczność swojego bezpieczeństwa.

Seerup, historyk wojskowości, zna wiele szczegółów dotyczących miesięcy sowieckiej okupacji i potrafi o tym opowiadać z pasją. Prawie dwa tygodnie po tym, jak Adolf Hitler popełnił samobójstwo w bunkrze w Berlinie, Armia Czerwona zbombardowała port i lotnisko, a zaraz potem wysadziła desant na wyspę, na której w tym czasie tysiące nazistowskich żołnierzy początkowo zamierzało się nie poddawać, mimo upadku III Rzeszy.

Seerup podkreśla, że miesiące sowieckiej okupacji, które potem nastąpiły, były czasem wielkiego niepokoju zarówno na wyspie, jak i w Kopenhadze. „Nikt nie wiedział, jakie są plany Stalina, spekulowano, że Bornholm pozostanie okupowany albo że Moskwa może zainstalować mario-netkowy rząd, jak w innych częściach Europy Wschodniej” – mówi dyrektor muzeum. Ale Stalin podjął decyzję wciąż badaną przez wielu historyków: polecił armii opuścić wyspę w kwietniu 1946 r., rezygnując w ten sposób z obecności ZSRR w Skandynawii.

„Wojna Putina w Ukrainie przywróciła u nas od razu pamięć o najmroczniejszych chwilach rosyjskiej okupacji, w tym o 27 udokumentowanych gwałtach na tu-tejszych kobietach. Z drugiej strony były



FOT. FABIAN BIMMER / REUTERS / FORUM

NASZA EUROPA

też pozytywne aspekty obecności Rosjan, a nawet pewne oznaki pokojowego współistnienia” – mówi Seerup.

Inną osobą, która dogłębnie zbadała miesiące sowieckiej okupacji Bornholmu, jest Birgitte Borgen Müller, pisarka, która w wydanej niedawno książce zebrała ponad 70 świadectw mieszkańców wyspy, którzy mieli wtedy kontakt z Rosjanami. Borgen Müller, mieszkająca w Kopenhadze, mówi, że większość osób, które zdążyła przepytać o tamten czas, żywo pamięta uroczystości w porcie po wycofaniu wojsk radzieckich. „Wielu zaznaczało, że większość problemów w tych miesiącach miała związek z niepohamowanym piciem alkoholu przez najeźdźców – mówi. – Ludzie, którzy dziś mają ponad 90 lat, pamiętają głównie mroczne aspekty tamtej krótkiej okupacji. Natomiast ci, którzy byli wtedy dziećmi, mają szczęśliwsze wspomnienia, to był dla nich jakby czas w kinie, na długim filmie przygodowym” – opowiada.

Choć rząd duński przeznaczył niewiele środków na militarne wzmocnienie Bornholmu, premier Mette Frederiksen od początku wojny w Ukrainie dwukrotnie odwiedziła wyspę, aby okazać mieszkańcom swoje wsparcie. Ostatni raz w październiku, kilka dni po ogłoszeniu przedterminowych wyborów (Bornholm wybiera dwóch ze 179 członków jednoizbowego Folketingu). Kopenhaga zapowiedziała zainwestowanie ok. 5,5 mld euro w celu zwiększenia możliwości swojej Marynarki Wojennej, ale głównym celem jest zwiększenie jej obecności w Arktyce, wokół wybrzeży Grenlandii. Od początku wojny rząd Frederiksen dyskutował również o możliwości stałego stacjonowania żołnierzy amerykańskich w Danii, choć wyraźnie zaznaczył, że nie będzie to na Bornholmie.

CIĄGŁE TARCIA NA LINII KOPENHAGA – MOSKWA

W ciągu ośmiu miesięcy wojny w Ukrainie rosyjski ambasador Barbin był kilkakrotnie wzywany na konsultacje przez rząd duński, zarówno za swoje groźne uwagi, jak i za różne naruszenia przestrzeni powietrznej i morskiej przez rosyjskie okręty i samoloty.

Tarcia między Danią a Rosją nie są niczym nowym. W 2014 r., kilka miesięcy po aneksji ukraińskiego Krymu, rosyjska armia zasymulowała zakrojony na szeroką skalę atak na Bornholm. A w następnym roku Kreml zagroził użyciem broni jądrowej przeciwko duńskim okrętom podwodnym – w reakcji na zadeklarowaną przez Kopenhagę chęć przystąpienia do systemu obrony przeciwrakietowej NATO. W maju ubiegłego roku Barbin wbrew duńskim władzom udał się na rosyjski cmentarz w Allinge, porcie na północnym Bornholmie, aby oddać hold radzieckim żołnierzom, którzy zginęli na wyspie – w większości ofiarom rozprzężenia w szeregach, jakie nastąpiło już po zwycięstwie nad Niemcami.

Burmistrz Trøst jest przekonany, że za kilka miesięcy w międzynarodowej prasie informacje o Bornholmie wrócą do działów zajmujących się nowymi projektami energetycznymi (wielkie farmy wiatrowe na morzu) lub turystyką.

Dania i Niemcy zgodziły się zainwestować 9 mld euro w budowę dwóch morskich farm wiatrowych u wybrzeży wyspy, które będą wytwarzać energię elektryczną zasilającą ponad 3 mln gospodarstw domowych na kontynencie.

Mimo to Trøst upiera się, że duńska obecność wojskowa na wyspie powinna zostać wzmocniona: „Bardzo niewiele osób jest przeciwnych, część z nich pewnie uważa, że lepiej nie zwracać na siebie uwagi Rosji. Ale Rosja i tak na nas z uwagą patrzy”. ●

LENA
LEADING
NEWSPAPER – ALLIANCE

Kłótnie o europejskie zbrojenia

Coraz chłodniej między Paryżem a Berlinem

Paryżowi coraz bardziej nie podoba się, że Berlin – w ramach szybkiego reformowania armii pod wpływem wojny Putina – preferuje „zakupy z półki” amerykańskiego sprzętu kosztem rozwoju europejskiego przemysłu. Kolejne wspólne projekty idą do kosza.

Pierre Avril, Véronique Guillermand

LE FIGARO

Tarcza przeciwrakietowa budowana pod przewodnictwem Niemiec z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi, ale bez Francji – czyli uruchomienie w połowie października projektu obrony powietrznej European Sky Shield – jest w oczach Paryża ostatnim z serii zawodów, a nawet afrontów, które zdaniem Pałacu Elizejskiego Francja musi znosić ze strony swojego głównego partnera w UE.

Siedem lat temu francuski koncern Thales i europejski producent rakiet MBDA zaczęły współpracować z Włochami nad systemem obrony przeciwrakietowej średniego zasięgu Mamba. Do projektu dołączył również niemiecki Rheinmetall, w ramach dodatkowego zamówienia z Singapuru. Od tego czasu Mamba została udoskonalona i właśnie została rozmieszczona w Rumunii w ramach zintegrowanego dowództwa NATO.

Pod koniec sierpnia kanclerz Olaf Scholz storpedował jednak tę inicjatywę, ogłaszając drugi konkurencyjny projekt obrony przeciwrakietowej, dwa miesiące po zaprezentowaniu przez niemiecką firmę Diehl swojej mobilnej wyrzutni ziemia-powietrze z zasięgiem 12 km.

W połowie października Berlin połączył siły z 14 państwami członkowskimi NATO, aby zbudować nowy system przy wsparciu amerykańskich patriotów i izraelskich Arrow 3. Omijając Paryż i Rzym.

„To jest właśnie przywództwo” – oznajmiła minister obrony Christine Lambrecht. Niemcy „zainicjowały” system obrony przeciwlotniczej i „zjednoczyły” innych partnerów w inspirowanym przez siebie projekcie – chwaliła się niemiecka szefowa resortu, zaprzeczając zarazem, że jej Berlin działa „sam”. „Żaden kraj nie nabywa w ramach takich projektów czegoś wyłącznie dla siebie. Przeciwnie, wspólnie opracowujemy strategię obronną” – mówiła Lambrecht.

NIEMCY UWAŻAJĄ, ŻE FRANCUZI CHCĄ JEDYNIIE CHRONIĆ WŁASNY PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY

To ewidentny dyplomatyczny przytyk do Francji, podejrzewanej w Berlinie o obronę przede wszystkim interesów własnego przemysłu zbrojeniowego.

Paryż z kolei obawia się możliwego wewnątrzunijnego „wyścigu zbrojeń” i wymienia listę innych dwustronnych sporów z sojusznikiem w Berlinie: w połowie marca Bundeswehra zamówiła w amerykańskiej firmie Lockheed Martin 35 myśliwców F-35, które mają zastąpić jej flotę przestarzałych Tornado, ale tym samym spychając wielozadaniowy samolot Eurofighter – w którego produkcji przez międzynarodowe konsorcjum Niemcy także uczestniczą – na margines.

Rok wcześniej Bundeswehra zamówiła u Boeinga pięć amerykańskich samolotów zwiadu morskiego Poseidon. W efekcie początkowy wspólny projekt MAWS (Maritime Airborne Warfare System), opracowany przez francuskiego Thalesa i niemieckiego Diehla, został praktycznie zarzucony.

Inny projekt, francusko-niemiecki czołg z udziałem francuskiego Nextera i Rheinmetallu, także jest zagrożony – bo w czerwcu firma z Düsseldorfu jednostronnie zaprezentowała własny model, Panthera KF-51. To samo doty-

żyło się niedawno francuskie źródło dyplomatyczne.

BUNDESTAG ODSYŁA DO KANCLERZA

W Bundestagu, który jest kluczowym graczem w kwestiach niemieckiej obronności, temat jest źródłem zakłopotania. „Eksperci od polityki obronnej w partii FDP [koalicjant SPD i Zielonych w obecnym rządzie] są zdania, że projekt przyszłego samolotu powinien być konsekwentnie realizowany” – powiedziała Marie-Agnès Strack-Zimmermann, przewodnicząca komisji obrony niemieckiego parlamentu. Ale co do szczegółów odsyła nas do urzędu kanclerskiego i ministerstwa obrony.

Niemiecką rezerwę można naturalnie tłumaczyć amerykańskim zainteresowaniem w zapewnianiu bezpieczeństwa tego kraju, zwłaszcza w czasie, gdy Joe Biden uznaje zaangażowanie USA w działania NATO za



FOT. LUDOVIC MARIN/AP

czy opóźniającego się programu modernizacji śmigłowców Tiger czy „artylerii przyszłości” (FICS), który został odłożony na okres po 2045 r.

Projekt przyszłego samolotu bojowego kolejnej generacji SCAF (Système de combat aérien futur), którego rozwój jest przedmiotem „sporu przemysłowego” między Dassault Aviation a Airbusem, jest najbardziej emblematyczny. Francuski producent samolotów, po wejściu Hiszpanii do grupy Airbus, nie chce stracić wpływów na rzecz strony niemieckiej w tym konsorcjum, szczególnie w zakresie rozwoju kontroli lotu, prawdziwego systemu nerwowego samolotu. W szczególności Dassault Aviation został początkowo wybrany przez Paryż i Berlin jako firma wiodąca w tym projekcie.

„Jeśli musimy ciągle dyskutować na każdym etapie programu, to się po prostu na to nie zgadzamy” – powiedział tego lata prezes Dassault Aviation Éric Trappier. W Paryżu obawy podsyca niedawne pokazanie przez Berlin planu ściślejszej współpracy z Hiszpanią.

„Często byliśmy świadkami sporów zbiorowych, ale za każdym razem udawało się je przezwyciężyć dzięki woli politycznej. Teraz trudno zrozumieć, dlaczego sprawy przeciągają się tak bardzo po stronie niemieckiej” – skar-

priorytet. Dotyczy to zakupu myśliwców F-35, które prawdopodobnie będą mogły przenosić głowice jądrowe, oraz poseidonów.

– W zamian za poparcie CDU dla projektu dozbrojenia o wartości 100 mld euro urzędnicy opozycyjnej chadecji otrzymali wpływowe stanowiska w ministerstwie obrony – zauważa Ronja Kempin z think tanku Stiftung Wissenschaft und Politik (SWP).

Bundeswehra, która przez dziesięciolecie była chronicznie niedoinwestowana, potrzebuje teraz – jak to ujmuje niemiecki inspektor generalny sił zbrojnych Eberhard Zorn – sprzętu „natychmiast gotowego do użycia”, nawet jeśli oznacza to rezygnację z projektów realizowanych we współpracy z Francją.

Berlin, który dokonał po 24 lutego i inwazji Rosji na Ukrainę kopernikańskiego zwrotu w swojej polityce i obecnie myśli o sformowaniu „najnowocześniejszej konwencjonalnej armii w Europie”, zamierza wpływać na instytucje europejskie, aby dochodzić swoich interesów – o czym otwarcie mówi minister Christine Lambrecht.

Istnieje jednak ryzyko, że zachwieje to pozycją Paryża w Europie, a Niemcy z pozycji najbliższego sojusznika przejdą do roli zwykłego rywala gospodarczego Francji. ●

• Piotr Trojan otrzymał nagrodę dla najlepszego aktora pierwszoplanowego w 2020 i 2022 r. Natomiast w 2021 r. – wyróżnienie podczas FPFF w Gdyni za swój debiut reżyserski „Synthol” (konkurs filmów krótkometrażowych) FOT. MAGDALENA MICHALAK

„Ty idź na księdza, to blisko mnie
będziesz i pannę będziesz miał”
– mówiła moja babcia Teresa

CIAŁO WRAŻLIWY

Z AKTOREM **PIOTREM TROJANEM**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Słyszę w pana języku śląski akcent.

– Nawet czasami pozwolę sobie użyć go w filmie. W Ameryce aktorzy mówią ze swoim akcentem, bo to jest fajne i oddaje ich charakter. Nie wiem, dlaczego u nas tak walczą o poprawność.

Kiedy miałem zdawać do szkoły teatralnej, przestrzegano mnie, bym uważał z tą naszą gadką. I każde pytanie musiałem intonować jak zdanie twierdzące. Czułem się jak robot: idziemy do kina. Masz ochotę na ciastko. Ale i tak się przed komisją zdradziłem, bo na koniec zapytałem po naszymu: a coś wam się nie podobało? Na co oni: nie, nie, wszystko w porządku. A pan z gór? Ja, z gór jestem.

Śmieszne, chociaż nie wiem, czy czytelnicy wiedzą, że „ja” znaczy tak.

– Poza tym nie jestem z gór, ale powiedziałem dla świętego spokoju, że jestem. Bo kiedy mówię znajomym, że pochodzę z Tarnowskich Gór, często słyszę: ale fajnie, przyjedziemy i pochodzimy po górach. A tam żadnych gór nie ma.

Drugi rok z rzędu zaciągający lekko Ślązak dostał nagrodę za najlepszą rolę męską na festiwalu filmowym w Gdyni.

– I nie stałem się z tego powodu lepszym aktorem, a ktoś, kto jej nie dostał, nie jest aktorem gorszym. Nie każdy miał tak dobry materiał do zagrania jak ja. Ja bym wolał, żeby nie było konkursów, tylko byśmy wspólnie oglądali filmy, a potem o nich rozmawiali.

Umie się pan w ogóle z niej cieszyć?

– Miałem w czasie gali wyłączony telefon, a kiedy go włączyłem, to zablokował się od wiadomości z gratulacjami. I to było miłe. Nagrody to za duże emocje, a ja wolę spokój. Poza tym nie dają gwarancji, że od tej pory będę miał pracę. Znam aktorów, któ-



rzy byli wybitni i przestali grać. Zresztą po za-graniu Tomka Komendy myślałem, że to była moja pierwsza i ostatnia rola.

Dlaczego?

– Tyle razy dostałem po dupie, że trudno mi było przypuszczać, że nagle coś się odmie-ni. Teraz jestem w fajnym momencie, ale gdyby zadzwoniła pani do mnie w lutym, to możliwe, że nie umiałbym z panią porozma-wiać. Byłem w złym stanie – i zawodowym, i psychicznym. Podejrzewam, że kiedy skoń-czą się spotkania z publicznością po projek-cjach „Johnny’ego” i minie trochę czasu, to znów, tak jak po „25 latach niewinności”, bę-dę odczuwał niepewność. Albo o pracę, al-bo o to, czy podołam roli. Sukces, który przy-szedł dość późno, bo przecież mam 36 lat, zaimpregnował mnie na myślenie, że teraz przede mną to już pasmo sukcesów.

Przecież jest pan na krzywej wznoszącej.

– Ale nie mam w sobie miejsca, by zrobić ko-lejną wielką rolę. Muszę się znów napelnić. Spotkaniami z ludźmi, książkami, doświad-czeniami. Włać w siebie to „coś”, z czego te-raz czuję się wyssany. Chcę uprawiać swój zawód do końca życia, dlatego nie muszę się spieszyć i fokusować na wielkiej roli, by ze-brać w dwa lata tysiące lajków na Instagram-ie, a potem zarabiać na reklamach.

Od kiedy potrafi się pan nie spieszyć?

– Moja babcia Teresa mawiała: człowiek my-słi, Pan Bóg kryśli, czyli nie ma co planować, bo i tak to się wszystko nie uda.

Od dziecka marzyłem, że będę akto-rem, ale nie było w tym marzeniu nerwo-wego realizowania planu. Babcia bardzo chciała zobaczyć mnie na ekranie, ale skar-żyła się, że nigdy nie może trafić, bo poja-wiam się na sekundę, a ona wtedy właśnie przysypia. Nawet rozciągała sobie powiekę, by wytrzymać, ale nie dawała rady. Mówi-łem jej: babcia, teraz będę grał długo, zoba-czysz, ale nie dożyła tej chwili. Nie mogłem się pospieszyć, chociaż wiedziałem, jakie to dla niej ważne. Nosila w torebce moje zdjęcie, duży format, B1, które pokazywa-ła z dumą swoim koleżankom. Mówiła im, że mieszkam w centrum Warszawy i mam mieszkanie, i choć prostowałem, że mieszk-am na Pradze w wynajętym mieszkaniu, to ona powtarzała swoje.

Babcia chciała, żeby pan był księdzem.

– Największym marzeniem mojej babci było, byśmy się dodzwonili do Radia Maryja i od-mówili na antenie różaniec, i żeby ludzie nas usłyszeli. Nigdy nam się nie udało. Możliwe, że myślała, że będę księdzem, ale poszedłem do szkoły salezjańskiej nie dlatego, że byłem wierzący, tylko dlatego, że była to najlep-sza szkoła humanistyczna w Tarnowskich Górach, w której pozwalano mi realizować swoje pasje. Miałem tam swój kabaret, gra-łem w szkolnym teatrze. Nie mam łaski wia-ry. Tak strasznie nie umiem uwierzyć, że jest jakieś życie po śmierci, choć pewnie gdybym wierzył, byłoby mi łatwiej. Mama mówi, że jej życiem wiecznym jestem my, jej dzie-ci. Do mnie trafiła pani z fizyki, która powie-działa, że nie da się unicestwić atomów, z ja-kich jesteśmy zbudowani, które po naszej śmierci będą się łączyć w nowe konfiguracje. I dlatego jesteśmy nieśmiertelni.

A jakie teologiczne prawdy zapamiętał pan ze szkoły?

– Przed lekcjami spotykaliśmy się wszyscy na modlitwie, a potem każdy z nas wygłaszał tak zwane słówko. Była to mądra myśl, któ-ra miała nam towarzyszyć przez cały dzień. Mogła to być przypowieść albo piosenka. Ja, zdaje się, czytałem „Kwiaty zła” Baudelaire’a, czego nie pamiętam. Przez sześć lat gimna-zjum i liceum nie zapamiętałem ani jednego słówka, ani jeden mądrej myśli. Może przez wczesną godzinę? Chociaż myślę, że stres-o-wało mnie tyle ludzi zgromadzonych w jed-nym pomieszczeniu. Musiałem odwracać myśli i koncentrowałem się na tym, kto jest jak ubrany. Spodnie dzwony wtedy wchodzi-ły i wszyscy kupowali sobie ten krzyk mody w hali targowej.

Chłopczyk z Tarnowskich Gór zamarzył o byciu aktorem. Pamięta go pan?

– Pewnie, że pamiętam. I gdybym teraz sie-bie zobaczył, tobym siebie przytulil i powie-dział: nie martw się, jesteś doskonały, jesteś super. I przed tobą to jest. Uda się.

Ma pan stop-klatkę z tamtego czasu?

– Kilka. Na festyn odpustowy w Nakle Ślą-skim, skąd pochodzi moja mama, zjeżdża-ła się cała rodzina. Wujkowie dawali nam ja-kieś grosze na misie i pistolety. Ja wydawa-łem je na słodycze, ale moi kuzyni kupowa-li broń. Pamiętam smak imbirowych cukier-ków w cukrze i zapach prochu.

Raz na loterii wygrałem grzańca. Mo-głem mieć z osiem lat. Schowałem pod łóż-kiem. To był mój pierwszy smak wina. Nie podgrzałem go, bo nie wiedziałem, że trze-ba, ale było słodziutkie. Pilem, patrzyłem na plakat Pinokia wiszący na ścianie i marzy-łem, że będę aktorem.

Druga?

– Leżę na tapczanie między śpiącymi rodzi-cami i oglądam „Kocham kino”. Po cichu, że-by ich nie budzić. Mam zeszyt i notuję. Po „Zet i dwa zera” Greenaway’a nie mogłem za-snąć, bo widziałem rozkładające się ciała. Wycinałem z gazet opisy tych filmów i uczy-łem się na pamięć.

I ostatnia.

– Sobota. W soboty na Śląsku wiesza się świeże firany, piecze ciasta. Sprzątam po-kój i słyszę w radiu, że zmarł Kazimierz Dej-mek. Nie wiedziałem dokładnie, kto to jest, ale świeżało mi, że ktoś istotny. A potem pra-cowałem w teatrze jego imienia.

Dlaczego ten chłopczyk marzył o tym za-wodzie?

– Miałem za dużo wrażliwości i nie umiałem jej wyrazić. Nie umiałem krzyknąć czy za-plakać. Intuicyjnie czułem, że aktorstwo po-może mi te emocje z siebie wyrzucić. Gra-liśmy w domu przedstawienia, na które „sprzedawałem” bilety z papieru toaletowe-go. Przebierałem kuzynów i braci i mówi-łem, co mają grać. Czułem, że mogę stwo-rzyć świat, a oni mogą weń wejść i zoba-czyć, co jest w środku. Odgrywaliśmy to, co się działo w kościele, „Opowieści z Narnii” i „Czarodziejki z Księżyca”. Z paczek od wuj-ka Karola z Niemiec mieliśmy żółte kale-sony, nakładaliśmy je na głowy, żeby się do nich upodobnić.

Był pan grubym chłopczykiem.

– Przez długi czas nie wiedziałem, że jestem gruby. Kiedy ktoś spytał mnie w szkole, czy zjadłem słonią, nie rozumiałem, o co mnie pyta. Kilka lat później kolega zapytał, czy kie-dy siedzę, nie duszą mnie moje fałdy tłuszczu, i dopiero wtedy, nieświadomy total-nie, jak zmienić swoje ciało, zacząłem popa-dać w kompleksy. Największym horrorem był WF, kiedy koledzy ściągali koszulki, albo sprinty, które oglądała cała szkoła, a ja ostat-ni, ledwo dyszący na mecie. To było poniża-jące. A potem błędne koło, bo zajaadałem lęki nieświadom, co robi ze mną jedzenie.

I kto pana oświecił?

– Mama. Strasznie chciałem pojechać na szkolny obóz siatkarski, ale też strasznie się wstydzilem zgłosić. Siedzieliśmy z mamą na balkonie, płakałem i opowiadałem jej o mo-im wstydzie. Mama powiedziała, bym poje-chał, bo nikt mi tam nic złego nie zrobi. Bę-dę z ludźmi, którzy mnie lubią i chcą spe-dzić ze mną wakacje. Wtedy wyjaśniła mi, że nie każde jedzenie jest zdrowe. I że zółty ser i słodycze mają wpływ na ciało. Kiedy po tych wakacjach wróciłem do szkoły, koledzy mnie nie poznawali.

Nie był pan sekowany?

– Nie wiem, bo nigdy nie wchodziłem w kon-flikty. Mam dwóch braci, którzy od zawsze o mnie dbali. Jestem wprawdzie środkowy, ale najmniejszy. I kiedyś Andrzej mnie py-ta, czy ma wpierdolić gościowi, który mnie przeżywa na ulicy. Poprosilem, by go nie bił. Unikałem konfrontacji. Jakiś czas temu na

Polu Mokotowskim pogryzł mnie pies. Je-go opiekunka przepraszała mnie i zarzekała się, że „ten pies nie gryzie”. Wtedy wyszło ze mnie to, co latami w sobie tłamsilem, i wy-krzyczałem do niej, że pies powinien być na smyczy lub w kagańcu. Wcześniejszy Piotrek powiedziałby: nic się nie stało, ale obecny na szczęście potrafi wyrzucać z siebie to, co czuje, i nie spycha siebie i swoich potrzeb na dalszy plan. Ale jestem po terapii i wiem, że bruksizm i napięcia w miednicy to są konse-kwencje moich stresów i duszenia emocji.

Gruby chłopczyk z wadą wymowy spełnia marzenie i zostaje aktorem.

– Nad wadą wymowy pracowałem u logo-pedy i byłem najstarszym uczestnikiem za-jęć w grupie. Przedszkolaki i ja, nastolatek. Zastanawiam się, czy moi bliscy napraw-dę wierzyli, że ja zostanę aktorem, ale pa-miętam krzyk mamy i braci, kiedy zadzwo-niłem do domu z wiadomością, że się dosta-łem do szkoły filmowej. Pies szczeka, oni się drą ze szczęścia, ja prawie płaczę. Potem na-gle się okazało, że trzeba na te studia wydać dużo pieniędzy, których do końca nie mamy. I wtedy Karol, który pracował w Anglii, wy-słał mi swoje pierwsze pieniądze. Nie wie-działem, że moja historia może być dla ko-goś drogowskazem, ale bardzo się wzruszy-łem, że dzieciakom z Tarnowskich Gór do-daje wiary, że marzenia można spełnić.

Skąd pan to wie?

– Robię dla nich warsztaty w miejskim ośrodku pomocy. Pracuję na ich wyobraź-ni, która jest przepastna. Rozmawiamy o ich strachach i lękach, i o lokalnych miejskich legendach. Nakręciliśmy wspólnie horror, w tym roku nagraliśmy słuchowisko radio-we, w przyszłym też coś wymyślimy. Ufają mi. Kiedy dziennikarka TVN zapytała, co im dają te warsztaty, odpowiedzieli, że uwierzy-

Największym horrorem w szkole był WF, kiedy koledzy ściągali koszulki, albo sprinty, które oglądała cała szkoła, a ja ostatni, ledwo dyszący na mecie

li, że skoro mnie się udało, to im też może się udać. Nawet mi do głowy nie przyszło, że ta-ki będzie efekt naszych spotkań.

Ale właściwie dlaczego pan chciał z ni-mi pracować?

– Żeby coś oddać miejscu, z którego wysze-dłem? Dać coś z siebie? Już w liceum od-czuwałem taką potrzebę. Byłem wolontariu-szem w schronisku dla zwierząt. Chodziłem wyczyścić boksy, wyprowadzić pieska, który się w boksie nie wypróżni, bo musi mieć czy-sto, zmielić karmę. W naszym domu zawsze była miłość. I zawsze były zwierzęta. A zwie-rzęta uczą odpowiedzialności, bo musisz się nimi zająć, a potem być przy nich, gdy umie-rają. To w końcu twoi przyjaciele. Korze, mojemu jamnikowi, zwierzałem się do ucha z największych sekretów. Po iluś latach mój brat Andrzej powiedział mi, że i on wygadał jej do ucha wszystkie swoje tajemnice.

Z umieraniem mierzył się pan, przygo-towując się do filmu „Johnny”. Patryk Galewski, którego pan gra, ucieka z hospicjum, w którym ma społecznie odpracować kilkaset godzin. Rozumie pan jego reakcję?

– Rozumiem, bo ja też uciekłem. Daniel Ja-roszek, reżyser, poprosił mnie, bym popra-cował w hospicjum. Bo wejść w sterylny, fil-mowy świat i nie zrozumieć, dlaczego Pa-tryk stamtąd uciekł. A jak nie rozumiem, to nie zagram. Byłem wolontariuszem m.in. w hospicjum w Wołominie. Zanim wsze-dłem do środka, długo siedziałem przed wej-ściem. Bałem się tego, co tam zobaczę, fi-

zjologii, umierania i tego, że ktoś mi powie, że ktoś mnie zapyta, czy umiera, a ja nie bę-dę wiedział, co mu odpowiedzieć i jak się za-chować. Pani, która się mną zajmowała, za-pewniła, że nikt mnie o swoje umieranie nie zapyta, bo w hospicjum jest życie. Bę-dzie pan pomagał, coś przenoślił, rozmawiał. I rzeczywiście. Siedzi się z tymi paniami i pa-nami, plotkuje, śmieje się, wychodzi na pa-pierosa. Wydawało mi się, że niektórzy trafili tam przez przypadek, jak matematyk, który rozwiązywał jakieś zadania, słuchał muzy-ki, czytał książki. Rozmawialiśmy i był total-nie sprawny intelektualnie. Ale okazało się, że poznałem go w ostatnim etapie jego życia.

To dlaczego pan uciekł?

– Bo zobaczyłem mężczyznę, który umie-rał. Wtedy tego nie wiedziałem, ale rozwa-lił mnie, bo w jego twarzy było przerażenie. Jadł jakąś niefajną kanapkę, białe pieczywo z dżemem, i to wstawał, to kładł się na łóżko. I trząśł się. Przestraszyłem się i musiałem wyjść na powietrze. Wróciłem po kilku mi-nutach, a on już nie żył.

Jakiś czas potem jechałem pociągami do Pucka i usłyszałem komunikat, że w jakimś przedziale potrzebny jest ciśnieniomierz. Wożę go zawsze ze sobą, więc zaniósłem go do konduktora. I widzę mężczyznę, któ-ry ma to samo spojrzenie, ten sam lęk. Wsta-je, siada, jest tak samo spokojny i rozedrgany. Nie wie, co się z nim dzieje. I umarł. Tego mężczyzny z hospicjum nie chciałem oglądać po śmierci, ale pani, co się mną zaj-mowała, przekonała, że powinienem. Pan będzie to grał, przekonywała. Wróciłem i pa-trząc na niego, odwracałem myśli w inną stronę i koncentrowałem się na tym, by nie zemdleć. Na planie doskonale wiedziałem, co mam zagrać. Powtórzyłem swój lęk.

Nie widział pan wcześniej umierają-cych ludzi?

– Na Śląsku odwiedzaliśmy zmarłego, któ-ry zgodnie z tradycją przez trzy dni leży w trumnie. Nawet robiono mu zdjęcie, co było ponad moje nerwy, ale już wtedy umia-łem ratunkowo odwracać myśli od sytuacji, w jakiej jestem naprawdę. Inaczej mdlał-bym, bo moje ciało potrafi się odciąć. Odwiedziłem też z mamą jej umierającą siostrę. Mama próbowała ją uspokajać. Nie martw się, spotkamy się jeszcze, wszystkich nas to czeka, na co ciocia ledwo słyszalnym głosem powiedziała: to zamień się teraz ze mną. Nie wiedzieliśmy z mamą, co się mó-wi w takich sytuacjach. I nie umiałem jej po-móc, kiedy zmarła babcia. Mam przed ocz-a-mi, jak siedzi w kuchni i płacze. Mała, bez-bronna dziewczynka, która straciła mamę... A ja stałem jak kolek. Nie umiałem rozma-wiać o śmierci.

Już pan potrafi?

– W „Johnny’m” pada zdanie, że najpiękniej-szym darem, jaki możemy dać drugiemu człowiekowi, jest czas. I gdyby teraz umie-rał ktoś, kogo kocham, powiedziałbym mu, że jak będzie dobrze, to będzie dobrze i zro-bimy imprezę, a jak nie, to będę przy tobie do końca. Po prostu. Po pokazach filmu pod-chodzą do mnie ludzie i zwierzają mi się z odejść swoich bliskich. Wczoraj była ro-dzina, rodzeństwo, ich brat odchodzi na gle-jaka. Pokazali mi jego zdjęcie. Płakali. Po-wiedzieli, że jestem pierwszą osobą, z którą o tym rozmawiają. I zapytali, co mają robić.

I co im pan powiedział?

– A co mogłem im powiedzieć? Przecież je-stem tylko aktorem. Mądry to jest Adam Bodnar, a ja tylko robię rolę. Nie mam z te-go powodu większej wiedzy i większego da-ru rozumienia innych. Mogę ich tylko wy-słuchać, podziękować im za to, że chcieli mi o czymś opowiedzieć, ale nic więcej nie mo-gę im dać. Nie jestem terapeutą.

Zostawia ich pan bez odpowiedzi? Nawet tej o dawaniu czasu?

– Ja nie mam dla nich odpowiedzi. Zadzwo-niłem do Anny Labudy, dyrektorki puckie-go hospicjum, poprosilem o pomoc w takich sytuacjach. Dała mi adres strony interneto-

wej, którą mam się dzielić, na której ludzie mogą szukać pomocy. Ale Patryk, ten prawdziwy, którego ja tylko gram, opowiadał mi, że ludzie dzwonią do niego i proszą, by pomógł im przejść przez umieranie ich bliskich. I on to robi, bo potrafi.

Kiedy rozmawialiśmy o tym chłopaku umierającym na glejaka, Asia, moja przyjaciółka, która stała obok, powiedziała: pozwólcie mu odejść, co chyba nie było dla tej rodzi-ny radą, jaką byli gotowi przyjąć. My rzeczywiście nie pozwalamy umrzeć tym, których kochamy. Ania Labuda opowiadała, że ludzie mają do niej pretensje o to, że przywo-żąc chorego do ośrodka, a on po kilku dniach umiera. Mówi im wtedy, że umarł, bo w koń-cu mógł sobie na to pozwolić. Bo nikt go nie zmuszał, by się męczył i był dla was, tyl-ko wreszcie był sam dla siebie i mógł spokoj-nie odejść.

Lubi pan te spotkania?

– Są piękne, wzruszające, ale też mnie du-żo emocji kosztują. Gdybym mógł, to sie-działbym w domu. Wydaje mi się, że dlate-go dostałem rolę w „25 latach niewinności”, bo sam mogłem nagrać selftepy. W domu, a nie iść na casting, gdzie byłem sto procent spięty, czując, że marnuję ich czas.

„Marnuję czyjś czas”?!

– Tak, bo mają dwudziestu innych do tej roli, również znanych aktorów, i oni wszyscy są na pewno ciekawsi niż ja.

Pan w siebie nie wierzył?

– W szkole nie słyszeliśmy zachwy-tych nad swoim tematem. Pani Monika Dzienisiewicz-Olbrychska mówiła, że jesteśmy z Justyną Wasilewską zwierzętami scenicznymi, ale to był jeden z nielicznych komplementów, ja-kie słyszałem. Raczej mówiono mi, że mam zły głos, źle stoję i źle się ruszam. Jak potem wejść na casting? Przecież ogląda mnie po-czątkujący, nazwijmy to, reżyser, również niepewny, który potrzebuje kogoś, kto mu całym sobą pokaże, że udźwignie mu rolę, dzięki czemu on będzie bezpieczny i zajmie się czymś innym. Strasznie wspominam te castingi. Pamiętam casting do reklamy ma-sła. Dramat. Siedziałem w samochodzie, wi-działem ludzi, którzy tam wchodzą, i wie-działem, że nie dam rady. Mieliśmy ze zna-jomymi imprezę i wszystkich okłamałem, że mi nie poszło, bo za mało twarzowy jestem dla tego masła.

Dlaczego ich pan okłamał?

– Wstydzilem się, że spanikowałem już na etapie wejścia. Wyobraziłem sobie, że sta-nę na tle białej ściany, a kamerzysta i reży-ser będą mnie oceniać. Będą mili i uprzejmi i powiedzą „bardzo dziękujemy”.

Bał się pan oceny?

– Bałem się. Ten strach potrafił mnie tak spa-raliżować, że nie wypowiadałem ani słowa. Tak bardzo chciałem być najlepszy, przecież od dziecka o tym marzyłem, że niewinne sformułowanie „dziękujemy panu” rozwala-ło mnie na trzy dni leżenia.

Baraków wytwórni filmów na ul. Chel-m-skiej przestałem się bać dopiero, gdy zaczą-łem chodzić do szkoły mistrzostwa filmowe-go Andrzeja Wajdy. Dziś jestem zapraszany na castingi pod konkretne role, dostaję cały scenariusz, casting trwa z półtorej godziny. Wiem, że mój głos czy wygląd nie są idealne, ale bliskie człowiekowi trzydziestokilkuletniemu, który może się z moim wizerunkiem utożsamić. Nie muszę udawać kogoś, kim nie jestem, kłamać czy przebierać się. Kiedyś na castingi wkładałem fajne ubrania – teraz tego nie robię. Wiem, że jestem dobry i nie muszę być najlepszy.

Był w panu strach, że jest „nie dość”?

– Dokładnie.

I do szkoły Wajdy poszedł pan, bo nie chciał być „nie dość dobrym aktorem”?

– Tak. Skoro odpadałem z tych castingów, czasem na ostatnim etapie, to uwierzyłem, że się nadaję. Kiedy po imprezie wszy-scy ci mówią, że jesteś pijany, to z pewnością

jesteś pijany, więc jak ja słyszałem „nie”, to znaczy, że nie, przestań się oszukiwać.

Przecież był pan nagradzanym aktorem teatralnym.

– Mnie teatr bardzo frustrował – od pierw-szych zderzeń z Teatrem Dramatycznym w Warszawie, nocowaniu w Łoży Stalina, ży-wieniu się w pizzerii, żeby przeżyć, na zasa-dzie płacisz raz i nakładasz, ile chcesz, przez nędną wypłatę dwóch tysięcy złotych, któ-ra nie pozwalała mi się utrzymać, aż po roz-goryczenie, że spektakl, nad którym pracu-ję przez dwa miesiące, jest grany kilka razy. Nie stać mnie na teatr. Mam 36 lat i nie mo-gę się tak bać o pieniądzu. Oprócz pracy jest jeszcze życie. I dlatego zrezygnowałem z te-atru i poszedłem na reżyserię do szkoły Waj-dy, by zawalczyć w Studiu Munka o dofinan-sowanie na krótki metraż.

Chciał pan zająć się reżyserią?

– Najbardziej chciałem pisać teksty. Przestać być ocenianym. Móc być sobą. Pomyślałem, że będę pisał w domu, w którym się czuję

Nie stać mnie na teatr. Mam 36 lat i nie mogę się tak bać o pieniądzu.

Oprócz pracy jest jeszcze życie.

I dlatego zrezygnowałem z teatru

bezpieczny, nie konfrontując się codziennie z ludźmi, z widownią. Uważam, że mam do-bry słuch do dialogów. Łapałem humor i ję-zyk. Jeśli masz prostego bohatera, to on nie musi mówić zdaniem złożonym i może na przykład zaciągać.

Jak bohater „Syntholu”, wyreżysero-wanego przez pana krótkiego metrażu, w którym pan gra główną rolę.

– Chciałem nakręcić film o marzeniu. Wzru-szam się, kiedy ludzie marzą o, wydawałoby się, niemożliwym.

Dla mnie to film o samotności i trudności w definiowaniu męskości.

– Eryk jest po trzydziestce, żyje z matką i marzy, że zrobi karierę w kulturystyce. Jeż-dziłem na zawody kulturystyczne rozma-wiać z tymi chłopakami. W necie znalazłem vlogi, w których wypowiadają się na każdy temat, na zasadzie „nie znam się, ale się wy-powiem”. I wiedzą, co zrobić, kiedy rzuci cię dziewczyna, jaki kupić samochód, jaki dom i jaki wziąć kredyt. Spotkałem się z niektóry-mi i zobaczyłem bardzo niepewnych siebie, zakompleksionych chłopaków. Sądzę, że pięknie wyrzeźbione ciało pomagało im się ukryć. Chciałem poznać, co jest w głowie fa-cetów, którzy oddają swoje ciało jakiejś idei piękna. Ciało, które wygląda na zewnątrz pięknie, ale po suplementach, jakie w siebie pakują, jego organy są zużyte i stare.

Wystartował pan w zawodach kultury-stycznych. Nie czuł pan obciachu?

– Rano producentka powiedziała mi, że wy-gładam tak, jakbym zaraz miał dostać zawa-łu. Przed wejściem na scenę myślałem: „Tro-jan, co ty sobie robisz, ośmieszasz się”. Nie wiem, czy pani zauważyła, ale całe zawody mają wycięty dźwięk, ponieważ kiedy wy-szedłem na scenę, Iwona Bielska, która gra moją mamę, i publiczność tak straszliwie się śmieją, że nie można było tego materia-łu wykorzystać i musieliśmy zbudować na nowo cały dźwięk. Pokażę pani, to jest mo-ja nagroda.

Z cytatem z JP2?

– Tak. „Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, nie przez to, kim jest, nie przez to, co ma, lecz przez to, czym się dzieli”. Mię-śniak stoi obok nagrody z Gdyni, bo zająłem siódme miejsce i musieli mi coś dać.

Przypomnę, że było to miejsce ostatnie.

– Zawsze ktoś jest ostatni. Wybraliśmy kon-kurs debiutów, żeby mnie już całkowicie nie ośmieszyć. Tacy jak ja też się na tych zawo-dach pojawiają.

Kiedy pan słyszał reakcję widowni, to pan się wstydził czy powstrzymywał śmiech?

– Śmiać mi się nie chciało, ciśnienie miałem ze 180. Można było tę scenę zainscenizować i wyszłoby równie fajnie, ale ja naprawdę chciałem zobaczyć na twarzy mojego boha-tera upadek. Jego relacja z mamą jest tragi-komiczna. Jej rady, jak postępować z dziew-czyną, prowadzą do rozstania, ale chyba idzie jej o to, by syn nie miał dziewczyny: „Ty idź na księdza, to blisko mnie będziesz i pan-nę będziesz miał, i sobie poćwiczysz”.

To są prawdziwe teksty mojej babci Tere-sy, która miała realistyczne podejście do ce-libatu. Wiedziała, jak wygląda w praktyce. Po studiach zaprosiłem ją do Warszawy i na-grywałem, co opowiada. Uwielbiałem jej dy-stans do życia. Tyle już przeżyła, że wiedziała, że naprawdę nie ma znaczenia to, czym się ja się akurat przejmuję i stresuję. Kiedy do niej

przyjeżdżałem, mówiła, bym zgolił jej wusa i zrobił zdjęcie na nagrobek. Bo nie chce mieć jak buldog papłoków, tylko fajne, ładne zdję-cie. I nie „jak one wszystkie – w trwałej”. Więc robiłem babci mnóstwo zdjęć do trumny, jak to ona mówiła. Mam w komórcie. I wie pani co? Stoimy niedawno z mamą nad jej nagrob-kiem i patrzymy na to jej zdjęcie, a ono jest standardowe, takie, jak wszyscy mają.

Musi pan zmienić!

– Może rzeczywiście.

Powiedział pan, że gra intuicyjnie: „puszczam się i wierzę, że to, co przeżyłem, da radę przed kamerą”. A zatem pan musi najpierw przeżyć, by potem móc zagrać?

– Odkąd uważam, że uprawiam aktorstwo na w miarę dobrym poziomie, traktuję je jak jazzowanie. Znasz nuty, wiesz, o co cho-dzi, ale zapominasz wszystko na scenie. I te nieuchwytnie momenty, które rodzą się mię-dzy muzykami, są najlepsze. Przed ujęciem mam adrenaliny, odpalają kamerę i coś się wydarza. Wiadomo, że nie zawsze tak idzie, bo zdarzają się błędy kamery, oświetlenia, dźwięku czy ustawień. Nie zakładałem, że mo-ja postać ruszy się tak albo inaczej, albo na jej twarzy pojawi się w odpowiednim mo-mencie jakiś grymas. Mnie takie aktorstwo w ogóle nie interesuje, bo nie mam w nim żadnej radości. Radość mam wtedy, gdy ktoś pyta „a jak ty to zrobiłeś?”, a ja nie wiem jak.

Jak na takich emocjach powtórzyć scenę?

– Janek Holoubek, reżyser „25 lat niewin-ności”, powiedział mi, że jestem aktorem pierwszego, drugiego dubla. Czwarty raz to mi się już rzeczywiście nie chce, odtwarzam, a nie przeżywam, co jest w moim przypadku niedobre, bo sztuczne.

Kiedy osiem miesięcy po kręceniu „John-ny’ego” nagrywaliśmy postsynchrony, nie umiałem już mówić jak mój bohater. Na pla-nie moje ciało i wrażliwość były nastrojo-nym do grania instrumentem, ale w studiu byłem już w innych emocjach. Potrzebowa-łem dużo czasu, by wejść w to z powrotem.

Dochodzi pan do postaci przez ciało?

– Nazwałbym moją metodę ciałowrażliwo-ścią. Filtruję przez ciało emocje, jakie mam w sobie – lęk, miłość, strach i agresję, pod-kręcam je i patrzę, jak ono na nie reaguje.

Pracując nad rolą Tomka Komendy, du-żo myślałem o tym, co bym czuł, gdyby ktoś potraktował tak brutalnie moich braci. Ro-

sło we mnie napięcie i potrafiłem się dopro-wadzić do takiego stanu, że po nakręceniu niektórych ujęć musiałem prosić o ibuprom, zamknąć się w swoim pokoju i do nikogo nie odzywać. Musiało ze mnie zejść. Agata Ku-lesza, która grała matkę Tomka, mówi, by traktować aktorstwo jak zabawę w piaskow-nicy. Dzieci bawią się w króla albo w mor-dercę i są w tym na sto procent, ale kiedy mama zawała na obiad, ich emocje natych-miast się zmieniają. To jest nauka dobrego i szybkiego wyjścia z postaci. I pracuję nad tym, by schodziło ze mnie jak najszybciej.

Przy „Johnnym” z kolei myślałem o mo-ich wszystkich bliskich, którzy odeszli. Wspominałem, jak się z nimi żegnałem, i analizowałem, co mi się wtedy uruchamia w ciele. W jaki sposób drży mi warga, jak pracują oczy, jak spinają mięśnie. Na planie uruchomiła mi się pamięć reakcji ciała.

No i nie jest pan tak chudy jak w filmach.

– Do roli Tomka i Patryka musiałem schud-nąć. Dawid Ogrodnik, który gra księdza Kaczkowskiego, musiał z kolei przytyć i zja-dał kilkanaście pączków dziennie, czego mu zazdrościłem, bo byłem na restrykcyjnej die-cie. Jadłem proste jedzenie z pudełek. Ta-ka dieta garstkowa. Garść białka, garść wa-rzyw, garść węglowodanów i tak pięć razy dziennie.

Jak się gra żyjących ludzi?

– Nie pofolgujesz z wyobraźnią, bo możesz kogoś zranić. Miałem z tyłu głowy włączo-ną kontrolkę, bym uważał, bo to, co za-gram, zobaczy mój bohater. Nie poradził-bym sobie psychicznie ze sobą, gdybym któregoś z nich skrzywdził. Dużo rozma-wialiśmy z reżyserem o tym, jak przedsta-wić dom Patryka, by pokazać prawdę i go nie zranić. Miałem z tą sceną problem.

Krzywdą byłoby odarcie z intymności?

– Nie. Gdybym udratyzował, przekłamał ich życie po to tylko, by w filmie lepiej to gra-ło. A zawsze korci, by zrobić coś bardziej hardkorowo. Nie mógłbym potem spojrzeć w twarz ani sobie, ani Patrykowi, ani Tom-kowi. Tomka nie pytałem o jego przeżycia. Intuicja mi podpowiadała: nie rób tego, pytaj o wszystko, tylko nie o doświadczenia wię-zienne, bo się wszyscy rozsypiemy. To jest za ciężkie, za świeże, nie ruszaj tego.

Podpatrywałem, w jaki sposób Tomek do mnie mówi, jak reaguje, jak pali papiero-sy, jak żartuje. Kiedy przyjechał na plan po-patrzeć na scenę, w której policjanci skuwa-ją go i zabierają z mieszkania, byłem jakby sparaliżowany. Krępowало mnie, że patrzy na mnie i przeżywa to raz jeszcze. Bracia Tomka patrzyli na podgląd i mówili, że ma-ją w sobie tyle niewyrażonej złości, że muszą sobie powtarzać, że to, co widzą, jest fikcją, by nie rzucić się na aktorów. Tomka sprawa jest zamknięta, ale policjanci, którzy go wro-bili, nadal nie zostali ukarani.

Spotyka się pan z nim?

– Widzieliśmy się po premierze we Wrocła-wiu. Poszliśmy na piwo i zobaczyłem, jak mu jest ciężko przejść niezauważonym. Lu-dzie go zaczepiali i, życząc powodzenia, przypominali mu jego straszną przeszłość, o której on chciałby zapomnieć, napić się w spokoju piwa i porozmawiać.

Czy traumy pana bohaterów wieniczy happy end?

– Na ekranie na pewno.

Wierzy pan w szczęśliwe odmiany losu?

– Poznałem chłopaków, którym pomógł ks. Kaczkowski. Nie tylko Patryka, ale też innych gości, z bogatą przeszłością. Jeden z nich jest księdzem.

A więc nie wierzę, a wiem, że takie prze-miany są możliwe. Ważne jest przesłanie te-go filmu. Niestety człowiek znów wpada w wir życia, goni i zapomina, że najważniej-si są bliscy i czas, jaki z nimi spędzamy. Wi-dzę po swojej rodzinie, jak dobrze nam robi wspólne bycie ze sobą. Ale tydzień, dwa i już o tym nie pamiętam. Mama dzwoni, a ja nie mam czasu odebrać. ●

Adam Michnik poleca. **Wracają „Historie” Wiktora Woroszylskiego**

HISTORIA, CZYLI DZISIAJ

Ta niesłusznie zapomniana książka dostaje właśnie drugie życie.

Joanna Szczęsna

Wznowiony właśnie po 35 latach od pierwszego wydania zbiór opowiadań Wiktora Woroszylskiego „Historie” to jedno z tych wspaniałych dzieł, które przez zawirowania Historii, tej przez duże H, nie trafiły w swój czas i skazane zostały na zapomnienie. Tak, świadomie użyłam słowa „dzieło” w stosunku do cieniutkiej książeczki w niewielkim formacie, zawierającej 22 miniatury, z których zdecydowana większość zamyka się w dwu do czterech stroniczek, a najobszerniejsza liczy sobie niespełna siedem.

„Historie” to trzeci – po „Okrutnej gwieździe” i „Dialogu o gryzieniu” – tomik opowiadań Woroszylskiego. Poza tym ma on w swoim prozatorskim dorobku:

- dwie powieści z pogranicza faktów i fikcji: niby-biograficzne „Sny pod śniegiem” i autobiograficzną „Literaturę”;
- cieszące się zasłużoną renomą biografie rosyjskich poetów: Aleksandra Puszkina, Włodzimierza Majakowskiego i Siergieja Jesienina (wraz z Elwirą Watałą);
- błyskotliwą przeróbkę „Don Kichota” Cervantesa na wersję dla młodzieży;
- kilka książek przygodowych, popularnych wśród nastolatków i wielokrotnie wznawianych w latach 60. i 70. zeszłego wieku (dwie z nich, „I ty zostaniesz Indianinem” oraz „Mniejszy szuka Dużego”, zostały nawet sfilmowane).

Woroszylski bywał też publicystą, a nawet reporterem, przez wiele lat pisywał felietony dla miesięcznika „Więź”, a z czasem się okazało, że był również sumiennym diarystą swojej epoki.

Mimo wszystko nie uważał się za prozaika. Czuł się poetą (i może jeszcze tłumaczem poezji). Nawet wtedy, kiedy pisał prozą.

Z Wiktoorem Woroszylskim (rocznik 1927) przyjaźniłam się przez ćwierć wieku i byłam jego wierną czytelniczką. Dziś zdarza mi się, że nie pamiętam, co było pierwsze: czy najpierw on coś mi opowiadał, a potem znajdowałam ten wątek w jakimś jego opowiadaniu lub wierszu, czy przeciwnie: moja lektura poprzedzała opowieść Witka.

Jesienią 1995 r., kiedy był już bardzo chory, odbyłam z nim serię rozmów, które pod tytułem „Ja w Rosji, Rosja we mnie” opublikowała „Gazeta Świąteczna” na kilka zaledwie miesięcy przed jego śmiercią. Rozmawialiśmy głównie o wątkach rosyj-



• Wiktor Woroszylski na kiermaszu książki, Warszawa, maj 1964

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

skich w jego życiu i twórczości, bo tylko o tym gotów był rozmawiać. Nie o niemieckiej okupacji w Grodnie, gdzie po ucieczce z getta ukrywał się „po aryjskiej stronie”, nie o jego partyjnym zaangażowaniu, nie o przemianie i odchodzeniu od komunizmu, nie o uczestnictwie w opozycji demokratycznej lat 70. i 80.

– Nigdy nie byłem prawdziwym prozaikiem – wyznał mi wtedy przy okazji pytań o jego pierwszą powieść, „Sny pod śniegiem”, napisaną w formie przedśmiertnej spowiedzi Michaiła Sałtykowa-Szczedriny, klasyka XIX-wiecznej literatury rosyjskiej. – I nie stałem się nim także w tej książce.

Na początku planowałem ją jako opowiadanie, aż raptem zobaczyłem, że ono mi się rozrasta w powieść. Więc zacząłem szukać różnych źródeł dotyczących Szczedriny, sprowadzać materiały z rosyjskich archiwów. Jednak cała ta sytuacja, w której narratorem jest umierający pisarz opowiadający swoje życie i rozliczający się z doświadczeniem całego swego pokolenia, jest wymyślona. Można to nazwać literacką fikcją, ale mocno osadzoną w faktach, realiach biograficznych i realiach epoki.

Kiedy zaczął pisać „Sny pod śniegiem”, miał niewiele ponad 30 lat, a tak utożsamiał się ze Szczedrinem, że mówili jakby jednym głosem, zaś w przejmującym monologu umierającego nie słychać ani jednej fałszywej nuty.

– Rzec nie polegała na tym, że ja, męczczyzna w sile wieku, siadając do pisania, wcieliłem się w starszego od siebie o 30 lat Szczedriny – tłumaczył mi. – Ja się w niego wcielałem w miarę pisania i on jak gdyby zapanował nade mną, zawładnął mną do tego stopnia, że już w połowie książki czułem się starym, schorowanym, zbołałym, stojącym nad grobem człowiekiem. Właściwie to nie ja się w niego wcieliłem, tylko on wcielił się we mnie. Również dlatego, że ja pisałem tę książkę jako wiersz czy poemat, oczywiście bardzo specyficzny. Bo gdy się pisze poezję, chociażby się ona potem zamieniła w powieść, to oczywiście jest się podmiotem lirycznym/bohaterem wiersza.

Wiktor opowiadał mi, że przygotowując się do tej książki, odkrył dla siebie na nowo wielkość pisarstwa Szczedriny i zobaczył w jego dziełach – zwłaszcza w historii miasteczka Głupowa – nie tylko metaforę rosyjskiej tyranii, ale też metaforę losów pisarza, nieważne z jakiego kraju i epoki, który z braku wolności dusi się w swojej ojczyźnie. Zarzekał się jednak, że absolutnie nie chciał pisać kostiumowej opowieści, w której doszukiwano by się aluzji do ówczesnej, gomulowskiej Polski. Choć, oczywiście, takie porównania nasuwały się same.

Zostawmy jednak tę brawurową powieść dziejącą się w Rosji i wróćmy do „Historii”, których akcja – przynajmniej formalnie – nigdy nie rozgrywa się w Polsce.

Kiedy czytałam „Historie” przed laty, a był to czas schyłkowego PRL-u, często miałam wrażenie, że to opowiadania o tym, co dzieje się „tu i teraz”, w Polsce, a fakt, że autor przeniósł wszystko w odległe czasy i miejsca, nie ma większego znaczenia.

O dziwo i dziś, kilka dekad później, odnajduję w „Historiach” zaskakującą aktualność. Zachowały moc i nadal przemawiają do mnie, choć świat pogalopował do przodu. Może dlatego, że niby wszystko się zmieniło, a jakby pozostało takie samo?

Przecież w tym całkiem nowym, cyfrowym świecie, w jakim żyjemy, wciąż nieźle się mają analogowi tyrani, którzy lubią sobie przekupić buntujących się pisarzy, wciąż gdzieś płoną stosy książek i układane są indeksy zakazanych lektur, wciąż uciekinierzy z ogarniętej wojną ojczyzny popełniają samobójstwa w obskurnych hotelowych pokojach czy raczej w ośrodkach dla uchodźców, a tajne policje nadal wydeptują ślady pod pomniki przyszłych bohaterów, choć pewnie dzisiaj raczej zdają się na Pegasusa.

Może więc siła tych opowiadań tkwi w tym, że tak blisko im do przypowieści? Że ich przesłanie układa nam się w parabolę ludzkiego losu pod każdą szerokością geograficzną? Że autor sięga aż do źródeł naszej judeo-chrześcijańskiej kultury i Biblii, by pokazać powtarzalność pewnych ról, które ludzkość odgrywa wciąż na nowo, tyle że w zmieniających się dekoracjach?

Uniwersalizm „Historii” pozwala interpretować je na różne sposoby. Opowiadanie „Brat Diego i brat Sebastian” autor zlokalizował w Paragwaju w XVII stuleciu. Dwaj młodzi, zaprzyjaźnieni zakonnicy, jezuici, zostali tam nominowani na dwa wakujące stanowiska: jeden na szefa aprowizacji zakonnego państwa, drugi – na szefa jego wymiaru sprawiedliwości. Wybór ten był dość przypadkowy, obaj bowiem kandydaci mieli stosowne wykształcenie i wykazywali wielką gorliwość, by służyć zakonowi. Dekadę później przyszła klęska głodu i brat od sprawiedliwości skazał na śmierć brata od aprowizacji, czyniąc go osobiście odpowiedzialnym za katastrofę.

Otóż ja uważałam zawsze to opowiadanie za metaforę Polski z czasów stalinowskich, gdzie z partyjnej nominacji jeden z braci Goldbergów został rzucony na odcinek kultury (Jerzy Borejsza) i założył wydawnictwo Czytelnik, istniejące po dziś dzień, drugi zaś (Józef Różański) oddelegowany został na front walki z wrogiem klasowym, gdzie okazał się okrutnikiem i sadystą torturującym więźniów politycznych. Za swoje zbrodnie spędził kilka lat w więzieniu, ale nim go aresztowano, pełnił kierownicze funkcje w radiu i w wydawnictwie. Co oznacza, że partia równie dobrze mogła przydzielić mu inną rolę.

Nie wiem, czy moja interpretacja ma jakieś podstawy czy odniesienia do realu. Nigdy nie rozmawiałam o tym z Wiktoorem, ale Adam Michnik uważa, że to opowiadanie zainspirowane zostało głośną w latach 60. aferą mięsną, w której głównego oskarżonego skazano na śmierć. Mniej więcej pod podobnymi zarzutami i w podobnej atmosferze co brata Sebastiana.

Wdatowanym na luty 1983 r. wstępie do pierwszego wydania „Historii” Woroszyński tak przedstawiał swoją książkę:

„Moje małe historie pochodzą z Historii, odległej i bliskiej, ale stopień ich zależności od źródeł jest niejednakowy: niektóre, powtarzając to, co odnotowano gdzie indziej, legitymują się jedynie odmiennym sposobem opowiadania i własną refleksją, inne posuwają się nieco dalej w domysły i rekonstrukcji faktów. Dotyczy to również »historyczności« poszczególnych postaci – są wśród nich i takie, które obdarzył nią dopiero autor, umieszczając jednak w zaświadczeniach przez źródła sytuacjach. Historie spisywałem w różnych latach. Układ książki nie odtwarza jej powstawania”.

Na stronie redakcyjnej widnieje informacja, że druk ukończono w sierpniu 1987 r., a nakład wynosi 10 tys. egzemplarzy. Co z tego jednak, skoro książka pojawiła się w księgarniach dopiero w początku 1988, i to w ilościach aptekarskich.

– Rok 1988 jest dla moich „Historii” jakoś nielaskawy – westchnął Wiktor, wpisując mi dedykację (z datą 6 maja 1988), narzekając przy tym, że musiał upominać się w wydawnictwie nie tylko o możliwość kupienia dodatkowych egzemplarzy, ale nawet o należne mu gratisy.

„O roku ów. Kto ciebie widział w naszym kraju!” – chciałoby się wykrzyknąć. Rok 1988, ostatni pełny rok istnienia PRL-u. Przez kraj przetoczyły się wówczas dwie potężne fale strajków, jedna w maju, a druga w sierpniu, komunistyczna władza zaczęła słabnąć, a opór społeczny i ruch opozycyjny stawały się coraz potężniejsze, polityczne wahadło zaś wychylało się raz w jedną stronę (negocjacje z podziemną „Solidarnością” plus zbliżający się Okrągły Stół), raz w drugą (rozwiązanie siłowe ze strony władzy). Historia w naszej części Europy zerwała się z łańcucha i wskoczyła na całkiem nowe tory.

A gdzie podziały się „Historie” Woroszyńskiego? Autor podejrzał, że ugrzęzły gdzieś w zakamarkach Składnicy Księgarskiej, to jest w ówczesnej hurtowni, by w końcu, wraz z wieloma innymi tytułami wydrukowanymi w tym czasie, kiedy w Polsce działa się Wielka Historia i zmieniła się ustrój, najwyczajniej iść na przeział.

Tak czy inaczej, „Historie” nie weszły do literackiego obiegu (nie wymienia ich nawet Wikipedia w bibliografii Woroszyńskiego). Czasem wydaje mi się, że ich urzeczonymi czytelnikami stali się niemal wyłącznie znajomi i przyjaciele autora. Stanowiły elitarny klub ich fanów.

Dziś raduję się, że ta niesłusznie zapomniana książka dostaje właśnie drugie życie.

Historię mają „Historie” skądinąd długą i burzliwą.

Pierwszy konspekt powstał na początku 1966 r., a dwa lata później były gotowe do druku. Jednak przyszedł Marzec '68 i wydawca zerwał umowę.

Woroszyński zamierzył „Historie” jako swego rodzaju dwugłos: prozaika i poety. Miały więc tam być również wiersze. Chciał wskazać, że jego poezja i proza czerpią inspirację i energię z tego samego źródła. Jednak kiedy cenzura zniweczyła ten projekt, zdecydował się oddzielić wiersze od opowiadań. „Dwa rodzaje literackie – dwa toczące ze sobą dyskurs głosy autora – zaczęły od tamtego momentu żyć osobnym życiem” – wspominał ze smutkiem.

W sercu jednak Wiktor wciąż nosił pierwotny plan: chciał scalić opowiadania z wierszami, tak jak to sobie kiedyś obmyślił. Zasiadł nad tym w październiku 1995 r., w ostatniej jesieni swego życia. Ale projekt nie doszedł do skutku. Zdążył jednak napisać wstęp, w którym tłumaczy, że opowiadania z „Historii” korespondują i dialogują z wierszami z tomików „Zagłada gatunków” i „Po zagładzie”, złasz-

cza z tymi „fabularnymi” czy „kostiumowymi”, jak je nazywa. A rozdzielanie wierszy i opowiadań nazwał tam mocnym słowem „rozdarcie!”.

Chciałabym osiąść taką umiejętność jak opisywanie dialogów wierszy z opowiadaniem. Ale obawiam się, że to zbyt trudne dla mnie wyzwanie. Oddaję więc głos samemu autorowi.

W opowiadaniu z czasów rewolucji francuskiej „Spór o rzeźnika Legendre’a” opisał on losy żarliwego jakobina, zwolennika „Wielkiej Destrukcyj, z której miał się wyłonić świat szczęśliwych i równych obywateli”. Później jednak „zgnębiony krwawym doświadczeniem historii” postanowił odpokutować winy i czynić dobro. I „z tą samą namietnością, z jaką niegdyś żądał głów i krwi arystokratów, zaczął peregrynować od więzienia do więzienia, by – ja-

ko nie zawsze chciał, by jego bohaterowie zostali rozpoznani.

Kiedy pytałam go o rosyjskie tropy w jego twórczości, przyznał, że niektóre z nich zostały w „Historiach” zakamuflowane.

I tak opowieść o kuszeniu poety, by zawarł tajny pakt z władzą, „Juan Gonzalo”, umiescowaiona została w Hiszpanii gen. Franco. W istocie bohaterem opowiadania jest Josif Brodski, pozbawiony w 1972 r. obywatelstwa i wydany na ZSRR.

Wtedy też dowiedziałam się od Wiktora, że bohaterką opowiadania „Na etapie” (z wcześniejszego tomiku „Okrutna gwiazda”) jest Rosjanka Anna Bierzin, wdowa po zamordowanym w czasie Wielkiej Czystki polskim pisarzu Brunonie Jasieńskim, którą aresztowano wkrótce po mężu.

Woroszyński poznał Annę w Moskwie w 1955 r. On kończył właśnie swój czteroletni pobyt w ZSRR, ona właśnie wróci-

Był sobie w ZSRR krytyk literacki gotowy potępiać kolegów na każde zawołanie partii. A kiedy umarł, okazało się, że w piwnicy zgromadził całą nieprawomyślną poezję i prozę XX wieku

ko członek Komitetu Bezpieczeństwa – kasować wyroki ludzi skazanych przez rewolucję”.

Mogło by się здаwać, że w swoim drugim żywocie Legendre stał się kimś zupełnie innym – pisał Woroszyński, by za chwilę dodać: „To nieściele – był niezmiennie tym samym co w poprzednim wcieleniu i dlatego tylko mógł zostać całkiem nowym człowiekiem”.

Kilka lat później w tomiku „Po zagładzie” pojawił się wiersz „Upór Marcina Lutra”, z którego cytuję kluczowy fragment:

„Czy pisma swoje za swoje uznaję/
I czym odwołać je gotów skruszony/
Mądrzy Panowie Co moje to moje/
Grube paluchy i podbródek ciężki/
To ciało faska piwa i sumienie/
W którym uwila wiara moja gniazdo/
Pisma też moje Palców nie odwołam/
Podbródka przyrodożenia się nie wypre/
Brzuch brzuchem będzie Sumienie sumieniem/
Mądrzy Panowie”.

Kiedys Wiktor powiedział mi, że najbardziej odsłonił się w swoich wierszach. „Upór Marcina Lutra” jest tego przykładem. Znajdujemy tu wyznanie, którego Woroszyński nie był w stanie poczynić ani prywatnie, ani tym bardziej publicznie.

A jednak potrafił się wcielić w Marcina Lutra. Podobnie jak w rzeźnika Legendre’a. Bo potrafił zobaczyć w nich siebie.

Gorącym źródłem jego twórczości były nie tylko jego osobiste doświadczenia, ale też wyznania, jakie czynili mu inni. Potrafił słuchać, ludzie do niego lgnęli, opowiadali mu swoje historie i traumy, nie wstydziły się okazywać przy nim bólu czy rozpacz, powierzali mu swoje tajemnice i sekrety. Wiem to, bo czytałam pełną wersję jego dzienników. Czasem jakieś zapisy z nich przechodziły do autobiograficznej „Literatury”, do opowiadań, do wierszy. Wiktor przetwarzał je, zacierając ślady. Głównie z dyskrej-

ła do Moskwy po 17 latach łagru i zesłania, w jej mieszkaniu zbierali się ludzie, którzy też przeszli przez Gulag.

– Niezwykła postać – opowiadał mi o niej. – Wielka, gruba, opuchnięta kobieta. Ale kiedy zaczynała opowiadać, przestawało się widzieć całą tę jej fizyczną potworność. Ona nie miała pretensji do losu o zmarnowane życie, bo uważała, że takim jak ona i jej mąż należały się łagry i zesłania. Choćby za to, że jako partyjni głosowali za Stalinem.

Oczywiście nie od razu zyskała taką świadomość. Wiktor tematem swego opowiadania uczynił maleńki epizod z jej życia, dzięki któremu dotarła do niej pierwsza wątpliwość co do istoty systemu.

Mróz był siarzysty, więźniów pędzono na stację kolejową po zamrożniętej rzece, skakali z kry na krę, Anna dostała wysokiej gorączki, leżała w malignie. Nie przeżyłaby transportu, gdyby nie starsza kobieta, która zaopiekowała się nią, poila wrzątkiem, doglądała. Rozpoznałszy w niej inteligentkę, spytała, czy jest komunistką. Anna przytaknęła, a potem wylał się z niej potok komunistycznej propagandy: że toczy się walka klasowa, że należy likwidować kulaków, że oni umyślnie niszczyli zboże i nawet własnych dzieci nie żalowali, kiedy im się sprzeciwiali...

I wtedy jej wybawicielka, jak się okazało „kułaczka”, pokłoniła się nisko i powiedziała: „Dziękuję ci, dobra panienko, żeś się ulitowała nad naszymi dziećmi”.

Od współwięźniarek dowiedziała się później, że w czasie przeprawy przez rzekę zginęły wnuki „kułaczki”. Od tego momentu zaczął się u Anny proces odchodzenia od komunistycznej wiary, kilkanaście lat później, kiedy spotkał ją Wiktor, była już zupełnie innym człowiekiem.

Dla Wiktora jej opowieści musiały być szczególnie poruszające. On też przecież uwalniał się od swojej wiary stopniowo, krok po kroku, boleśnie, w konwulsjach.

Jego przemianę z żarliwego komunisty w równie żarliwego rewizjonistę przyspieszyły historie, których nasłuchiwał się u Anny od powracających na wolność łagerników.

Mnie najbardziej zapadła w pamięć historia Iwana Makariewa, byłego sekretarza generalnego Związku Pisarzy Proletariackich. Wrócił z łagru postarzały, schorowany, wyniszczony alkoholem. Zadzwonił do Wiktora w maju 1956 r. Opowiedział, że kilka dni wcześniej spotkał Aleksandra Fadiejewa, autora „Młodej Gwardii”, dyspozycyjnego prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Radzieckich, który zawsze potępiał, kogo należy i – jak się mówiło – parałował wszystkie aresztowania w środowisku pisarzy.

– Ja mu nie chciałem podać ręki – mówił załamującym się głosem. – A teraz słyszę, że Sasza się zastrzelił. Przecież podałbym mu rękę, gdybym wiedział, że w nim została ta resztką sumienia, która kazała mu popelnąć samobójstwo.

No cóż, historia „godna sfiszgowania”, że zacytuje Jerzego Pilcha. I też Wiktor zaczął ją fiszkować, w jego archiwum jest teczka „Fadiejew”. Może miał zamiar napisać o nim? Kto wie?

Twórczość Wiktora przez całe lata karmiła się tym, co zobaczył, usłyszał i przemyślał wtedy w Moskwie. Oto kolejna historia, którą Wiktor przywiózł z Rosji.

Otóż był sobie krytyk literacki, działacz Związku Pisarzy Radzieckich, aktywista partyjny, powszechnie uznawany za świnię. Kiedy kazano mu potępić, dajmy na to, Borysa Pasternaka, to on pisał esej, że Pasternak jest miernym poetą. Nie było dla niego żadnej świętości. Krytyk do wynajęcia. Na każde zawołanie partii. Anatolij Tarasienkow się nazywał.

A kiedy przyszła odwilż i Tarasienkow umarł, okazało się, że on w swojej piwnicy zgromadził całą nieprawomyślną poezję i prozę, jakie zostały wydane w Rosji w XX wieku, ale również to, co istniało tylko w maszynopisach. Wiele pozycji z jego zbiorów miało przestać istnieć, niszczone je, palono, autorów pomordowano. A on nie tylko to ocalił i przechował, ale jeszcze skatalogował, opisał, zrobił naukową bibliografię. I to jest po dziś dzień dzieło niezastąpione dla historii literatury rosyjskiej. Bez żyjącego podwójnym życiem Tarasienkowskiego część literatury rosyjskiej przepadłaby bezpowrotnie.

Wiktor akcję tej „historii” przeniósł do Persji przełomu XVII i XVIII wieku, w ostatnie lata panowania, kiedy to prześladowano poetów sufickich, a ich twórczość niszczone. „Człowiek z Isfahanu” – piękne opowiadanie, zachwyciło mnie od pierwszego czytania, jeszcze zanim dowiedziałam się, o czym jest tak naprawdę. I pomyśleć, że jego urodę po części przynajmniej zawdzięczamy istnieniu cenzury.

Z kolei inspiracją dla opowiadania „Podpis” stał się tzw. List 34, który grupa polskich intelektualistów wystosowała do władz PRL-u w marcu 1964 r. Żądania mieli skromne: zwiększenie przydziału papieru na druk książek i czasopism, prawo do krytyki, poluzowanie cenzury. Władza tymczasem wytoczyła ciężką artylerię i zorganizowała popolite ruszenie pisarzy protestujących przeciwko sygnatariuszom listu. Udało jej się skłonić do podpisów ponad 600 polskich pisarzy, niektóre nazwiska, niestety, znakomite.

Wiktor akcję opowiadania przeniósł tym razem do Rosji. Dla głównego bohatera, nauczyciela gimnazjalnego Stiepana Gawriłowicza Nieudaczowa, trudno byłoby znaleźć jakiś konkretny polski pierwowzór, ale bez wątplenia uosabiał on znękaną, rozdartą między strachem a chęcią zademonstrowania niezależności duszę polskiego pisarza Anno Domini 1964, wahającego się, czy podpisać tzw. kontrlist (zwany w środowisku pisarskim złośliwie „volkslistą”).

No więc było tak. W 1866 r. w Petersburgu pewien student próbował zastrzelić cara Aleksandra II. Wywołało to potężną falę wiernopoddanych adresów z wyrazami wdzięczności za cudowne ocalenie władcy i oburzenia na „złowrogie siły” odpowiedzialne za zbrodnię; publikował je na bieżąco petersburski dziennik.

Nieudaczow w dniu zamachu akurat chorował, tak że list ciała pedagogicznego opublikowano bez jego podpisu. Dostał później swoje nazwisko wprost do redakcji i odtąd nerwowo sprawdzał każdego dnia gazetę. Z obawy, że może być podejrzany o nieprzyłączenie się do adresu, kulił się na widok swego dyrektora i innych lojalnych obywateli, w towarzystwie wolnomysłicieli zaś robił zuchwale i wiele mówiące miny.

Gdy wreszcie redakcja gazety oświadczyła, że kończy druk adresów, ma ich bowiem jeszcze kilkanaście tysięcy – nasz bohater był już w stanie totalnego zamętu ducha, „sam nie wiedząc, czy ma się czuć dumnym zwolennikiem wolności, stawiającym czoło przemożnej fali uczuć monarchistycznych i narodowych, czy wiernym tronowi patriotą, skrzywdzonym przez pocztowy bałagan i podejrzliwość zwierzchnika”.

Nie, tylko proszę sobie nie wyobrażać, że autor w opowiadaniu „Podpis” nazbyt zbliżył się do groteski. W Archiwum Akt Nowych znaleźć można skargi literatów, do których nikt nie zwrócił się o podpis pod – nie bójmy się tego określenia – deklaracją lojalności wobec komunistycznego reżimu. Zastanawiali się, czy to wina poczty, czy może czyjeś celowe działanie. Jest i telegram: „Podaję do wiadomości, że nie dano mi, człowiekowi obłożnie choremu i przykutemu do łóżka, do podpisania protestu ZLP. STOP. Depeszcowałem do towarzysza Putramenta i nie otrzymałem odpowiedzi. STOP”. Podpis: „Członek POP ZLP, odznaczony krzyżem oficerskim”. Nazwisko miłosiernie przemilczam.

Dziś, kiedy codziennie w mojej skrzynce e-mailowej znajduję co najmniej kilka propozycji podpisania jakiegoś protestu, wcale nie uważam opowiadania „Podpis” za anachroniczne czy nieprzystające do naszych czasów. Przeciwnie, widzę w nim świetny literacko obraz walki, jaką od stułeci toczy sam ze sobą *Homo sapiens*. Chodzi o to, czy zdecydować się zostać bardziej bohaterem (rozumiem taką pokusę), czy może raczej pozostać przy oportunistmie (też ma to swoje zalety).

Ach, gdybyż tak się udało być i jednym, i drugim! Najlepiej jednocześnie.

Główny korpus tej książki to wznowienie „Historii” z 1987 r. Wiem, że dwa dłuższe opowiadania autobiograficzne powstałe później autor chciał umieścić w wydaniu, które przygotowywał jesienią 1995 r. Poświęcił im nawet akapit we wstępie.

To jasne, że widział ich odmiennosć od pozostałych „historii”. Po pierwsze, jawnie odnosiły się do współczesności, do czasów, które większość czytelników musiała pamiętać. Po drugie, nie sposób było nie rozpoznać w narratorze autora. „Cóż w tych wypadkach nie tyle utożsamia się on [narrator] wewnętrznie z postaciami ze świata historycznego, co świeżo przeżywana współczesność w jego zdumionych oczach pospiesznie osuwa się w historię”.

Ładnie powiedziane. Zresztą dziś jest to już na pewno historia – dwa epizody z życia solidarnościowej opozycji w latach 80.

Natalia Woroszyńska, córka poety, czuła kustoszka spuścizny ojca, autorka wyboru opowiadań do obecnego wydania „Historii”, zdecydowała się dołożyć do nich kilka obrazków z początków stanu wojennego oraz dwa opowiadania „niesamowite”, publikowane wcześniej jedynie w prasie (by dać im żywot książkowy, bo to istnienie považniejsze).

Zgadzam się z autorką wyboru, że nie zdecydowała się dołożyć do tego wydania

wierszy z tomików „Zagłada gatunków” i „Po zagładzie”. Dziś nie ma już tej nagłej konieczności, jaką autor odczuwał jeszcze w 1995 r., aby włączyć je do literackiego krwiobiegu. One w nim już istnieją. Obszerny wybór poezji Woroszyńskiego dokonany przez Ryszarda Krynickiego opublikowało w 2007 r. wydawnictwo a5. A niektóre jego wiersze z czasów, gdy powstały „Historie” – jak choćby „Państwa faszystowskie” czy „Inteligenci” – wciąż są cytowane. A to dlatego – niestety – że nie chciały się zestarzeć i nadal poraża nas ich nieprzemijająca aktualność. ●

Wiktor Woroszyński, „Historie i inne opowiadania”, wybór Natalia Woroszyńska, Fundacja Instytut Kultury Popularnej, Poznań 2022. Tekst Joanny Szczęsnej to skrócona wersja postowia do książki, która ukaże się w najbliższych dniach.



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wiktor Woroszyński

Strachy

*Człowiek jest piękny. Człowiek jest silny.
Człowiek jest ziemi cudownym owocem.
Człowiek ze strachu spocony i siny
leży na brzuchu, żałośnie belkoce.*

*Dusi go noc i dzień go oślepia,
kule ogniste latają nad głową.
Przerażający jest fiolet i sepia,
cisza i łoskot, milczenie i słowo.*

*Otumaniony, spłoszony, rozdarty,
boi się wojny, powietrza i ognia,
boi się Boga, boi się Partii,
boi się brata, sąsiada, przechodnia.*

*Człowiek jest panem wszelkiego stworzenia,
rzeczy, żywiołu, nieskończoności.
Boi się gestu, grymasu, spojrzenia,
boi się własnej wzgardzonej inności.*

*Jeśli jest ptakiem, zdradzą go skrzydła.
Jeśli jest drzewem – wydadzą konary.
Boi się Żyda, bo podobny do Żyda.
Dziecko – bo małe. Starzec – bo stary.*

*Mędrzec – bo myśli. Lekarz – bo leczy.
Nauczycielka – bo uczy, jak umie.
Złego stworzenia, żywiołu i rzeczy
boi się człowiek samotnie i w tłumie.*

*Człowiek jest dumny. Człowiek jest wielki.
Człowiek przed drugim człowiekiem ucieka.
Patrzą z uśmiechem ciągnące się wieki
na skulonego w przestachu człowieka.*

Utwór za: Wiktor Woroszyński, „Wiersze 1954–1996”, wybrał Ryszard Krynicki, wydawnictwo a5, Kraków 2007

Sędziowie sumień nie znają litości

Jakim troglodytą emocjonalnym trzeba być, żeby nie wy-czuć dramatu bliskich znajomych Jana Pawła II.

Magdalena Czyż

„One są tak zakazane JP II, że nic i nikt nie pomoże im przyznać, że nie był święty... To jest wstrętne...”.

„A gdzie odwaga pań jako kobiet uczonych, filozofek. Kluczenie z odpowiedzią dyskwalifikuje obie.

Obie panie są obrzydliwe w swych wypowiedziach”.

„Zawiodłem się na Bortnowskiej. Okazuje się, że to kolejna osoba, dla której osobiste wspomnienia i uczucia są ważniejsze od prawdy. I taka osoba jest teologiem? Dobrze sobie...”.

„Żaden autorytet, moje drogie Panie, nie może być przeszkodą w przyjęciu do wiadomości faktów. Bolesne to zapewne, że »przyjaciel« okazuje się zwykłym szubrawcem, ale jeżeli macie odrobinę przyzwitości, to pora zburzyć ten pomnik”.

Powyższe cytaty to jedynie małeńki wycinek hejtu czytelników, jaki popłynął na moje rozmówczynię po wywiadzie o ich przyjaźni z Karolem Wojtyłą i późniejszym Janem Pawłem II i ich próbach uporania się ze swoim dzisiejszym stosunkiem do tej przyjaźni.

Pracując nad tym wywiadem, myślałam o swoich przyjaźniach. O tym, jak ja bym podeszła do swojej najbliższej przyjaciółki, która w jakimś momencie zawiodłaby mnie tak, jak moje rozmówczynie zawiódł i rozczarował ich przyjaciel. Nie miałam wątpliwości, że te wszystkie ich pytania, wątpliwości, bolesne rozterki stałyby się również moimi rozterkami.

Czy mój przyjaciel, który popełnił błąd, może nawet przestępstwo albo zbrodnię, zasługuje na natychmiastowe i bezrefleksyjne potępienie z mojej strony i porzucenie go? Moja odpowiedź była bliska odpowiedzi Anny Karoń-Ostrowskiej i Haliny Bortnowskiej. Bardzo bliska!

Po przejrzeniu komentarzy zadzwoniłam do przyjaciółki, tej samej, o której myślałam. Zapytałam, jak ona zachowałaby się, gdyby dowiedziała się, że, dajmy na to, wiedziałam o jakimś wujku, którego uważałam za swojego, fajnego, że wykorzystywał seksualnie kogoś, i nic nie robiłam. Nie poszłam na policję, milczałam. Czy odsunęłaby się ode mnie? Jak by mnie po-

traktowała, gdybym popełniła jakiś straszny błąd w życiu, za który trafiłabym do więzienia? Nie odpowiedziałaby mnie ani razu w tym więzieniu?

Przyjaciółka po dłuższym namyśle odpowiedziała to, co odpowiada Anna Karoń-Ostrowska. Próbowałaby za wszelką cenę poznać moje motywy. Zrozumieć, dlaczego tak się zachowałam. I choć nie bez oporów, to raczej przynosiłaby mi smalec i kiszony ogórek do więzienia.

A gdybym już nie żyła? – dążyłam.

Przyjaciółka, też po chwili namysłu, odpowiedziała, że odpuszczałaby dociekania. Starałaby się zatrzymać swoją dobrą pamięć o naszej przyjaźni.

**Komentujący
mój wywiad
o Wojtyłę zupełnie nie
rozumieją,
czym jest przyjaźń.
Za to świetnie
rozumieją, czym jest
bezmyślny,
bezduszny lincz**

Zastanawiam się, jakim troglodytą emocjonalnym trzeba być, żeby nie wyczuć dzisiejszego dramatu wszystkich bliskich znajomych Jana Pawła II. Jak bezrozumnym, żeby nie dostrzegać zawilości i wielowymiarowości problemu, który się na naszych oczach odsłania podczas debaty o tym pontyfikacie?

Głęboko współczuję wszystkim przyjaciółom autorów tych komentarzy. Mogę im jedynie doradzić, żeby wiali od nich, gdzie pieprz rośnie, bo gdy im się w życiu noga poślizgnie, popełnią jakiś błąd, to ci sędziowie sumień nie będą znali dla swoich przyjaciół litości.

Chyba głównie dlatego, że zupełnie nie rozumieją, czym jest przyjaźń. Za to świetnie rozumieją, czym jest bezmyślny, bezduszny lincz.

I tak, jak bardzo współczuję ich przyjaciółom, tak bardzo dziękuję swojej przyjaciółce. ●

NAJKRÓCEJ

Jonasz

Mój cytat

Ucieszył mnie artykuł prof. Stanisława Obirka chwalcący papieską drogę synodalną („Wyborcza”, 31 października). A mój cytat z tego artykułu jest taki:

„Znający moją publicystykę czy książki (...) mogą się dziwić mojemu optymizmowi. A jednak właśnie dlatego, że krytycznie obserwuję od wielu lat Kościół katolicki, jestem rzeczywiście przekonany, że zapoczątkowany przez papieża Franciszka oddolny ruch zmian w katolicyzmie jest autentyczny i nieodwołalny”.

Jest to ruch międzynarodowy, oparty na dokumencie watykańskim i pracy myślowej całego Kościoła. ●



Irumna była z jasnego drewna, z ornamentem, wyścielana materiałem. Clément leżał w niej przykryty po szyję jedwabnym prześcieradłem w kolorze lososiovym, obok niego – czarna świnka i inne ulubione zabawki. Wyglądał, jakby się uśmiechał.

Zmarł nagle w Irlandii, na niewykrytą wcześniej chorobę serca, ale Michel Houellebecq chciał, by spoczął w Paryżu. W kwestiach proceduralnych interweniował ówczesny minister rolnictwa (w wolnych chwilach: literat). Zwłoki sprowadzono samolotem na koszt podatnika. Pogrzeb był dyskretny, tylko dla najbliższych.

Na nagrobku w złote róże i pierwiosnki pogrążony w żalobie pisarz kazał wykuć: „25 marca, w środku nocy/ zatrzymało się Twoje serce/ świat zrobił się ciemniejszy./ Śpij, mój maleńki./ Ile pięknych wypraw, ile miłości./ Clément, wielkie dzięki”.

Spędzili razem prawie 11 lat. Clément był mały i krępy, miał krótkie łapy, wydłużony tułów i gęstą biało-rudą sierść. Był psem rasy welsh corgi. „To była jego jedyna rodzina” – miał powiedzieć ktoś ze znajomych.

OKROPNY CZŁOWIEK, NAPRAWDĘ

„Dzięki wam dowiedziałam się, że już nie żyję, ten fakt jakoś umknął mojej uwagi” – Janina Ceccaldi, matka Michela Thomasa znanego jako Houellebecq, kilka lat wcześniej pisze do gazety.

Przeczytała właśnie reportaż o swoim synu, a w nim (od autora): „Mówił mi, że ludzie nie mogą zrozumieć, co czuje człowiek wychowywany przez rodziców, którzy go nie kochają. Nie jest to nienawiść, to inne uczucie. Dał przy okazji do zrozumienia, że dowiedział się niedawno o śmierci swojej matki”.

Pisarz zerwał z nią znajomość na początku lat 90., wysyłając list. Nie przeszkodziło mu to w tym samym liście żądać, by go utrzymywała przez trzy lata, które są mu potrzebne na pracę nad powieścią. Miał wtedy 36 lat.

Ojca, przewodnika górskiego René Thomasa, uśmiercił w poezji, co przynajmniej można uznać za fikcję literacką. Choć marna to pociecha, gdy wiersz zaczyna się od słów: „Mój ojciec był samotnym i wulgarnym wałem” (przekł. Maciej Froński).

Trudno powiedzieć, jak wyglądałaby twórczość Houellebecqa, gdyby rodzice nie zafundowali mu poczucia odrzucenia, z którego czerpie inspiracje pełnymi garściami. I czy odniosłaby taki sukces. Bo któż może chcieć bardziej zwrócić na siebie uwagę, jeśli nie zaniedbywane dziecko?

Denis Demonpion, autor biografii „Houellebecq”, nazywa jego „Możliwość wyspy” „porażką”, bo we Francji sprzedało się „tylko” 135 tys. egzemplarzy. „Wrogowie publiczni”, korespondencja z Bernardem-Henrim Lévyem (prawie 60 tys.), to dla niego „wielka kłapa”. Nie dlatego, że miał jakiś uraz głowy. Po prostu „Cząstki elementarne” osiągnęły poziom 620 tys. egzemplarzy. To nie literówka, proszę państwa. I mowa tylko o orygi-

nale, bo powieść przełożono jeszcze na blisko 30 języków.

Łatwiej byłoby to pojąć, gdyby autor pisał skandynawskie kryminały, ewentualnie powieści o małym czarodzieju. Ale to – jak wiadomo – zapijaczony artysta przekłety. Prorok upadku zachodniej cywilizacji. Enfant terrible francuskiej literatury itd. Oskarżany o islamofobię, rasizm, mizoginizm. Pornograf i reakcjonista w jednym.

Houellebecq oczami innych (na wrywki, za Demonpionem):

„nadmiernie uzdolniony intelektualnie, upośledzony emocjonalnie” (matka); „okropny człowiek, naprawdę” (druga była żona); „zabawny jak dzieciak, co się przebrał na szkolny bal za kupę” (jeden z dziennikarzy); „miota się między chorym narcyzmem z jednej strony a chorą nienawiścią do siebie samego i swojego kraju z drugiej” (znajoma pisarka); „kosmiczne dziwadło” (postronni); „robi wszystko, żeby go znienawidzono” (dawny nauczyciel); „budzi fascynację graniczącą czasem z obrzydzeniem” (recenzent); „ten współczesny mutant zbacza czasem znienacka w stronę mętnych wód – i nie można tego tłumaczyć jedynie jego naturą prowokatora” (inny recenzent).

Albo: „Michel nie sprzecza się, on tylko szydzi. Brakuje mu skromności. Czuje się lepszy od innych. I to trochę prawda, jest w pewnym sensie lepszy od innych. Ale nikt nie ma prawa tego nadużywać. W każdym razie wygląda na to, że jego żylą złota okazały się historie o dupie” (ojciec).

Przeszedł długą drogę, nim został pisarzem. Przyda się kilka mi-gawek z przeszłości.

DUŻY PŁOMIEŃ

Nazywa się Thomas. Michel Thomas. Dostaje imię na cześć wyspy Mont Saint-Michel, która zauroczyła jego matkę. Ale przychodzi na świat na innej wyspie, Réunion, dokładnie o 6 rano 26 lutego 1956 roku (będzie się uparcie odmładzał o dwa lata). Waży 3,25 kg.

Ma pięć miesięcy, gdy rodzice podrzucają go babci i ruszają w podróż po Afryce. Henriette jest dla wnuka troskliwa. Pozostanie bodaj jedyną osobą, o której mówiąc, pisarz daruje sobie zjadliwą ironię. Jej śmierć to będzie cios.

Wkrótce po powrocie René i Janina się rozstają (matka zaszła w ciążę z innym mężczyzną, rodzi dziewczynkę, Michel prawie jej nie będzie znał), a on trafia pod opiekę babci z drugiej strony. Przez pierwsze lata życia mieszka w Algierze, gdzie pedałuje po wielkim mieszkaniu na trzykołowym rowerku, zajętych rodziców widuje przeważnie w wakacje. W jednym z wywiadów powie, że byli „prekursorami wielkiego rozpadu instytucji rodziny”.

A przy innych okazjach – dużo gorszych rzeczy.

„Or-ni-to-ryn-que”, czyli „dziobak”. Czteroletni Michel potrafi napisać to trudne słowo bez błędu. Nauczył się czytać jako trzylatek. W wieku ośmiu lat zasypuje kolegę pytaniami: „Gdzie leży Cieśnina Beringa?”, „Ile jest 95 razy 908?”. Chłopak nie zdąży otworzyć ust, już pada prawidłowa odpowiedź. Nietrudno się domyślić, że inne dzieci lubią go tak sobie. Choć punktuje tym, że daje im ściągać.

FOT. PHILIPPE MATSAS/EAST NEWS

KONSERWATYZM PORNOGRAFA

Trudno powiedzieć, jak wyglądałaby twórczość Houellebecqa, gdyby rodzice nie zafundowali mu poczucia odrzucenia, z którego czerpie inspiracje pełnymi garściami

Małgorzata I. Niemczyńska



To teraz mały przeskok. Suchy chleb z musztardą, jakaś konserwa, jedna lub dwie szklanki whisky. Tak wygląda codzienne menu. Na wigilię kupuje sobie stos camembertów. Za dużą zieloną kurtkę parkę nosi niezależnie od pogody. Ma długawe włosy w strąkach, sarkastyczny uśmieszek, wytarte dżinsy – i jeszcze stary aparat fotograficzny na pasku oraz śmierdzący pleśnią plecak. Oto Michel wciąż Thomas u progu dorosłości.

Meble zbiera po śmietnikach, nie włącza ogrzewania nawet w mrozy i sypia do późna. W surowo urządzonym pokoju wiesz dwa plakaty: półnagiego Iggy’ego Popa (z którym w przyszłości wystąpi w filmie „Przeżyć: metoda Houellebecq’a”) oraz Jacques’a Chiraca (o którym powie, że lepiej się odlać w kabinie wyborczej, niż na niego głosować). Kawalerkę kupił mu ojciec, ten „wulgarny wał” („Traktował mnie jak szczura, którego się goni./ Odpychał go sam pomysł posiadania syna” – czyżby?).

Jak na przyszłego pisarza czyta raczej niewiele. Głównie science fiction i Arthura Schopenhauera. Kupuje wiertarkę, by zrobić regał na książki. Nie użyje jej ani razu. Oddaje komuś w zamian za „Świat jako wola i przedstawienie”.

Inżynierię rolnictwa studiuje, bo nie wie, co ze sobą zrobić. Na kolegów patrzy z lekką pogardą, a oni go mają za egocentryka. Pali nawet w trakcie zajęć. Plastikowe zapalniczki ustawia tak, by buchał z nich płomień na dziesięć centymetrów. W latach 70. jedzie do Polski prowadzić badania porównawcze metod uprawiania kapusty. Zwiedza Gdańsk i obóz w Auschwitzu. Po powrocie opowiada, że jadł dużo lodów i bardzo mu się podobało.

GEBA NIEROBA I ONANISTY

Zostaje zwolniony ze służby wojskowej, gdy zjawia się na komisji wymalowany jak ulicznica. Biorą go za wariata. Na rynku pracy nie radzi sobie dobrze, w zasadzie porażka goni porażkę.

Idzie w końcu na dwuletnie studia do szkoły filmowej (gdy zacznie publikować, jeden z jego profesorów powie: „Thomas to ma być Houellebecq? Święty Boże! A nawet kiedy patrzyłem na jego zdjęcia w gazecie, to miałem wrażenie, że skądś znam tę gębę nieroba i onanisty, ten sposób patrzenia spode łba. Był inteligentny, ale jakiś nijaki”).

Pierwszy krótki metraż nakręcił jeszcze na studiach rolniczych. Kino i fotografia staną się jego drugą namiętnością: obok ekranizacji powieści (film „Możliwość wyspy”, który sam wyreżyseruje, to będzie koncertowa kłapa) powstanie m.in. mistyfikacyjny quasi-dokument „Porwanie Michela Houellebecq’a” (w nim zagra, rzecz jasna, siebie). Spróbuje też kariery muzyka (według świadka koncertu: „To była wielka muzyczna katastrofa. Wyglądał jak technik komputerowy z jakiejś prowincji, a swingował jak łamaga”).

Na razie jednak wciąż nie odkrył namiętności pierwszej. Pracuje jako informatyk w ministerstwie rolnictwa i jest przez tę pracę wiecznie sfrustrowany. W mieszkaniu nie otwiera okiennic, w ciemności popada w zgorzknienie. Zmanierowa-

nym gestem pali papierosy, chodzi z przewieszoną przez rękę plastikową reklamówką. Wydaje się nawet nie tyle zaniedbany, co jakiś „rozlazły”. To słowo często wraca, gdy ktoś o nim mówi.

Zeni się i rozwodzi (dwa razy). Z pierwszego małżeństwa ma syna Etienne’a. Po raz trzeci powie „tak” w 2018 roku. Syn nie zjawi się na ślubie. Rodzice panny młodej – przeszło 30 lat młodszej córki członka Komunistycznej Partii Chin, autorki pracy magisterskiej „Michel Houellebecq. Dandys mimo woli” – też. Wśród gości będą za to m.in. Carla Bruni, Emmanuel Carrère, Paweł Pawlikowski.

Rodzice (umiarkowanie) młodego pana zdążą już umrzeć, tym razem naprawdę.

PRZECIW ŚWIATU, PRZECIW ŻYCIU

„Houellebecq to nazwisko babki, jedynej osoby godnej szacunku w mojej rodzinie” – mówi o Henriette. Sam zaczyna się nim posługiwać w wieku 35 lat. W wierszu pisze: „I tak dotarliśmy do chwili w życiu, kiedy/ Czujesz, że trzeba by na nowo rozdać karty/ Albo zdechnąć”. Wybiera to pierwsze. Najpierw zostaje poetą, potem eseistą (książka „H.P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu”, po premierze prawie niezauważona), wreszcie prozaikiem.

Choć w wywiadach twierdzi, że pisał już w wieku 13 lat. Kupował 288-stronicowe zeszyty („pamiętam, bo to była wielokrotność 96 stron: 96, 192, 288...”) i zapisywał je w całości, a potem szedł nad najbliższą rzekę, 16 razy brał głębokki oddech i wrzucał je do wody („16 wydawało mi się dobrą liczbą, miałem wrażenie, że potem będę kimś całkiem nowym”).

Ale nie tak prędko. Debiutanciej powieści „Poszerzenie pola walki” nikt nie chce wydać. Odrzucają ją kolejne oficyny, pogrążając autora w głębokiej frustracji. I może tak by już zostało, gdyby nie żona (druga, dziś była). Marie-Pierre tak długo i uparcie suszy głowę wydawcom, aż w końcu Maurice Nadeau (odkrywca Pereca i Gombrowicza, niegdyś sekretarz Trockiego) mówi: „Dobra, biorę, ale jak znajdziecie kogoś innego, nie ma sprawy, idźcie”.

Po sukcesie „Cząstek elementarnych” (ukaza się we Flammarii) inny wydawca (Fayard) podkupi Houellebecq’a za mniej więcej milion euro. To nie chochlik. Zdaniem biografa pisarza mogło to być nawet 1,2 miliona. Mam nadzieję, że państwo siedzieli.

WYĆWICZONY MIĘSIEŃ KEGLA

„Ludzie kupują jego książki, nawet jeśli zatykają przy tym nos” – pisze Demonpion.

Wszystkim marudzącym na nową powieść Houellebecq’a „Uniestwianie” (fakt, pisywał lepsze, ale) warto przypomnieć, że nie wydał dotąd niczego, na co nikt by nie zrzędził. Również ze względów artystycznych. Choć po prawdzie częściej z innych.

Przed wszystkim autor z upodobaniem zamieszcza w swych depresyjnych, przesyconych poczuciem pustki i bezsensu dziełach realne postacie, nie zawsze fatygując się zmieniać im nazwiska. Tak było już w przypadku powieściowego debiutu. Podsta-

wową inspiracją dla „Poszerzenia pola walki”, a więc swoistej widowki z „nowych wspaniałych czasów”, byli jego koledzy urzędnicy z ministerstwa rolnictwa. Na ich przykładzie pokazał kondycję – fatalną? tragiczną? beznadziejną? wszystko mało! – współczesnego człowieka Zachodu. Niespecjalnie docenili ten zaszczyt.

W przypadku „Cząstek elementarnych” raczej wszyscy byli zdania, że na dwóch głównych bohaterów (przyrodnich braci Brunona i Michela) rozpiął samego siebie. Ale to nie znaczy, że oszczędził innych. Matka bohaterów zostawia ich na wychowanie babciom, a sama wybiera rozwiązłe życie w komunie New Age, gdzie nie mniej od uciech seksualnych radują ją środki halucynogenne.

Brzmi jakby znajomo? Janina Ceccaldi, wówczas podstarzała hippiska chowająca jo-inty w farbowanym henną koku, miała się po lekturze snuć po ulicach Paryża okutana w indyjską chustę. Próbowala odnaleźć syna, z którym od dawna nie miała kontaktu. Co zabawne, najpierw się ucieszyła, gdy przeczytała w gazecie, że dostał za „Cząstki...” nagrodę Prix Novembre. Chciała mu wysłać pocztówkę z gratulacjami. Ale potem ktoś podsunął jej książkę. I wtedy nie myślała już o pocztówce, ale raczej o pozwie sądowym.

Zostaje zwolniony ze służby wojskowej, gdy zjawia się na komisji wymalowany jak ulicznica

Ostatecznie jej prawnik wywalczył zmianę nazwisk bohaterów w przypadku ekranizacji, której bała się najbardziej. Swoją wersję zdarzeń starała się potem przedstawić we wspomnieniowej książce „L’innocente” („Niewinna”).

Pod wpływem sądowych nacisków Houellebecq musiał też zmienić nazwę kempingu, w którym w powieści odbywają się seksimprezy. W wywiadach i publiczście nie próbował udawać, że tych scen nie wzorował na własnych doświadczeniach. Ze szczegółami opisywał kluby swingersów, do których chadzał z drugą żoną, by uprawiać seks w wielokątach.

Nie ocierał się o porno. To było porno.

I dość żenujące męskie przechwałki: „Przez ostatnie tygodnie ćwiczyłem mięsień Kegla, dzięki temu udaje mi się penetrować na przemian Marie-Pierre i Annę, doprowadzać je do rozkoszy, bez wytrysku – daje mi to wielką przyjemność. Po swoim orgazmie Anna delikatnie mi obciąga” itd. (To nie fragment powieści, ale jedno z wspomnień, które opublikował w prasie).

Jak na kogoś, kto rewoltę 1968 roku uwielbia obwiniać o obyczajowe rozpasanie, które przyczyniło się do ogólnej degrengolady i bliskiego upadku – jak wciąż, nieustannie i od nowa wieszczy – cywilizacji Zachodu, Houellebecq nader ochoczo z owego rozpasania korzystał.

Do wiadra kontrowersji dorzucmy jeszcze rasizm, bo powieściowy Bruno cierpi z powodu „małego fiuta” i odreagowuje to nienawiścią do czarnoskórych mężczyzn, którzy mają się czym pochwalić. Czy autor pokazał uprzedzenia, które tkwią w mentalności Francuzów, czy dał upust własnym? Pisano o tym niemało, on głównie zaprzeczał. Nie, nie, to nie są jego poglądy.

Inaczej sprawa miała się z islamem.

GLUPIE, GLUPSZE I NAJGLUPSZE

Promował już wtedy kolejną powieść „Platformę”. Ale nie chodziło o słowa, które w niej zamieścił, np. o „sztuce nienawiści do muzułmanów” czy o radości na wieść o śmierci kolejnego Palestyńczyka w Strefie Gazy, bo „oto jest o jednego muzułmanina mniej”.

W wywiadzie dla „Lire” powiedział, że: „wiera w jedynego Boga jest aktem totalnego kretyństwa, trudno mi znaleźć na to inne słowo. A najglupszą religią jest jednak islam. Czytanie Koranu jest powalające... powalające! Biblia jest przynajmniej piękna, bo Żydzi mieli cholerny talent literacki... a za to można wiele wybaczyć”.

Skargi muzułmańskich organizacji skończyły się procesem.

Próbował się bronić odwołaniem do zasady bezkarności literatury, co sąd uznał za zwyczajnie niepoważne, bo w mediach wypowiedział się osobiście i bezpośrednio. Potem zarzucił redakcji „Lire” przekręcenie jego słów, czego jednak nie potwierdziło przesłuchanie przez sąd nagrania wywiadu.

Ostatecznie został uniewinniony, bo wypowiedział się o religii na poziomie ogólnym, a nie o jej wyznawcach. A zarzucano mu dyskryminację. Zwycięstwo chciał świętować w knajpie koło Wielkiego Meczetu. Prawnik starał się go przekonać, że to nie najlepszy pomysł. Trafił z jednym argumentem: nie podają tam alkoholu.

Zdaniem wielu Nagrodę Goncourtów za „Mapę i terytorium” dostał, bo – umiejętnie urobiony przez wydawcę – celowo się powściągał. W „Uległości” wrócił już do swoich ulubionych kontrowersji. W realiach tej powieści wybory w 2022 roku wygrywa we Francji Bractwo Muzułmańskie, czyniąc islam jedyną obowiązującą religią. Premiera zbiegła się w czasie z zamachami na redakcję „Charlie Hebdo”.

Wszyscy, którzy byli wtedy blisko pisarza, przyznają zgodnie: Houellebecq był przerażony.

TRUMP, LABRADOR I KOSMICI

„Znieważanie jest zdecydowanie moim ulubionym zajęciem” – mawia. Coraz częściej uważany jest za konserwatystę. Ale jego konserwatyzm – jak sam twierdzi – „bierze się z lenistwa i pesymizmu”. Uważa, że jeśli coś działa, chociażby w połowie, lepiej tego nie ruszać. Za przykład podaje połowicznie udane małżeństwo. Dosyć oryginalnie jak na kogoś, kto rozwiódł się już dwa razy.

Z żadną religią nie jest mu po drodze, nie tylko z islamem. „Pytanie o istnienie Boga jest dla mnie wręcz krępujące, nie umiem go potraktować poważnie” – mówi. I dalej: „Idea Boga wydaje mi się

tak niepojęta, że pamiętam nawet, jak będąc dzieckiem, byłem przekonany, iż ludzie żartują, kiedy mówią o Bogu”.

Pardon, są jeszcze realianie. Sekta, którą pod zmienioną nazwą opisał w „Możliwości wyspy”, a potem został jej honorowym członkiem. Ale oni nie wierzą w Boga, tylko w kosmitów. Umiarkowanie to konserwatywne.

Z drugiej strony potrafi nazwać Donalda Trumpa „jednym z najlepszych prezydentów amerykańskich”, bo: „Prezydent Trump deklaruje, że jest nacionalistą. Dokładnie tak samo jak ja”.

Europie na ogół życzy rozpadu. Nie ma ona – wyklada – wspólnego języka, wartości ani interesów, więc nie stworzy nigdy jednego narodu. „Jestem gotów głosować na kogokolwiek, kto zaproponuje wyjście z Unii Europejskiej i z NATO – te sprawy są dla mnie kluczowe” – deklaruje. Choć tak po prawdzie na wybory nie chodzi wcale. Cza-sem weźmie udział w referendum, np. żeby zagłosować przeciw konstytucji europejskiej.

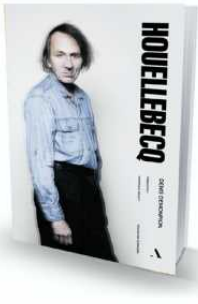
Przyjmuje za to Legię Honorową z rąk prezydenta Emmanuela Macrona, który przy tej okazji mówi: „Pan jest całym sobą przeciwko Europie, podczas gdy ja jestem najbardziej proeuropejskim z francuskich prezydentów. Oskarżają pana o reakcjonizm, mizoginię i islamofobię, podczas gdy ja walczę o postęp i prawa kobiet i jestem przeciw dyskryminacji”.

O co więc chodzi? Gdy Macron był jeszcze ministrem gospodarki w rządzie François Hollande’a, Houellebecq zrobił z nim sympatyczny wywiad do „Les Inrockuptibles” (zaproponowano mu zabawę w bycie redaktorem naczelnym jednego numeru). Zdaniem biografa pisarza taka promocja musiała przysporzyć Macronowi głosów w wyborach prezydenckich. No to się odwzajemnił?

Jeszcze o kobietach. Zostawmy żarty, które Houellebecq wkłada w usta bohaterów (np. Jak nazywa się tłuszcz wokół wagini? Kobieta), bez sensu się znów spierać, czy odzwierciedlają poglądy autora. Weźmy którąś z wypowiedzi z prasy. Miesięcznik „20 Ans” opytował go z szybkich skojarzeń. Na hasło „labrador” pisarz rzucił: „Często nas brzydzi, bo się ślini. Ale jeśli chodzi o kobiety, wolę czule i wilgotne od narcystycznych i suchych”.

Dla nie dość zdezorientowanych wygłaszanymi przez Houellebecq’a opiniami na koniec dwa cytaty: „To, co mówię, zasadniczo ma niewielkie znaczenie”. Oraz (w odpowiedzi na pytanie, czy celowo wypowiada tak prowokacyjne sądy): „Tak, od czasu do czasu, kiedy się nudzę”. ●

„Houellebecq” Denisa Demonpiona, najnowsza biografia jednego z czołowych intelektualistów ostatnich dekad, już dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie ebooka na Publio.pl



FOT. SHUTTERSTOCK



P A R T N E R C Y K L U



CHODZIMY PO TYCH SAMYCH ŚCIEŻKACH

Polska to kraj dwóch tysięcy wilków i ośmiu milionów psów. Wina spada zawsze na wilka

Anna Dmitruczuk

Luna stała się bohaterką mediów w czerwcu zeszłego roku. Kilkutygodniowe szczenięta są uzależnione od rodziców, jednak ona wychodziła na zatłoczony szlak w Beskidzie Żywieckim i Ignęła do ludzi. Pewnie wyrosłaby na piękną i dziką wilczycę, gdyby kilka tygodni wcześniej ktoś nie spuścił psa ze smyczy, ten nie spłoszyłby jej matki z młodymi, wilczyca nie zaczęłaby przenosić szceniąt przez szlak, a po drodze nie zjawiliby się turyści. Inaczej mówiąc: gdyby wszystko potoczyło się inaczej.

Ludzie spłoszyli matkę, która nie mogła wrócić po Lunę. Na dodatek uznali, że to wymagający pomocy szczeniak owczarka niemieckiego i zabrali ją do weterynarza. Próby zwrócenia Luny lasowi speliły na niczym. – Pomimo usilnych wielotygodniowych starań nie byliśmy już w stanie zwrócić Luny jej grupie rodzinnej. Jest teraz prawie dorosła i żyje w azylu. Kiedy została upuszczona przez spłoszoną matkę, miała ledwie 10-12 dni i jeszcze nie do końca zdawała sobie sprawę, że jest wilkiem. Tak młode szczenię nie widzi i nie słyszy, opiera się całkowicie na węchu i dotyku. Jeśli w jego otoczeniu pojawiają się ludzie i są jedynymi istotami, z którymi ma bliski kontakt, to ich zapach zapamiętuje. Podejmowaliśmy próby zostawienia jej w lesie na wiele dni w nadziei, że matka ją odnajdzie, ale musieliśmy ją regularnie dokarmiać. Pierwsze istoty, które słyszała, a potem zobaczyła, to byli ludzie. Wszystko to sprawiło, że potem wychodziła na szlak i lasiła się do ludzi, a ci brali ją na ręce. I nie może już wrócić do natury – opowiada dr hab. Sabina Pierużek-Nowak, prezes Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”.

Luna już zawsze będzie żyła w niewoli, a właściciel psa pewnie nigdy się nie dowie, co spowodował. Tłumaczenie, że pies w lesie musi być prowadzony na smyczy albo na lince, najczęściej jest bezskuteczne. Polska to

kraj około dwóch tysięcy wilków i około ośmiu milionów psów. A w wypadku konfliktu wina i tak spada zawsze na wilka.

**ROZSZARPUJĄ,
ZAKRADAJĄ SIĘ,
ZAGRYZAJĄ!**

Ataki wilków na psy są bardzo medialne. Na zapytanie o podobne zdarzenia w Polsce Google wypłuka 170 tysięcy wyników, większość nagłówków jest bardzo krzykliwa. „Wilki rozszarpują psy na Podkarpaciu”, „Wil-

ki zagryzły psy, rolnicy boją się o stada krów”, „Zakradły się w nocy i zagryzły psy. Czy posuną się dalej?”.

„Atak” nie jest najszcześniejszym określeniem. Dla wilków konfrontacja z psem nie jest wyborem czy zabawą, tylko często ryzykiem i koniecznością. Wilki postrzegają psa jako intruza, konkurenta do zasobów i do terytorium. Agresja może wynikać z obrony młodych lub upolowanej zdobyczy, a najczęściej z poczucia zagrożenia na własnym terytorium.

Z punktu widzenia wilka pies szwenda się po lesie, znakuje teren podobnie jak wilk, zostawia mocz i od-

chody w kluczowych punktach: na skrzyżowaniach i drzewach, często żeruje na wilczych ofiarach, a na dodatek podobnie jak wilk umie tropić i potrafi odnaleźć wilcze szczenięta, których wilki będą bronić za wszelką cenę.

– Psy są bezpośrednimi potomkami wilków. Reakcja na mocz psów, ich odchody zostawiane na wilczych terytoriach jest bardzo podobna do tego, jak wilki reagują na takie same ślady zostawione przez obce wilki, nienależące do ich grupy rodzinnej – mówi dr Pierużek-Nowak.

Zniecierpliwione psią zuchwałością wilki skorzystają ze śladów zapachowych, które pies zostawił w lesie, i znajdują go biegającego w obejściu albo przywiązane do budy przed domem.

**WILK MYŚLI,
ŻE PIES JEST WILKIEM**

Wbrew naszym ludzkim interpretacjom wilki nie są zainteresowane ani człowiekiem, ani jego domostwem, jeśli nie ma tam zwierząt hodowlanych. Chcą się tylko pozbyć konkurenta, w którym widzą zagrożenie. Nie mają w głowie scenariusza, w którym najpierw mordują stróża domu, a potem właściciela i jego dzieci. Wilki najprawdopodobniej uważają po prostu, że pies jest wilkiem, podczas gdy ten ma się za członka ludzkiej rodziny. To początek wielu kłopotów.

Paradoksalnie nasza bliska więź z psami wcale nie ułatwia nam zrozumienia wilków. O tym, jak o nich myślimy, wciąż decydują głęboko zakorzenione stereotypy, a także oczekiwania, że wilk będzie rozumiał nasze intencje podobnie jak pies. Tymczasem badania pokazują, że wilcze szczenięta wychowane przez człowieka są i tak wielokrotnie mniej skłonne do tego, by podejść do obcego człowieka, niż psie szczenięta wychowane w bardzo ograniczonej kontakcie z ludźmi.

Dr Pierużek-Nowak: – Staram się ludziom tłumaczyć, że te wszystkie elementy zachowań psich, które wiążą się z przywiązaniem, wiernością, z rozumieniem, co chcemy im przekazać, radość ze wspólnego spaceru, obsikiwanie drzew i drapanie ziemi, to spuszczna po wilkach. Jednak jest fundamentalna różnica. Wilki znacznie lepiej współpracują wewnątrz własnego gatunku. W odróżnieniu od psów, które tego nauczyliśmy, nie są w stanie naszych sygnałów odbierać, nie odczytują naszych ludzkich intencji, naszej niechęci do nich, oczekiwania, że będą nas unikać za wszelką cenę. W obrębie własnej grupy wilki potrafią się świetnie komunikować, porozumiewają się wzrokiem, pokazują sobie odległe obiekty w przestrzeni, długo wpatrują się w siebie, wyczuwają nastroje członków grupy rodzinnej, opiekują się sobą, pomagają słabszym członkom grupy rodzinnej, ratują z opresji. Psy to wszystko potrafią w stosunku do ludzi.

Można powiedzieć, że o ile pies najczęściej darzy człowieka miłością, o tyle wilk głęboką niechęcią. W naszym interesie jest, by tak zostało.

BO TO HYBRYDA BYŁA

Oczywiście wilki jako inteligentne, społeczne zwierzęta obdarzone własnymi osobowościami również szybko się uczą. Za każdym razem, kiedy wilk, szczególnie szczenię, jest przez ludzi dokarmiany – bez znaczenia, czy z litości, przypadkowo, czy żeby go zwać i zrobić mu zdjęcie – boi się trochę mniej. To właśnie takie wilki są najczęściej źródłem konfliktów z ludźmi. Osoby podrzucające młodym drapieżnikom pokarm rzadko dostrzegają własną winę w wilczym zachowaniu. Najczęściej szukają potem wyjaśnienia nietypowego zachowania zwierząt w słowie, które stało się wytrychem w wilczych historiach: „hybryda”. To skrzyżowanie psa i wilka, zwierzę według powszechnej opinii obdarzone większą siłą, zuchwałością i agresją.

– Mit hybrydy jest bardzo silny, to niemal postać z jakiegoś horroru. Właściwie zawsze gdy ktoś zaobserwuje wilka, który jest chory, dziwnie się zachowuje, jest mniej płochliwy, to dostajemy pytanie, czy to przypadkiem nie hybryda. Ludziom się wydaje, że hybrydyzacja z psami to powszechne zjawisko, a to ledwie ułamek procentu całej populacji wilków. Natomiast „stuprocentowym” wilkom też się zdarza być w słabszej kondycji, mogą być chore, niepełnosprawne, mieć wady genetyczne, mogą być po prostu stare. Badaliśmy młodziutkiego wilka, który praktycznie nie miał śle-

dziony i przez to nie był w stanie wędrować z grupą rodzinną i uczestniczyć w polowaniach, więc trzymał się blisko osad i był karmiony przez ludzi. Opinia, że to hybryda, pojawiła się jako jedno z wyjaśnień tej sytuacji – mówi badaczka.

PSI OJCIEC NIE WYCHOWUJE

Tak naprawdę mieszańce wilka i psa są wychowywane jak inne wilki.

Wilczyca w rui, jeśli nie jest w stanie znaleźć niespokrewnionego partnera, może się skrzyżować ze szwendającym się po lesie psem. To jednak nieliczne przypadki. Psy, w odróżnieniu od samców wilków, nie angażu-

ków, w których zapada medialny wyrok: „hybryda”, ma się nijak do rzeczywistości.

CHODZIMY PO TYCH SAMYCH ŚCIEŻKACH

Wilki, ludzie i psy używają w lesie tych samych dróg i szlaków. Kiedy pies jest na smyczy, nawet kilkumetrowej, trzyma się zwykle blisko opiekuna. Na dodatek zdrowy wilk wcale nie jest zainteresowany bliskim spotkaniem z człowiekiem. – To jest dla niego trudne, bo przecież w Europie nie ma miejsc odludnych, są ewentualnie mniej dostępne. Tolerancja wilków w stosunku do ludzi musi być więc większa, ale to nie znaczy, że trudno

Wilcze szczenięta wychowane przez człowieka są wielokrotnie mniej skłonne do tego, by podejść do obcego człowieka, niż psie szczenięta wychowane w bardzo ograniczonym kontakcie z ludźmi

ją się w wychowanie potomstwa. Dla wilczyca to więc chybiony mariaż, bo będzie skazana na trudne, samotne macierzyństwo.

Najczęściej pies, który jest ojcem szceniąt, nie jest dorodnym owczarkiem niemieckim, ale mało imponującym kundelkiem typu powsinoga. Młode zostaną więc wychowane przez matkę jak wilki, jednak mogą mieć inne umaszczenie, krótsze łapy, słabszy nacisk zębów, mogą być znacznie mniejsze.

– To właśnie problem hybrydyzacji: nagle w populacji znajdują się osobniki, które funkcjonują jak wilki, choć mają znacznie mniejsze od nich możliwości. Ich przeżycie zależy w znacznym stopniu od wsparcia matki – mówi Pierużek-Nowak. Wilczyca nauczy je unikać ludzi i najpewniej nie będzie zdawała sobie nawet sprawy z odmienności potomstwa, jednak może ono mieć upośledzone możliwości polowania. Marginalność takich przypadków sprawia, że problem jest słabo zbadany, niemniej liczba przypad-

je spłoszyć. Przeciwnie, zdrowe wilki nie pozwalają do siebie podejść. Badania wskazują, że te, które urodziły się na obszarach mocno penetrowanych przez ludzi, są znacznie bardziej płochliwe i mniej widoczne. Po prostu lepiej się ukrywają, wybierają pory dnia, w których ludzie nie są aktywni. Jedynie młodociane osobniki, mniej doświadczone, podejmują ryzykowne działania i mniej unikają ludzi. Ale gdy tylko dorastają i zostają rodzicami, stają się bardzo ostrożne.

Wilki oczywiście regularnie używają leśnych dróg, ale schodzą z nich, kiedy pojawia się człowiek. Między innymi z uwagi na obecność ludzi za dnia szczyt aktywności tych zwierząt to ciemna noc i wczesny świt. Można więc powiedzieć, że wilki i ludzie podzielili się lasem, użytkując go w różnych porach doby, co chroni nas przed konfliktami w terenie. Ale sytuację może zmienić biegający luzem pies, wchodzący głęboko w wilcze ostoje i prowokujący drapieżniki do reakcji. Wówczas może się zdarzyć, że na

oczach opiekuna pies straci życie. Podobnie może być w przypadku niedźwiedzi czy rysi, którym też zdarza się zabijać walęsające się psy.

– Staramy się przyzwyczajać ludzi do tego, że wilki są stałymi i pełnoprawnymi mieszkańcami naszych lasów. Od momentu, gdy zostały objęte ochroną, znacząco zwiększyły zasięg występowania. Tak naprawdę w całym kraju, w każdym większym kompleksie leśnym można spodziewać się wilków. Odpowiednie zachowanie podczas wyprawy do lasu, przede wszystkim prowadzenie psa na smyczy, zamknięcie podopiecznych na noc w domu lub innym bezpiecznym miejscu, takim jak solidny kojec, unikanie składowania odpadków żywności poza ogrodzeniem posesji mieszczącej się blisko lasu – pomaga unikać konfliktów, a psom i wilkom zapewnia bezpieczeństwo – wylicza dr Pierużek-Nowak.

GRZYBIARZE WCHODZĄ DO WILCZEGO ŻŁOBKA

Presja, jaką człowiek wywiera na wilka, jest ogromna. – W Polsce wielkość oddziałów leśnych, na które podzielone są lasy gospodarcze, to 500 na 500 albo około 400 na 700 metrów. Z każdym bokiem takiego oddziału sąsiaduje droga lub linia oddziałowa, dostępna dla ludzi i bardzo często dla pojazdów mechanicznych. Nawet na tak małej powierzchni zwierzęta mogą szukać schronienia, szczególnie gdy to gęsty młodnik, ale przecież nie zawsze. W połowie lata, gdy wszystkie ssaki, także wilki, wychowują młode, zaczyna się na przykład powszechne w Polsce grzybobranie i miliony ludzi penetruje najdalsze zakątki lasu – zauważa badaczka.

W tym okresie na ruchliwych drogach biegnących przez lasy ginie znacznie więcej nie tylko saren i jeleni, ale też wilków, bo spłoszone wbiegają wprost pod samochody. Ludzie oraz ich psy są dosłownie wszędzie, na każdym metrze kwadratowym. Dr Pierużek-Nowak: – Na naszych fotopułapkach drastycznie wzrasta wówczas liczba nagrań, a 90 proc. to ludzie z wiadrami. Dzikie zwierzęta przemykają rzadko i chyłkiem, ciemną nocą. Spokój powraca do lasu dopiero z pierwszymi przymrozkami. ●

WE WTOREK, 15 LISTOPADA W „WYBORCZEJ”

KALENDARZ PRZYRODNICZY 2023

ze zdjęciami Adama Wajraka



Jack Wolfskin

Weekendówka
25



Autorem wielu haseł jest **Bartosz T. Wieliński**

A MURY RUNĄ

Jako że „Weekendówki” krążą w znakomitej większości wokół rocznic wszelakich, związanych z wydarzeniami z różnych dziedzin, prześledziłem, co działo się 5 listopada. A w historii ów dzień właśnie jakoś szczególnie upodobał sobie prezydenci. Ulysses S. Grant, Thomas Woodrow Wilson, Franklin Delano Roosevelt oraz Richard Nixon wygrywali wybory w USA, Eduard Szewardnadze w Gruzji, Ali Hassan Mwinyi i John Magufuli w Tanzanii, Rene Moawad w Libanie, a Daniel Ortega w Nikaragui.

W kwestii przywódców rządów też się zresztą sporo działo, ale nie mogąc się zdecydować na żadnego, a premierę pierwszego odcinka przygód Rozbójnika Rumcajsa decydując się zostawić na lepsze czasy, postanowiłem przeskoczyć nieco w przyszłość.

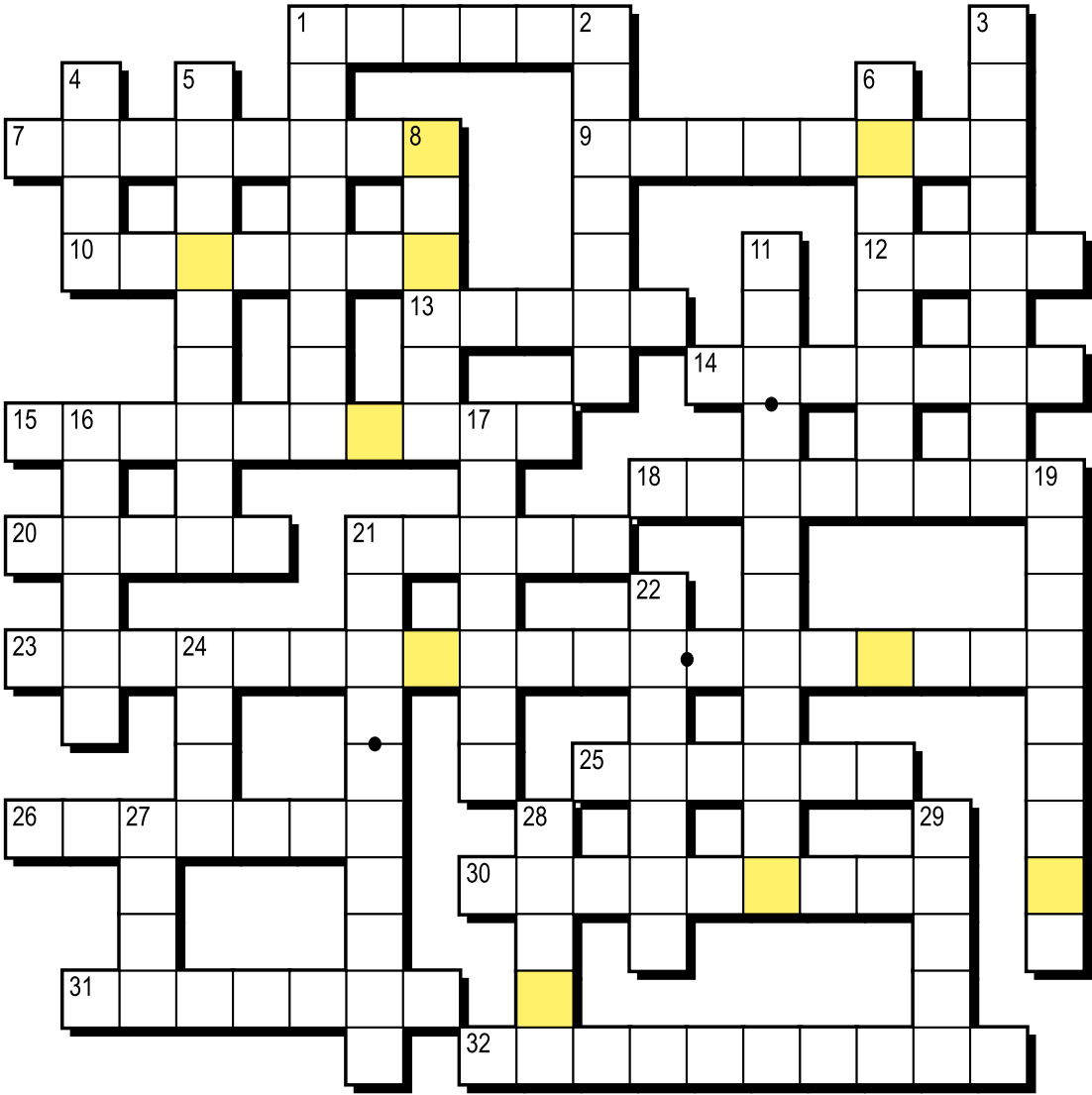
I tak 9 listopada 1989 roku Gunther Schabowski, działacz i rzecznik prasowy rządzącej w NRD Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), prowadził konferencję prasową. Miał przedstawić wyniki obrad Komitetu Centralnego dotyczących zmiany zasad wyjazdów zagranicznych obywateli NRD. Schabowski nie brał w nich udziału, otrzymał tylko pisemny projekt ustawy z ręcznymi poprawkami. Niedoinformowany, pod koniec konferencji zapowiedział, że każdy obywatel NRD może od teraz wyjechać z kraju. Dziennikarze dopytywali, od kiedy, Schabowski odparł, że wedle jego wiedzy od teraz, a dotyczy to także granicy z Berlinem Zachodnim.

Tłum berlińczyków ruszył do przejść granicznych, w rezultacie zastępca dowódcy punktu przy Bornholmer Strasse otworzył szlaban i wstrzymał kontrolę paszportową. Do północy otwarto wszystkie przejścia między zachodnią a wschodnią częścią miasta.

Kontrola wróciła później na mur, ale procesu nie dało się już zatrzymać. Zresztą władze NRD zaskoczyły zapowiedziami, że wkrótce będą tworzone nowe przejścia graniczne. Trochę ponad rok później, 30 listopada 1990 roku, oficjalnie zakończono rozbórkę muru.

Dzisiejsza „Weekendówka” może więc powiedzieć o sobie: jestem berlinianką. A o pomoc w jej ułożeniu poprosiliśmy Bartosza T. Wielińskiego, zastępcę redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”, wieloletniego korespondenta „Wyborczej” w Berlinie, piszącego najczęściej właśnie o Niemczech – dawnych i obecnych. Laureata Grand Press oraz autora „Złych Niemców” oraz „Wojny lekarzy Hitlera”. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 24 z 29.10:

Poziomo: 4) glin 5) Meksyk 8) Anthrax 12) Nazareth 13) Iza 14) Rammstein 15) huta miedzi 16) Sweet Noise 18) teledysk 20) festiwal 21) One 22) Dickinson 24) Steve 25) Rage 26) żelbet 27) przewodnik 30) stal 31) ballada 33) lakier 36) Illusion 37) warstewka 38) Paradise Lost 39) cyna.

Pionowo: 1) zima 2) technicy 3) Anja 4) glan 6) skład 7) klawisze 9) Hammett 10) aktywność 11) metale ciężkie 12) nikiel 15) Hetfield 17) wiertarka 19) koncert 23) solo 24) Sepultura 28) Oslo 29) plejada 30) szmelt 31) Brian 32) akord 34) kowal 35) rusz.

Hasło: **CLIFF BURTON**

MUR

Hasła Bartosza T. Wielińskiego oznaczono inicjałami (BTW). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

1) Kanclerz Niemiec, który uklęknął pod pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie. Był burmistrzem Berlina Zachodniego (BTW)
7) ... Czyżykiewicz, wykonawca piosenki „Melodia muru berlińskiego”
9) twardogłowy sekretarz generalny KC KPZR, twórca doktryny (BTW)
10) dwusuw z plastiku, żartobliwie nazywany zemstą Honeckera (BTW)

12) gitarowe – w rockowej balladzie zespołu Scorpions „Wind of Change”
13) imię Honeckera, przywódcy NRD w latach 1971–89
14) strzeżona przez żołnierzy
15) bard polskiej opozycji demokratycznej, nagrał „Mury” (BTW)
18) pierwszy kanclerz RFN (BTW)
20) waluta RFN i NRD
21) przed 1989 stawiano mu pomniki, po 1989 pomniki rozbierano (BTW)
23) 3 października 1990 r. stało się faktem
25) najweselszy barak w obozie (BTW)
26) żelazna ..., potocznie o granicy strefy wpływów

państw zachodnich i ZSRR po II wojnie światowej
30) zwolennik demokracji ludowej, czyli realnego socjalizmu
31) imię Konopki, reżysera filmu dokumentalnego „Królik po berlińsku” nominowanego do Oscara
32) Wojciech, I sekretarz KC PZPR do 1989 r., ostatni prezydent PRL

Pionowo:

1) jedno z państw tzw. bloku wschodniego
2) ... informacyjne, ustawione na Ścieżce Pamięci Muru Berlińskiego
3) francuska, lutowa, październikowa (BTW)
4) zespół, który nagrał utwór „Runął już ostatni mur”

5) nasza noblistka, autorka jednego z utworów w zbiorze „1989. Dziesięć opowiadań o burzeniu murów” (BTW)
6) „Berlin Zachodni” zespołu Big Cyc
8) Roger, w 1990 r. wraz z zaproszonymi gośćmi zagrał na placu Poczdamskim koncert „The Wall Live in Berlin”
11) betonowa zaporą dzieląca Berlin, której budowę rozpoczęto 13 sierpnia 1961 r. (BTW)
16) piosenka zaczynająca się słowami: „Mój dom murem podzielony, podzielone murem schody...”
17) przemawiając pod ratuszem Berlina Zachodniego, powiedział: „Ich bin ein Berliner” (BTW)

19) gmach w Berlinie wybudowany na miejscu pałacu hrabiego Atanazego Raczyńskiego (BTW)
21) 9 listopada 2009 r. na uroczystościach rocznicowych pchnął kostki domina symbolizujące mur berliński
22) potocznie o każdym z państw bloku wschodniego, czyli w strefie wpływów ZSRR
24) ... kolczasty, stały element zapor granicznych
27) ... Państwa NRD, działała w latach 1960–90
28) może być gorąca, zimna i hybrydowa (BTW)
29) wykonawca piosenki z określenia 16 pionowo

Leszek Rydz

Weekendówka

Byle do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play